

132.425

Maurice Leblanc.

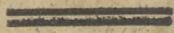
DOROTA TANCERKA

NA LINIE.

Powieść.

BIBLIOTEKA F.D.A.
Warszawa, Pl. Narutowicza 5
Nr. Inw. 874 Nr. 832

POWIEŚĆ



CZERNIOWCE 1925

ODBITO CZCIONKAMI DRUKARNI J. FILIPESCU

II 132.765



201/484 D 5581

Rozdział I.

Cyrk wędrowny.

Pod wyskrzconem gwiazdami niebem, drzemał w ciszy nocy letniej wóz cyrkowy o pozamykanych okiennicach. Wyprzężony koń chrapał w pobliżu.

Gwiazdy powoli zaczynały gasnąć, a jaśniejszy pas na wschodzie zapowiadał koniec nocy.

Zegar na wieży kościelnej wydzwonił godzinę wpół do czwartej. Jakieś ptaki zbudziły się w zagajniku i napełniły powietrze poranną pieśnią. Powietrze było łagodne i ciepłe.

Nagle wewnątrz wozu dał się słyszeć głos kobiety, wołającej:

— Wil, Wil!

Przez okienko wysunęła się głowa:

— Naturalnie, przeczuwałam to. Ten łajdak uciekł gdzieś tej nocy. — Bydlak. Ładnie się sprawuje.

Po upływie dwóch czy trzech minut tylne drzwi otwarły się i postać kobieca zbiegła z pięciu stopni schodków, podczas, gdy w bocznem oknie ukazały się dwie rozezochrane głowy.

— Liliana, dokąd idziesz?

— Szukać Wila — odparła ta, którą nazwano Liliانا.

— Przecież powrócił z tobą wczoraj wieczorem z przechadzki, widziałem go, jak się kładł na swoim pościaniu.

— Widzisz, że go tam już niema, Kastorze.

— No więc, gdzie jest?

— Cierpliwości, już ja go tutaj sprowadzę z powrotem za uszy.

Ale dwaj chłopcy wybiegli w koszulkach z wozu i zaczęli błagać:

— Nie, mamusiu Liliano, nie chodź tak sama po nocy, to niebezpiecznie.

— Co ty tam mi zawracasz głowę, Poluksie. Niebezpieczne? Ale co ciębie to obchodzi?

Rozdzieliła pomiędzy nich kilka policzków i szturchańców i szybko odprowadziła ich do wozu, w którego ciemnych głębiach zniknęli. Sama weszła na schodki, ujęła rękami dwie chłopięce głowy, przycisnęła je do piersi i ucałowała tkliwie.

— Tylko bez głupstw, smyki. Jakie tam niebezpieczeństwo? Za pół godziny odnajdę Wila.

— Ładna historja. Szukać Wila. Przecież to drab, co ma więcej jak 16 lat.

— A Polluks i Kastor mają we dwójkę dwadzieścia — zaśmiała się Liliana.

— A poco on się tak włóczy po nocy? To już nie po raz pierwszy. Cóż on ma za cel w takich wycieczkach?

— Poluje na króliki — odparła. — Widzicie, że to nic ważnego. No, dosyć tej gawędy. Spać chłopcy. A przedewszystkiem nie bić mi się, słyszycie? I nie róbcie hałasu. Kapitan śpi, a on nie lubi, kiedy go się budzi.

Szybko odbiegła, przeskoczyła zgrabnie przez rów, przebyła łąkę, gdzie nogi chlupotały w rozmiękłym gruncie i dostała się na ścieżkę, biegnącą pośród dwóch rzędów młodych drzew, po kilku minutach skrzyła w bok i dostała się nad brzeg rzeki, której dno, usiane małymi białymi kamyczkami, błyszczało. Skierowała się w górę rzeki, tak, jak gdyby chciała zatrzeć za sobą ślady. A gdy w pierwszym bladym świetle dnia przedmioty zaczęły się rysować wyraźniej, zawróciła znowu i pobiegła dalej przez gaj, lekka, pełna wdzięku. Jej bosa stópki

wyglądały z pod krótkiej spódniczki, przepasanej różnobarwnymi wstążkami.

Biegła bez wysiłku, wśród opadłych liści i zroszonych kwiatów.

Jej rozrzucone czarne włosy fruwały wokół głowy, jak dwa ciemne skrzydła. Uśmiechnięta twarz, rozchylone wargi, ruchome nozdrza, napół przymknięte oczy, wszystko to świadczyło, że z przyjemnością biegnie tak i oddycha świeżem powietrzem poranku.

Smukła szyja wysuwała się z bluzki z szarego płótna. Wyglądała najwyżej na jakieś szesnaście lub siedemnaście lat.

Lasek się skończył. Parów złobił się w pośród dwóch skalistych ścian i skręcał nagle ostro. Liliana wstrzymała swe kroki. Znalazła się u celu.

Tuż przed sobą na wyniosłym złomie granitu regularnie obciosanego i wysokości najwyżej trzydziestu metrów widniał zamek, który nie tyle przez swój styl architektoniczny, ile dzięki położeniu, oraz rozłożeniu budynków miał charakter siedziby, prawdziwie pańskiej. Na lewo i na prawo biegnąca dolinka, zdawała się otaczać zamek, niby dawniejszy rów obronny.

— Już wpół do piątej bije na zegarze — powiedziała do siebie młoda dziewczyna. — Wil się napewno nie spóźni.

Przycupnęła za pnem olbrzymiego, wydobytego z ziemi z korzeniem drzewa i spoglądała przed siebie uważnie w kierunku zamku. Wzrok jej biegł ku oknom parterowym.

Wczoraj, w czasie przechadzki, Wil wskazał palcem na te okna i rzekł:

— Tym ludziom pewnie się zdaje, że są zupełnie bezpieczni, a tymczasem nie łatwiejszego, jak się dostać do nich przez jedno z tych okien. O, tam naprzykład okno jest napół otwarte. To okno w oficynie.

Liliana była pewną, że Wil istotnie postanowił zuchwale wtargnąć do wnętrza zamku.

— Co się z nim jednak stało? Czy w pokoju, do którego wszedł przez okno nie było nikogo? Jakże łatwo było, aby on, który nie znał ani rozkładu zamku, ani zwyczajów ludzi zamieszkujących go, pozwolił się chwycić.

— A może pro prostu oczekuje świtu?

Niepewność dręczyła ją. Minuta mijała za minutą. Pomimo wczesnej godziny porannej mogło się zdarzyć, że na ścieżce wiodącej do zamku pojawia się jakiś wieśniak w chwili, gdy Wil rozpocznie drogę powrotną przez okno.

Nagle zadrżała na całym ciele. Zdało się jej, że myśląc o niebezpieczeństwie, wywołała je. Dały się słyszeć głucho kroki od strony parowu.

Liljana skuliła się poza pniem drzewa tak, aby jej nie było widać.

Na ścieżce ukazał się mężczyzna w długiej bluzie, z twarzą otuloną szarym szalikiem. Ręce miał okryte starymi rękawicami i strzelbę pod pachą.

Liljana sądziła w pierwszej chwili, że to myśliwy, albo też raczej kłusownik, ponieważ szedł krokiem niespokojnym i rozglądał się, rzucając wokół badawcze spojrzenia, jak człowiek, który boi się by go nie dostrzeżono. Ale mężczyzna ten zatrzymał się tuż koło muru, w odległości 50 czy 60 metrów od miejsca, w którym Wil wdrapał się do zamku. Człowiek ze strzelbą obserwował uważnie grunt koło muru, niekiedy odwracając niektóre płaskie kamienie i schylając się nad nimi.

Wreszcie zdecydował się i ujmując jeden z tych głazów za cieńszy koniec, podniósł go i umieścił w ten sposób, że kamień utrzymał się w równowadze.

Okazało się, że pod uchylonym kamieniem znajduje się wykopana dziura. Obok leżała łopata, którą mężczyzna ów podniósł i zaczął zaraz kopać, powiększając ów otwór. Pracował z jak największą ostrożnością, starając się widocznie czynić jak najmniej hałasu.

Upłynęło jeszcze kilka minut i wówczas to zda-

rzyło się coś, czego Liljana się spodziewała.

Niewidzialna ręka popchnęła dwie okiennice parterowego okna w zamku i za chwilę wysunęło się długie ciało, przybrane w jakiś czarny surdut i głowa w starym cylindrze.

Wil, płaszcząc sobie żołądek o mur, zesunął się w dół po ramie okna i stawiał już nogi na przy-murku.

W tej samej chwili Liljana, która zajęła stanowisko w tyle poza mężczyzną w bluzie, uniosła się nieco, dając ręką sygnały swemu przyjacielowi.

Zapóźnie.

Mężczyzna zajęty kopaniem dołu spostrzegł tego czarnego djabła, przytulonego do muru i odkładając na bok łopatę, ukrył się w wykopanej przez siebie dziurze ziemnej.

Tymczasem Wil, zajęty sobą, nie uważał zupełnie co się poza nim dzieje. Nie mógł zresztą zobaczyć tamtego człowieka, nie obracając głowy, a to narazie było niemożliwem dla niego do wykonania.

Liljana, nie tracąc ani chwili, zaniepokojona zniknięciem człowieka w bluzie, podkradła się nad brzeg owego dołu. Gdy się zbliżyła i zajrzała, z trudem stłumiła krzyk. W głębi owej jamy, jakby w ziemiance bojowej, nieznajomy mężczyzna przyłożył strzelbę do oka i wyraźnie celował w kierunku Wila.

Co robić? Krzyżeć. Uprzedzić Wila byłaby to wielka nieprzeznosność, pogorszenie sytuacji. Wszak w ten sposób zdradziłaby swą własną tutaj obecność i spowodowałaby nie równą walkę z groźnym przeciwnikiem.

A jednak działać należało. Mężczyzna w bluzie uważnie celował w kierunku czarnej sylwetki Wila, zsuwającego się ostrożnie ku dołowi.

I nagle Liljana jednym skokiem znalazła się na sterczącym poza nią kamieniu i z całą siłą swych młodych ramion popchnęła go. Równowaga była dość nieco chwiejna, bo już przy pierwszym wysiłku kamień obalił się, zamykając niby kamien-

ny wiekiem otwór, druzgocząc strzelbę i więząc mężczyznę w bluzie. Młoda dziewczyna zdażyła jeszcze zobaczyć jego pochyloną głowę.

Zorjentowała się odrazu, że niebezpieczeństwo na chwilę tylko zostało usunięte, i że nieprzyjaciel bezwątpienia postara się i zdoła uwolnić się z tej pułapki. Nie tracąc ani chwili czasu, podbiegła ku Wilowi.

— Prędko, prędko — rzekła — uciekajmy.

Niesłychanie zmieszany wybełkował:

— Czego tu chcesz, skąd się dowiedziałaś, że ja tutaj jestem?

Obdarzyła go porządny m szturchańcem.

— No teraz galopem, idjoto. Widziano cię, ktoś chciał strzelać do ciebie. Prędko, prędko bo będą nas ścigali.

— Co ty mówisz? Kto nas ma ścigać?

— Jakiś drab przebrany za chłopca, który siedzi w tej dziurze przywalony kamieniem. Byłby cię ustrzeł jak kuropatwę, gdybym mu nie zwałała na łeb kamienia. Ale... słuchaj, mówię ci ty bałwanie, zabierz no ze sobą ten sznur, nie można przecież zostawiać śladów po sobie.

Zdołali uciec, zanim uwięziony w jamie człowiek zdzwignął kamień. Biegli szybko i dostali się do lasu, nie zamieniając ze sobą ani słowa.

W pół godziny potem brodzili w rzece, skąd wydostali się na brzeg o wiele dalej, w miejscu, gdzie wybrzeże było całe usiane kamieniami tak, że kroki ich nie mogły pozostawić żadnych śladów.

Wil chciał iść dalej, ale Liljana przystanęła nagle i zaczęła się śmiać szalonym śmiechem, który poprostu wstrząsnął nią całą.

— Co się z tobą dzieje? — rzekł. — Co to znaczy?

Nie zdołała wykrztusić odpowiedzi. Zanosila się poprostu od śmiechu tak szczerego, że błyskały jej z poza rozchylnych warg białe, drobne, regularne zęby, a z oczu płynęły łzy. Wreszcie przestała chi-

chotać się i palcem wskazując na towarzysza, rzekła:

— Ten twój cylinder... ten surdut i te bose nogi, nie — wiesz — to jest niesłychanie komiczne... Skądżeś ty dorwał takiego stroju. Boże, jakiś ty zabawny.

Śmiech jej brzmiał świeżo i młodzieńczo wśród ciszy poranku. Zwrócony ku niej twarzą Wil, wybujały wyrostek, z nazbyt bladą twarzą i zanadto długimi rękami, o zbyt jasnych włosach, o wargach zanadto wywiniętych, uszach zbyt odstających, ale o pięknych, czarnych oczach, pełnych czułości, spoglądał na młodą dziewczynę z uśmiechem, zadowolony widocznie z tej dywersji, która odwlekała na chwilę oczekiwany wybuch gniewu.

Istotnie Liljana rzuciła się na swojego towarzysza i zaczęła go okładać pięściami, obsypując jednocześnie gorzkimi wymówkami. Czyniła to wszakże bez przekonania, wstrząsana jeszcze ciągle śmiechem, co oczywiście skarceniu temu odbierało wszelką grozę.

— Nędzniku! Łotrze! Kradłeś znowu? Pan dobrodziej już się nie zadawała tem, co zarabia w cyrku. Potrzeba mu pieniędzy, albo klejnotów na ołacenie takich cylindrów. Coś ty tam ściągnął kretynie? No, odpowiadaj!

Wygrzmociwszy go i wyśmiawszy się do woli, młoda kobieta wyczerpała ogrom swego oburzenia i zaczęła znowu iść naprzód.

Wil szedł koło niej silnie zmieszany i bełkotał:

— Opowiadać ci? Ty i tak odgadłaś, jak zawsze, no więc tak, przyznaję, wszedłem tam przez okno, jak się okazało do łazienki, która się znajduje na przeciw korytarza, prowadzącego do apartamentów parterowych. Na korytarzu nie było nikogo, mieszkańcy siedzieli przy obiedzie. Przez schody służbowe dostałem się na drugi korytarz, w którym drzwi do wszystkich pokoi były otwarte. Obejrzałem sobie wszystko dokładnie, ale to na nie się nie przydało. Były tam albo same obrazy,

albo zanadto ciężkie przedmioty. Ukryłem się tedy w niszy, z której mogłem widzieć niewielki salon, sąsiadujący z bardzo pięknym pokojem. Tańczono do późnej godziny, a później wszyscy poszli na górę, bardzo wytworni ludzi... Damy dekoltowane, panowie na czarno. Wreszcie jedna z dam weszła do buduaru. Schowała swoje klejnoty do kasety, a kasetkę do małego kuferka, który otworzyła, mówiąc głośno trzy litery... R. O. B. W ten sposób, kiedy wyszła wreszcie z buduaru, mogłem posłużyć się temi trzema literami otwierającymi zamek. czekałem do świtu, bałem się wyjść.

— Pokaż-no — rzekła rozkazującym tonem.

Wyciągnął z kieszeni, pokazał jej parę pięknych kółczyków z szafirami. Wzięła klejnot do ręki i oglądała. Twarz jej ściaśniała się nieco niby jakimś dziwnym skurczem. Oczy jej błysnęły. Po chwili szepnęła.

— Jakież te szafiry piękne. Niebo niekiedy miewa taki kolor w nocy, czarno-szafirowy, pełen blasku.

W tej chwili przechodzili właśnie miejsce, nad którym dominował rodzaj stracha na wróble, przybranego w spodnie i w kamizelkę. Była to kamizelka Wila, który udając się na wyprawę do zamku, zawiesił ją na straszaku, aby zaś zmienić swą powierzchowność, pożyczył sobie od manekina surduta i cylindra. Obecnie zdjął ten surdut, ubrał w niego stracha i wsadził mu na głowę cylinder, zabrał natychmiast swoją kamizelkę i pospieszył za Liljaną, która go wyprzedziła. Młoda kobieta nie odrywała wzroku od kółczyków, które najwidoczniej budziły w niej zachwyt.

Chłopak pochylił się ku niej i rzekł:

— Zachowaj je Liljano, wiesz przecież dobrze, że ja nie jestem złodziejem. Zrobiłem to dla ciebie, żeby się mogła cieszyć ich widokiem... dotykać je. Jakże ja ciernie nieraz, kiedy widzę, że tobie czegoś brakuje, że pędzisz takie nędzne życie, że musisz tańczyć na linie! Ty Liljano, która musisz żyć

w przepychu, w bogactwie. Ach Liljano, jabym zrobił dla ciebie wszystko, czegobyś zażądała ode mnie.

Podniosła ku niemu głowę i rzekła:

— Powiadasz, że zrobiłbyś dla mnie wszystko?

— Wszystko Liljano.

— A zatem bądź uczciwym Wilu.

Poszli dalej, a młoda dziewczyna mówiła:

— Bądź uczciwym Wilu, oto wszystko, czego żądam od ciebie. Przygarnęłam ciebie i tamte bębny, które pozostały na wozie, dlatego, że jesteście tak jakby sierotami, ofiarami wojny... Od dwóch lat włóczymy się razem po wielkich drogach, raczej szczęśliwi, aniżeli nieszczęśliwi. Śmiejemy się często i możemy ród nasz zaspakajać, choć naturalnie nie rykasami; tylko że ja nie lubię żadnych nieporozumień. Ja lubię wszystko co jest czyste, jasne jak promień słońca, a ty jaki jesteś? Już po raz trzeci kradniesz, żeby mnie się niby przypodobać. A czy to ostatni raz? Jeżeli tak, to przebaczam ci, jeżeli nie, to ruszaj sobie dokąd chcesz.

Mówiła poważnie, przy każdym zdaniu potrząsając głową, przyczem czarne skrzydła jej włosów rozsypywały się w powietrzu.

Wzruszony, niesłychanie zmieszany Wil, szepnął.

— Wypędzasz mnie?

— Nie, ale przysięgnij mi, że to się nie powtórzy.

— Przysięgam!

— Nie mówmy zatem o tem więcej. Czuję, że teraz powiedziałeś prawdę. Weź te cacka. Ukryjesz je pod wozem w dużym koszu. W przyszłym tygodniu odeszlesz je pocztą; wszakże to zamek Barton?

— Tak jest. Widziałem bilet wizytowy tej damy, lady Barton.

Dwukrotnie musieli się jeszcze w drodze ukrywać, aby uniknąć spotkania z wieśniakami i wre-

szcie po pewnych kołowaniach znaleźli się w pobliżu cyrkowego wozu.

— Posłuchajno — rzekł Wil — to Kastor i Poluks biją się, jak zawsze. A to niezności smarkacze. Rzucił się w stronę wozu.

— Wil, krzykneła dziewczyna, nie bij żadnego z nich!

— A ty niby ich nie grzmocisz?

— Ale jeżeli ja ich biję, to im pewnie takiej przykrości nie sprawia, ba, nawet pewną przyjemność.

Na widok Wila, obaj malcy, którzy się walili drewnianemi szablami, stawili czoło wspólnemu niedrzyjacielowi, wrzeszcząc:

— Mamusiu Liljanko! Nie pozwól Wilowi bić nas! To brutal!... Na pomoc mateczko!...

Nastąpiła serja szturchańców, wybuchów śmiechu i pocałunków.

— Liljanko, mnie masz teraz pocałować.

— Liljanko, a teraz na mnie kolej na kuksa.

Ale młoda dziewczyna ofuknęła ich.

— A kapitan, jestem pewna, żeście go obudzili.

— Kapitan śpi, jak suseł — oświadczył Poluks — posłuchajno, jak tam chrapie.

Niedaleko wozu obaj 10-letni chłopcy rozpalili ognisko. Z zawieszzonego na żelaznym haczyku kociołka dobywała się aromatyczna para. Wszyscy czworo zajadali gorącą gęstą zupę oraz chleb ze serem, a na zakończenie wypili po filiżance kawy.

Liljana nie ruszała się ze swego stołka. Trzej jej towarzysze nigdyby na to nie pozwolili. Zazdrośnie i czujnie śledzili jej ruchy, prześcigając się, który z nich trzech będzie mógł jej służyć. Niekiedy na tem tle rzychodziło pomiędzy nimi do starć. Walki Kastora z Poluksem bywały zawsze sprowokowane jakimś specjalnym faworem ze strony Liljany. Ci dwaj chłopcy krzepcy, o pucułowatych buziach, ubrani identycznie w koszule i spodeńki szare na szelkach, kochali się naogół

jak bracia, ale rzucali się na siebie z godną lepszej sprawy zaciętością, jeżeli Liljana jednego z nich obdarzyła tkliwszem słówkiem, czułem spojrzaniem albo jakąś pieśczołą.

Wil nienawidził ich obu serdecznie. Kiedy widział, że Liljana ich pieści, najchętniej poskręcałby im karki. Jego Liljana nigdy nie uściścała, nie pocałowała. On musiał się zadawać serdecznością koleżeńską, która się wyrażała co najwyżej w mocnem uściśnieniu ręki lub w pełnym ufnosci uśmiechu. Taki uścisk ręki i taki promienny uśmiech, to były jedyne jasne promienie w życiu Wila. Należał on do tych ludzi, którzy kochać umieją i umieją się poświęcać dla osób kochanych.

— A teraz lekcja rachunków — wydała rozkaz Liljana — a ty Wilu prześpij się z godzinę na swoim pośnaniu.

Kastor przyniósł książkę, Poluks otworzył zeszyt. Po lekcji rachunków przyszła kolej na lekcję historii, a potem na geografję.

Obaj chłopcy słuchali z olbrzymiem zajęciem, a Wil, rozciągnięty na swoim pośnaniu, nie zasypiał, ale słuchał z szeroko otwartymi oczyma i uszami.

Coprawda Liljana miała niezwykle zajmujący, pełen polotu sposób wykładania i przykuwający uwagę uczniów. Zdawało się, że wkładając różne reguły, daty i fakty w głowy malców, sama ich z największą przyjemnością się uczy. A wszystko co mówiła swoim słodkim, dźwięcznym głosem, zdradzało umysł żywy, rozwinięty i ogromną, praktyczną inteligencję.

Koło godziny dziesiątej rano Liljana kazała zaprząć konie do wozu. Droga do sąsiedniej miejscowości była dosyć daleka i należało się spieszyć, aby uzyskać jaknajlepsze miejsce na placu przed merostwem.

— Ależ kapitan nie jadł jeszcze śniadania — zawołał Kastor.

— Tem lepiej — rzekła — kapitan jeda zawsze



za dużo. Jeżeli jego żołądek wypocznie, to mu tylko wyjdzie na zdrowie. A zresztą on jest zawsze we wściekłym humorze, kiedy się budzi. Niech sobie śpi spokojnie.

Ruszono w drogę. Wóz wyladowany skrzyniami, różnymi sprzętami domowymi, przewiazany gimnastycznymi drabinkami, trapezami, linami, toczył się hałaśliwie na wysokich kołach, ciągniętych przez starą, na jedno oko ślepą klatcz. Na froncie widniał wielkimi literami pompatyczny napis: „Cyrk Liljany, wóz dyrekcji“, co oczywiście miało naprowadzać na myśl, że za tym pierwszym wozem ciągnie cały zastęp innych wehikulów, wiozących artystów cyrku, bagaże i dzikie zwierzęta.

Wil przodował tej karawanie z batem w rękę. Liljana, mając z każdego boku po jednym ze swych wychowanków, zrywała kwiaty, rosnące w rowach przydrożnych, śpiewała razem z chłopcami wesołe marsze, lub opowiadała im zabawne historyjki. Po upływie pół godziny Liljana, rzuciwszy spojrzenie na drogowską, zawołała:

— Stój!

— Co się stało? — zawołał Wil.

— Popatrz, przeczytaj!

— Pocóż mam czytać, droga prowadzi prosto. Orientuj się podług naszej mapy.

— Popatrz — powtórzyła Liljana. — Barton w odległości dwóch kilometrów.

— No tak, to jest ta wieś, gdzie się znajduje nasz zamek. Tylko my skróciliśmy sobie drogę przez las.

— Przeczytajże do końca. Barton, zamek Cornvey.

Wydawała się wzruszoną i półgłosem kilkakrotnie powtarzała:

— Cornvey, Cornvey.

— Być może, że wieś ta nazywa się Barton — odezwał się Wil — a zamek Cornvey. Ale cóż to cię obchodzić może.

— Nic, zupełnie nic — odparła.



— A jednak wyglądasz tak, jakby cię to bardzo obchodziło.

— Ach, to nic, prosty zbieg okoliczności.

— Odnośnie do czego?

— Odnośnie do tej nazwy Cornvey.

— A zatem?

— To słowo wryło się silnie w mojej pamięci, słowo to słyszałam w niezwykłych warunkach.

— W jakich warunkach, Liljano?

Cichym głosem, z dumą w oczach wyjaśniła:

— Przypomnij sobie Wilu co ci opowiadałam. Wiesz, że ojciec mój umarł wskutek rany odniesionej na wojnie. Przywieziono go do szpitala ciężko chorego. Zawiadomiono mnie, przybyłam jednak za późno. Tylko dwaj ranni sąsiadujący z biednym moim ojcem powiedzieli mi, że w czasie agonji nie przestawał powtarzać słowa Cornvey, Cornvey. Umierając, wymawiał jeszcze to słowo: Cornvey, Cornvey.

— Tak jest — rzekł Wil — przypominam sobie.

— I dotychczas nie mogę sobie wytłomaczyć, co to miało znaczyć i co za wspomnienie opanowało duszę ojca w chwili śmierci. Było to jakieś opętanie, strach, groza... Skąd to wszystko, nie znajduje żadnego wyjaśnienia. Zrozumiesz więc Wilu, że ujrawszy tę nazwę wypisaną tutaj i dowiedziawszy się, że istnieje zamek, który tak się nazywa...

Na twarzy Wila odmalowało się przerażenie.

— Chyba nie masz zamiaru udać się tam?

— A dlaczegożby nie?

— Ależ to szaleństwo, Liljano!

Młoda dziewczyna zamysliła się. Ale Wil, który znał ją dobrze, wiedział, że nie zrezygnuje ona tak łatwo ze swoich projektów.

Szukał tedy w umyśle odpowiednich argumentów, gdy nagle Kastor i Poluks nadbiegli, wołając:

— Mateczko, trzy wozy cyrkowe jada za nami. Istotnie tuż za nimi ciągnęły trzy, mniejsze

nieco wózki w kierunku zamku Cornvey. Jeden z tych wozów nosił napis: „Mistrzowskie strzelanie z łuku“. Drugi: „Igrzyska na pięści“. Trzeci: „Cyrk tresowanych żółwi“.

Mijając Wila i Liljanę jeden z mężczyzn, eskortujących pierwszy wóz, rzekł:

— Udajecie się tam także?

— Dokąd to? — zapytała Liljana.

— Do zamku. Ma się tam odbyć wielka zabawa ludowa na dziedzińcu. Czy zachować dla was miejsce?

— Proszę bardzo i dziękuję — odparła Liljana. Jarmarczni kuglarze ruszyli w dalszą drogę i wkrótce wozy ich zniknęły na zakręcie.

— Co tobie się stało, Wilu? — szepnęła Liljana. Wil istotnie wydawał się jeszcze bledszy, aniżeli zazwyczaj.

— Co tobie jest — powtórzyła. — Usta twoje drżą, jesteś wprost zielony.

Wyjąkał cicho::

— Żandarmi...

Na ścieżce wiodącej z pól do gościńca widać było postacie dwóch żandarmów, zbliżających się do drogowskazu. Spokojnie minęli oni małą gromadkę cyrkowców, nie zwracając na nią żadnej uwagi.

— Widzisz — rzekła Liljana z uśmiechem. — Nie troszczą się zupełnie o nas.

— Tak, ale oni idą do zamku.

— Cóż dziwnego, jeżeli tam dzisiaj jest zabawa, to obecność dwóch żandarmów jest konieczna.

— A jeżeli — jęknął — wykryto już zniknięcie kołczyków i zatelefonowano do żandarmerji?

— To nierawdopodobne — ta dama spostrzeże stratę dopiero dzisiaj wieczorem.

— A jednak, błagam cię, nie jedźmy tam. Przecież to tak, jakbyśmy sami wchodzili w pułapkę, a przytem człowiek, który tam był w tej dziurze...

— Kopał sobie grób — wyrzekła z uśmiechem Liljana.

— A jeżeli on tam będzie, jeżeli mnie pozna?
 — Byłeś przecież w przebraniu. Mogą tedy, w najgorszym razie zaaresztować straszaka w surducie i cylindrze.

— A jeżeli już zrobiono na mnie doniesienie? Jeżeli szukają?... Jeżeli znajdują koleczyki?...

— Rzuć je do rowu w parku zamkowym... Opo-
 wiem interesującą historyjkę tym państwu z zam-
 ku i dzięki mnie owa dama odnajdzie swoje zagi-
 nione koleczyki...

— Jeśli jednak przypadkiem...

— Cicho! Mam ochotę tam iść i zobaczyć co się
 tam dzieje w tym zamku nieznanym Cornvey...
 Będziemy tam i koniec...

— Ale ja się boję... Boję się o siebie... i o ciebie
 także...

— No, to zostań sobie, jeżeli się boisz!...

Wzruszył ramionami.

— Stara, wio!... — wrzasnął chłopak, popędza-
 jąc batem klacz.

Rozdział II.

Liljana w zamku.

Cyrk Liljany szedł przez wieś z kapelą na czele, którą tworzyli Kastor i Poluks, usiłujący z całej mocy swych młodych płuc, dać jak najfalszywiej w dwie trąby.

Wil ubrał się w strój z czarnej satyny z szeroki-
 kimi szarawarami i niósł tablicę obwieszczającą,
 że przedstawienie ma się odbyć o godzinie trzeciej
 popołudniu.

Liljana stojąc, powoziła starą, chudą, ślepa ko-
 byłą z taką powagą, jakby kierowała jakimś wo-
 zem królewskim.

Obszerny plac przed zamkiem był już komple-
 nie zapchany przez wozy, przy których jarmarczni
 artyści rozbijali namioty z płótna, zawieszali hu-
 stawki, drewniane konie, trapezy...

Cyrk Liljany nie czynił żadnych przygotowań. Dyrektorka udała się do urzędu gminnego, celem przedstawienia swojej licencji. Wil wypręgał konia, a dwaj młodzi muzycy objęli komendę nad kuchnią.

Kapitan ciągle jeszcze spał.

Koło południa tłumy zaczęły napływać ze wszystkich wsi sąsiednich.

Wil, Castor i Polluks odpoczywali przed przedstawieniem, rozłożeni wygodnie koło wozu. Tymczasem Liljana, spożywszy posiłek, oddaliła się znowu, zeszła do rowu, obejrzała dokładnie dół wykopany pod owym kamieniem, a wracając potem, zmieszała się z grupami wieśniaków okolicznych, snuła się po ogrodach wokół zamku; wogóle kręciła się wszędzie, gdzie tylko wolno było spacerować.

— No i cóż? — zapytał Wil, gdy wreszcie powróciła. — Czego się dowiedziała?

Liljana wydała się nieco zakłopotaną i cicho, zwolna, wyjaśniała mu.

— Zamek, oddawna nie zamieszkały, należy do rodziny Barnton-Cornvey, której ostatni przedstawiciel, hrabia Henryk, 40-letni szlachcic, lat dwadzieścia temu ożenił się z kobietą ogromnie bogatą. Po wojnie hrabiostwo odrestaurowali i zmodernizowali ten starożytny zamek. Wczoraj właśnie zaproszono gości, aby uczyć przenosiny do zamku. — Dzisiaj z tego samego powodu odbywa się ta ludowa zabawa.

— A co do tej nazwy Cornvey, niczego nie dowiedziałas się?

— Niczego. Nie wiem dotychczas, dlaczego mój ojciec wymawiał to słowo.

— W takim razie zaraz po przedstawieniu odjeżdżamy? — zapytał Wil — który pragnął jak najprędzej znaleźć się daleko od zamku.

— Nie wiem, zobaczymy... Zauważyłam pewne dziwne rzeczy.

— Pozostające w związku z twoim ojcem?

— Nie — odparła z wahaniem — nie... w żadnym związku... Chciałabym jednak zorjentować się lepiej. Jeżeli jakaś rzecz otaczają mroki, to nigdy nie wiadomo, co w nich się kryje... i dlatego chcia-
łabym...

Długą chwilę trwała w zadumie, a wreszcie rze-
kła głosem poważnym, spoglądając Wilowi głęboko
w oczy:

— Słuchaj chłopcze, ufasz mi, nieprawdaż? Ty
wiesz, że ja jestem bardzo rozsądną i w zasadzie *hm?*
bardzo ostrożną. Wiesz również, że mam pewną
intuicję i że posiadam dobre oczy, które widzą to,
czego niejeden nie dostrzeże... więc powiadam ci,
czuję, że powinnam tutaj pozostać.

— To przez tę nazwę Cornvey?

— Przez to i jeszcze z powodu innych rzeczy.
Być może, że wbrew woli będę zmuszona przez oko-
liczności do powzięcia pewnych decyzji nieoczeki-
wanych, być może ryzykownych... niebezpiecznych.
Wilu, w takim wypadku trzeba wytrwać przy
mnie odważnie.

— Mówże jaśniej Liljano, co się stało?

— Nie, nie... jedno tylko ci chciałam powiedzieć.
Słuchaj, ten człowiek, który mierzył do ciebie dzi-
siaj rano, ten mężczyzna przebrany za wieśniaka,
jest tutaj.

— Co mówisz? On tutaj? Widziałś go? Jest
z żandarmami?

Liljana uśmiechnęła się.

— Dotychczas nie, ale to się może zdarzyć.
Gdzieś ty schował koleczyki?

— Na dnie kosza, w małym pudełku kartono-
wym.

— Dobrze. Zaraz po skończonem przedstawieniu
rzuc je tam w ten klub różaneczników.

— Czyżby spostrzeżono już ich zniknięcie?

— Zdaje się, że dotychczas nie. Podśledzałam
rozmowę pokojówek hrabiny, ani słowa nie mówiły
miedzy sobą o kradzieży.

Do chwili dodała:

— Aha, otóż i osoby z towarzystwa zamkowego, czy to ta, ładna blondynka o takiej imponującej minie?

— Tak jest, to ona, poznaję ją.

— Według opinii służących, ma to być ogromnie dobra kobieta, hojna dla biednych, współczująca dla nieszczęśliwych; otoczenie ogromnie ją kocha bodaj czy nie więcej, aniżeli jej mąż, który wydaje się mało sympatycznym.

— Któryż to z nich, bo tam jest przy niej trzech mężczyzn?

— To ten najgrubszy, w popielatym ubraniu, z wydatnym brzuchem. Popatrz, teraz będzie strzelał do celu. Ci dwaj, którzy towarzyszą hrabinie, to dalecy krewni, ten wysoki z siwiejącą brodą, w okularach — bawi w zamku od miesiąca — drugi młodszy, w ubraniu myśliwskim i w gietrach, przybył wczoraj wieczorem.

— Ależ to robi takie wrażenie, jakby i oni obaj ciebie znali?

— Bo tak jest istotnie. Ten z brodą, jest nawet niesłychanie uprzejmym.

Wil wykonał jakiś ruch oburzenia.

— No, tylko spokojnie Wil i zbliżmy się teraz, przedstawienie się zaczyna.

Tłumy zbierały się teraz około baraku, przeznaczonego na strzelnicę, aby być świadkami popisów pana zamku, który słynął ze swojej zręczności w strzelaniu.

Liljana wśliznęła się w tłum i szybko znalazła się tuż przy właścicielach zamku. Pan z siwiejącą brodą spostrzegł ją i przedstawił hrabiemu i hrabinie.

— Panna Liljana, dyrektorka cyrku.

Hrabia Henryk uklonił się i rzekł z uśmiechem:

— Wilze, że pani krytycznym okiem ocenia moje strzały, może pani strzela także?

— Przy okazji.

— I nigdy pani nie chybia?

— Nigdy.

— Naturalnie pod warunkiem, że pani wybierze sobie sama strzelbę?

— Nigdy w życiu. Dobry strzelec posługuje się wszystkim, co mu wpadnie pod rękę, chociażby, oto takim, zupełnie już wycofanym z obiegu instrumentem.

Liljana pochwyliła w rękę leżący stary pistolet, kazała sobie dać sześć naboju i zmierzyła do kartonu, podziurawionego już poprzednio przez hrabiego Barnton. Pierwsze trzy strzały trafiły w samo centrum.

Hrabia był zdumiony.

— Ależ to nadzwyczajne! Ona nawet nie mierzy! Co o tem powiesz, Erwing?

Meżczyzna z brodą wykrzyknął z zapałem:

— Ależ to nadzwyczajne, fantastyczne poprostu! Pani, pani przecież może zrobić na tem majątek!

Liljana, nie odpowiedziałwszy ani słowa, trzema innymi strzałami strąciła trzy zawieszzone skorupki jajek, następnie, nie słuchając wyrazów podziwu i zachwytu, obróciła się wprost do zdumionego tłumu i dźwięcznym głosem oznajmiła:

— Panie i panowie, mam zaszczyt wam oświadczyć, że przedstawienie trwa dalej. Po popisach strzeleckich obrazv taneczne, potem zaś ćwiczenia siły i zręczności na trapezach, na koniu, na ziemi i w powietrzu. Sztuczne ognie, regaty, wyścigi automobilów, walki byków, wszystko to zobaczycie. Panie i panowie — zaczynamy.

Od tej chwili, Liljana wydawała się ucieleśnioną wesołością, ruchem, temperamentem.

Wil wytyczył szerokie koło przy pomocy sznura napiętego na żelaznych prętach. Wokół tej areny ustawiono ławki dla widzów oraz krzesła dla państwa z zamku.

Liljana tańczyła, najprzód na linie rozpiętej wśród dwóch drażków, nie tracąc ani na chwilę gracji ruchów w tej pozycji niebezpiecznej. Chodziła po linie tam i z powrotem, wykonywała jakiejś przedziwne ewolucje, wreszcie lekko, z wdziękiem

zeskoczyła na ziemię i już na ziemi zaczęła tańczyć.

Było to jakieś dziwne połączenie wszystkich tańców, nie mające w sobie nic wystudjowanego, nie wyuczonego, wszystkie ruchy wydawały się jakby nieświadome, wypływające z żywiołowego natchnienia.

Była ona z kolei angielską dancing-girl, Hiszpanką z kastanietami, rosyjską tancerką, dziewczyną z baru, tańczącą w powolnym rytmie dzikie, namiętne tango.

A za każdym razem wystarczał jakiś ruch, jakiś przerzucenie szalu, lub odrzucenie włosów, aby się zmienić w inną kobietę, aby się stać od stój do głowy Hiszpanką, Rosjanką, Angielką, czy Argentynką.

A zawsze była jak zjawisko, tchnące nieporównanym wdziękiem, czarem, młodością zdrową i harmonijną, namiętnością, a zarazem wstydem dziewczym i radością życia.

Castor i Polluks akompaniowali jej, wybijając palcami na starym bębnie jakąś głuchą melodię.

Publiczność patrzyła na nią i podziwiała bez słowa, bez głośniejszych objawów zachwytu, tak wszyscy byli porażeni tym ogromem fantazji i różnorodnością przesuwających się przed oczyma obrazów.

W chwili, kiedy wydawała się dziewczynką, wykonywującą cyrkowe piruety, nagle przetwarzała się w damę w stylowej sukni, poruszającą z wdziękiem wachlarzem i z gracją tańczącą menueta.

Czy to kobieta dojrzała? Czy może dziecko? Czy ona ma mniej niż piętnaście lat, czy więcej, aniżeli dwadzieścia?

I nagle skończyła wśród oklasków, które się zerwały jak grzmot i wskakując na dach swego wozu zawołała:

— Cisza! Spokój! Kapitan się budzi!

Podnosząc wieko długiego kosza zapytała:

— No i cóż, kapitanie Pery? Jakże się spało?

No, powiedz kapitanie — a teraz spiesz się, spóźni-
liśmy się trochę, do pracy kapitanie!

Postawiła koszyk prosto i wówczas ujrzano w tej
osobliwej kołysce kilkuletniego dzieciaka z jasnymi
lokami, z różową buzią, ziewającego jeszcze i za-
spanego.

Malec obudzony wyciągnął rączki do Liljany,
która pochwyliła go tkliwie i ucałowała.

— Baronie Wilu — zawołała — oddaję ci kapi-
tana. Czy jego buleczka gotowa? No, a teraz przed-
stawienie trwa dalej.

Kapitan Pary był komikiem tej trupy cyrkowej.
Ubrano go w stary mundur amerykański, przyczem
bluza ciągnęła mu się po ziemi, a spodnie były po-
zawijane do połowy. Kostjum ten był tak niewy-
godny, że chłopiec nie mógł postąpić dziesięciu kro-
ków, aby się nie rzewrócić. Cały komizm produkcji
małego „kapitana“ polegał właśnie na tych ciągłych
upadkach i na niewzruszonej obojętności, z jaką
chłopiec się podnosił.

Skoro malec uzbrojony w wielki bat, trzymając
w drugiej rączce bułkę posmarowaną marmoladą,
zaczął komenderować starą klaczą, rozkazując jej
tańczyć polkę i „hiszpański“ taniec, na widowni
rozległy się wybuchy śmiechu. Flegma i komiczny
wygląd tego małego artysty cyrkowego, miały w
sobie coś niezmiernie rozweselającego.

— Doskonale, kapitanie — wołała Liljana —
wybornie. A teraz odegramy dramat z porwaniem
w czterech obrazach. Baronie Wilu na pana kolej!

Nastąpiły potem inne produkcje, w których
brali udział Castor i Polluks. Wszystkie te sceny
i popisy były niezwykle, pomysłowe i zawierały
przedziwnie groteskową karykaturę, zmuszając
ludzi do śmiechu.

— Kapitanie Pery, bierz worek i idź na zbiór
złota. Castor i Polluks niechaj ci towarzyszą
z bębniem.

I „kapitan“ zaczął obchodzić tłumy widzów z ol-
brzymim workiem, do którego wpadały drobne

monety, a niejednokrotnie zmięte i zatłuszczone banknoty.

Po skończonem przedstawieniu, Liljana z wysokości dachu swojego wozu, wygłosiła szumne, również obfitujące w groteskowe zwroty, przemówienie.

Wkońcu zapowiedziała, że posiada dar jasnowidzenia, że umie czytać z linji ręki, z kart, z fúsów kawy, z gwiazd i z charakteru pisma, że rozprasza ciemności, odcyfrowuje zagadki, przy pomocy magicznej różdżki, każe tryskać źródłu niewidzialnemu i w najnieдоступniejszych miejscach pod gładzami starych zamków, w głębi nieznanych kryjówek odnajduje skarby fantastyczne, których istnienia nikt nawet nie przypuszczał. Te wszystkie swoje talenta będzie miała sposobność zaprezentować zebranej tu publiczności.

Gdy skończyła, trzech chłopcy pakowali już wszystkie sprzęty na wóz.

Wil zbliżył się do Liljany i szepnął:

— Zmykajmy i to prędko. Żandarmi nie spuszczały mnie z oka.

Liljana odparła:

— Czyś nie słyszał końca mojego przemówienia?

— Owszem... A zatem?

— A zatem... Zaczną się seanse, Liljana jasnowidząca pokaże co umie. Widzisz, oto pierwsi klienci. Ten szlacheć i ten gość w aksamicie. On mi się podoba ten gość w aksamitnem ubraniu, jest ogromnie uprzejmy i ma szykowne getry.

Jegomość z brodą nie posiadał się z zachwytu, obsypał młodą dziewczynę komplementami i przedstawił się jej jako John Erwing, oraz przedstawił jej swego towarzysza, a wreszcie w imieniu hrabiny zaprosił Liljanę, aby zechciała uczestniczyć w podwieczorku.

— Czy tylko ja sama jestem zaproszona? — zapytała młoda dziewczyna.

— Ależ nie — zaprotestował towarzysz Erwina, Robert Doberti, kłaniając się uprzejmie — na-

szej kuzynce sprawi to wielką przyjemność, jeżeli będzie mogła również ugościć towarzyszy pani. Więc pani przyjmuje zaproszenie, panno Liljano?

Liljana przyrzekła, wymówiła sobie jedynie trochę czasu na zmianę toalety.

— Nie, nie, nie, niech pani tylko nie robi toalety, wykrzyknął Erving — proszę przyjść tak jak pani jest ubrana w tej chwili, w tym kostjumie jest pani cudownie, jakaś pani w tem fantazyjnym ubraniu piękna.

Liljana zaczerwieniła się i suchym tonem rzekła:

— Proszę pana bardzo tylko bez komplementów.

— Ależ to nie komplement, proszę pani — odrzucił mężczyzna z lekkim odcieniem ironji w głosie — to nie komplement ale hołd należy się piękności.

Erving oddalił się pociągając za sobą Roberta.

— Wil — szepnęła Liljana, która ściagała ich wzrokiem — nie ufaj temu jegomościowi, strzeż się go.

— Dlaczego?

— Bo to jest ten sam mężczyzna w bluzie chłopskiej, który dzisiaj rano chciał cię zastrzelić.

Wil zachwiał się na nogach jakby istotnie trafiony strzałem.

— Pewną tego jesteś?

— Prawie zupełnie. To ten sam chód. Prawą nogę ciągnie trochę za sobą.

Wil wybełkotał:

— Czy on mnie poznał?

— Sądzę, że tak. Skoro zobaczył cię skaczącego w czasie przedstawienia przypomniał sobie czarnego djabła, który się spuszczał po murze zamkowym. Potem z ciebie przeszedł jego wzrok na mnie i poznał tę, która mu zwała kamień na łeb. Wyczytałam to wszystko w jego oczach, poznając to z całego jego zachowania. Sposób w jaki on przemawia do mnie... ten lekki ton szyderstwa...

Wil był zrozpaczony.

— I my nie odjeżdżamy, ty śmiesz tu pozostać jeszcze?

Oho! — Śmiem.

— A ten człowiek nie wie o tem, że ja go poznałam, a dopóki nie wie...

— Więc co ty właściwie zamierzasz?

— Opowiedzieć im ciekawą historyjkę, zabawić ich a zarazem zaintrygować.

— Ależ w jakim celu?

— Aby oni z kolei zaczęli mówić.

— O czem?

— O tem co chciałabym wiedzieć.

— O co ci właściwie chodzi?

— Sama jeszcze nie wiem. To oni mi dopiero powiedzą.

— A jeżeli kradzież się wykryje i podejrzenie padnie na nas?

— Wilu jesteś skończonym tchórzem i nie zwracaj mi głowy.

Ukończywszy swoją toaletę Liljana w towarzystwie Wila oraz trzech malców udała się do zamku. Urządzono dla nich przyjęcie w wielkim salonie zamkowym. Hrabina, która była jak to już zauważyła Liljana kobietą urodziwą, oraz pełną wdzięku płynącego z dobroci serca okazała się niezwykle uprzejmą dla młodej cyrkówki. Tancerka na linie zachowywała się w salonie arystokratycznym z równą swobodą jak na arenie cyrkowej. Swoją krótką spódniczkę i obcisły staniczek przykryła tylko wielkim czarnym koronkowym szalem. Jej dystygowane manjery, miłe brzmienie głosu, wytworny sposób wyrażania się, jej humor i żywa inteligencja tryskająca z wielkich błyszczących oczu, wszystko to zachwycało hrabinę i wprawiało w podziw trzech mężczyzn.

— O pani — wykrzyknął Erving — przepowiadaj pani przyszłość, ja jednak również mogę pani przepowiedzieć, że na pewno zrobi pani karierę. Ah, gdyby pani zechciała mi zaufać i pozwolić, ażebym panią zawiózł do wielkiego świata, do

Londynu, do Paryża!... Mam tam wielkie stosunki we wszelkich sferach i mógłbym pani zaręczyć za sukces!...

Liljana uczyniła przeczący ruch głową.

— Nikogo mi nie potrzeba.

— Niech pani przyzna, że ja nie jestem pani sympatyczny.

— Ani pan jest dla mnie sympatyczny, ani antypatyczny. Nie znam pana. !!

— Gdy pani mnie lepiej pozna nabierze pani do mnie zaufania.

— Nie sędzę.

— Dlaczego?

Wzięła jego rękę, odwróciła dłoń do góry i pochyliwszy głowę przez jakąś minutę pilnie studiowała jej linje.

— Rozwiążłość... chęć używania... brak sumienia.

— O pani, ależ ja protestuję. Ja nie mam sumienia, ja który jestem pełen skrupułów.

— Pańska ręka mówi coś zupełnie innego.

— A czy ta ręka nie mówi także, że nie mam szczęścia?

— Istotnie nie ma pan szczęścia.

— Proszę. Więc nigdy nie będę bogaty?

— Lękam się, że nigdy.

— A czy długo żyć będę?

— Niezbyt długo.

— Czy śmierć bolesna?

— Kilka sekund zaledwie.

— Zatem pewnie jakiś wypadek?

— Tak jest.

— Jakiego rodzaju?

Wskazała mu palcem.

— Niech pan spojrzy o tutaj, u osady wielkiego palca.

— Cóż tam takiego?

— Szubienica.

Ogólny wybuch śmiechu był odpowiedzią na te

słowa. Erving wydawał się zachwyconym, a hrabia Henryk śmiał się do rozpuku.

— Brawo panno Liljano! Szubienica dla tego starego libertyna. Zaiste, że pani istotnie posiada własność jasnowidzenia. Wobec tego nie zawaham się...

Wzrokiem poradził się swojej żony i mówił dalej:

— Wobec tego nie zawaham się powiedzieć pani...

— Powiedzieć mi — dokończyła Liljana z lekką ironją dla jakich powodów państwo zaprosiliście mnie tu.

Hrabia zaprotełował.

— Pani się myli. Zapraszając panią chcieliśmy dać w ten sposób wyraz swemu pragnieniu zobaczenia pani w naszym domu.

— A może także trochę zamierzaliście państwo skorzystać z moich talentów czarodziejskich.

Hrabina wmieszała się teraz do rozmowy.

— No tak rzeczywiście. Końcowe słowa przemówienia pani wzbudziły naszą ciekawość. Przyznam zresztą, że wcale w te rzeczy nie wierzymy, że to raczej przez ciekawość chcieliśmy pani zadać kilka pytań.

— Chociaż pani nie wierzy w moje skromne zdolności okultystyczne jednak chętnie pani służę i postaram się zaspokoić pani ciekawość.

— W jaki sposób?

— Poprostu odpowiadając na pani pytania.

— Jakto bez snu hypnotycznego, bez magnetycznych zabiegów?

— Nie. Narazie to zbyt ciężkie pani hrabino. Potem zobaczymy.

Liljana wysłała chłopców młodszych, aby się bawili w ogrodzie, pozostawiając przy sobie jedynie Wila. Potem usiadła i rzekła:

— Słucham panią.

— Jakto tak bez żadnych przygotowań?

— Bez żadnych przygotowań.

Hrabina zaczęła tonem, który miał być zupełnie swobodnym, a jednak był zupełnie szczerym.

— Mówiła pani wczoraj o nieznanym kryjówkach, o starych murach i ukrytych skarbach. A więc zamek Cornvey, który ma wiele wieków poza sobą, był z pewnością widownią różnych przygód i dramatów. To też chętniebyśmy się dowiedzieli, czy też przypadkiem który z jego dawnych mieszkańców nie ukrył gdzie w jakim kąciaku jakichś bajecznych skarbów, o których pani wspominała.

Liljana milczała przez chwilę, wreszcie rzekła:

— Odpowiedź moja jest tem dokładniejsza, im więcej okazuje mi się zaufania. Jeżeli zaś zachowuje się pewne ostrożności, jeżeli pytanie nie jest wystosowane tak, jak być powinno...

— Jakież ostrożności? Zapewniam panią...

Liljana ciągnęła dalej:

— Pani hrabino, pani mi zadała to pytanie, jakby ono było wywołane przez jakąś nagłą niespodzianą ciekawość, nie opartą na żadnej rzeczowej podstawie. A przecież pani hrabina wie dobrze, równie jak ja, że w zamku poszukiwano już skarbów.

— To możliwe — rzekł hrabia Henryk — ale w każdym razie odnosiłoby się to do okresu z przed dziesiątków lat, za czasów mojego ojca lub nawet dziadka.

— Bynajmniej, niedawno podjęto tutaj poszukiwania — oświadczyła Liljana.

— Ależ my zamieszkujemy zamek dopiero od miesiąca.

— Nie chodzi tutaj o miesiące, ale o dni... o godziny.

Hrabina z żywością oświadczyła:

— Zapewniam panią uroczyście, żeśmy żadnych poszukiwań nie robili.

— A zatem czynił je widocznie ktoś inny.

— Ależ kto? I w jakich warunkach? W jakim miejscu?

Znowu zapanowała chwila milczenia, poczem Liljana mówiła dalej:

— Pani hrabina wybaczy mi, że zainteresowałam się sprawami, które mnie bezpośrednio nie dotyczą, ale to już taka moja wada. Wil mówi mi często: „Ta twoja manja węszenia wszędzie, ściągnie na ciebie kiedyś nieprzyjemności“, ale ja jestem niepoprawna pod tym względem i dlatego po przybyciu do zamku, mając trochę czasu przed przedstawieniem, zaczęłam sobie spacerować tu i tam, chodziłam na prawo i na lewo, obserwowałam, no i w końcu udało mi się poczynić pewne obserwacje, które — zdaniem mojem — nie są pozabawione znaczenia, i tak...

Hrabiostwo i goście spoglądali na nią z ciekawością a młoda dziewczyna opowiadała:

— ...i tak oglądając i podziwiając piękną starą studnię, która się znajduje w głównym dziedzińcu, skonstatowałam, że wokół marmurowego zbiornika wody, poruszono świeżo ziemię. Czy poszukiwania były uwieńczone pomyślnym skutkiem, tego nie wiem, w każdym razie ziemię z powrotem przysypano jak najstaranniej, nie dość jednak dokładnie, aby nie można było zauważyć pewnego wzdęcia gruntu.

Gospodarze i goście spojrzeli po sobie ze zdziwieniem. Ktoś odezwał się:

— A może naprawiano basen? Albo dokonywano jakiejś przebudowy przewodów kanalizacyjnych?

— Nie, — rzekła hrabina tonem głębokiego przekonania — nie tykano nawet tej studni, a czy pani jeszcze zauważyła jakieś inne ślady tego samego rodzaju?

— Tak jest, — oświadczyła Liljana — takiej samej pracy dokonano trochę dalej, u stóp piedestału kamiennego, dźwigającego kompas słoneczny. Przy pracy tej złamano nawet pręt żelazny, który tam się jeszcze znajduje.

— Ależ dlaczego, skądże? — wykrzyknęła hra-

bina ogromnie poruszona — Dlaczego właśnie w tych dwóch miejscach? Czego tam ktoś szukać może? Czego chce? Czy pani nam może dostarczyć w tym kierunku jakich wskazówek?

Liljana nie kazała długo czekać na odpowiedź, ale sformowała ją ściśle, jakby chcąc wykazać, że to jest główny punkt jej wywodów.

Motyw tych poszukiwań jest wypisany na marmurze fontanny. Widzicie ją państwo stąd syreny otaczają kolumnę z kapitelem w greckim stylu. Otóż na kapitelu tym widnieją litery... litery prawie że zatarte.

— Nigdy nie zauważyliśmy tego — wykrzyknęła hrabina.

— A jednak one istnieją — stwierdziła młoda dziewczyna — ponieważ są bardzo zatarte, więc zlewają się ze szczyrbami, które czas wyrył na marmurze, a jednak gdy się wpatrzeć uważnie to można odcyfrować jedno jedyne słowo.

— Co to za słowo?

— Łacińskie słowo: „fortuna“.

Liljana wymówiła to słowo „fortuna“ w sposób dziwnie przeciągły.

Hrabia powtórzył za nią te trzy sylaby i wpatrywał się w Liljanę, która mówiła dalej.

— Tak jest słowo „fortuna“, a to słowo można odczytać również na tarczy zegara słonecznego, jeszcze bardziej zatarte tak, że właściwie domyślać się go tylko można, a jednak to słowo tam jest. Każda litera na swoim miejscu. Niema wątpliwości.

Hrabia nie czekał aż Liljana skończy, już wybiegł z pokoju i przez otwarte okno można było zobaczyć jak pędzi w stronę wodotrysku. Rzucił pospiesznie okiem na kapitel kolumny, przebiegł obok zegara słonecznego i szybko powrócił.

— Wszystko co pani powiada — rzekł — jest zupełnie ściśle. Istotnie kopano w dwóch miejscach, a słowo „fortuna“, którego nigdy dawniej nie zauważyłem a obecnie odczytałem dzięki wska-

zówce pani tłumaczy pobudki tych poszukiwań... Zaiste że szukano, a może i znaleziono.

— Nie znaleziono nic — odparła spokojnie Liljana.

— Czy pani tego pewna i skąd o tem pani wiedzieć może?

Liljana zawahała się, jej oczy spotkały się z oczyma Ervinga. Mężczyzna z brodą wiedział już obecnie z całą pewnością, że został zdemaskowany i zaczynał się domyślać do czego Liljana dąży.

— Czyżby jednak ośmieliła się posunąć do ostateczności i podjąć walkę? Jaki mógł być powód tej niespodziewanej walki, której wynik był więcej jak wątpliwym?...

Erving obrzucił młodą dziewczynę pytającym spojrzeniem i powtórzył za hrabiną:

— Tak jest, skąd pani wiedzieć może, że nic nie znaleziono?

Liljana odparła śmiało:

— Ponieważ prowadzono dalej te poszukiwania. W parowie pod murami zamku pośród głazów, które oderwały się od skał znajduje się wielki starożytny kamień, który jest pozostałością widocznie jakiejś zniszczonej budowli. Na kamieniu można również odczytać słowo „fortuna“. Proszę niech państwo usuną ten kamień, ujrzyście świeżo wykopany otwór i ślady kroków męskich.

Rozdział III.

Ta ostatnia informacja wprowadziła w ostateczne zakłopotanie hrabiego i hrabinę, którzy zaczęli się pocichu naradzać ze swymi kuzynami.

Wil słysząc, że Liljana zaczyna opowiadać o wypadkach zaszłych w parowie, o kryjówce mężczyzny w bluzie chłopskiej, skulił się, starając formalnie ukryć wśród poduszek szerokiej kanapy.

Czy ta Liljana zwarzjowała? Wszakże naprowadzać na ślad człowieka w bluzie to oznaczało to samo, co zdradzić siebie i Wila. Co za nieostroż-

ność!... Tymczasem Liljana sama jedna zachowała zupełny spokój i zimną krew. Zdawało się, że idzie drogą dobrze wytyczoną do wyraźnego celu, podczas gdy tamci wahają się, wątpią i mieszają.

— Panno Liljano — podjęła rozmowę hrabina. — Rewelacje pani ogromnie nas zainteresowały i wzruszyły. Wykazują one jasno, do jakiego stopnia jest pani przenikliwa, doprawdy nie wiem jak mam pani podziękować, że nas pani ostrzegła.

— Państwo przyjęliście mnie tak uprzejmie, tak mile, że doprawdy robi mi to przyjemność, iż mogę oddać państwu przysługę.

— Ważną przysługę — przyznała hrabina — poprosimy jednak panią, aby pani tego nie czyniła połowicznie.

— To znaczy?

— Niech pani powie wszystko co pani wie.

— Nie wiem nic więcej.

— Ale pani mogłaby wiedzieć więcej.

— Jakim sposobem?

— No przy pomocy tych właściwości czarodziejskich, o których pani niedawno mówiła.

— A w które nie wierzy pani hrabina.

— Ale gotowa jestem uwierzyć obecnie.

Liljana skłoniła głowę na znak zgody.

— A zatem zgoda... ale uprzedzam, że te eksperymenty nie zawsze się udają.

— Spróbujmy.

— Dobrze spróbujmy. Ale proszę państwa o po-
błażliwość.

Wyjęła z kieszeni Wila fularową chusteczkę i związała sobie oczy.

— Jasnovidząca musi zasłonić sobie cielesne oczy. Im mniej widzę tem więcej widzę.

I z powrotem dodała:

— Proszę niech pani hrabina zadaje pytania. Postaram się odpowiedzieć na nie.

— Tak, w stanie jawy bez transu hipnotycznego?

— Trans w tym wypadku jest zbyteczny.

Liljana oparła się łokciami na stole i ścisnęła dłońmi skronie. Hrabina natychmiast zapytała:

— Kto tam kopał? Kto podjął te poszukiwania pod wodotryskiem i koło zegara słonecznego?

Chwila ciszy. Odnosiło się wrażenie, że młoda jasnowidząca koncentruje się w sobie samej i odrywa się psychicznie od wszystkiego co ją otacza.

W końcu głosem zupełnie spokojnym, który nie miał w sobie żadnych akcentów wróżki lub somnambuliczki — rzekła:

— Nie widzę niczego w parku. Ani na dziedzińcu. Widocznie musiało się dzieć już dawniej... Ale w parowie...

— W parowie — rzuciła hrabina.

— Widzę głaz podniesiony i mężczyznę, który gwałtownie wyrzuca ziemię...

— Mężczyznę? Jakże wygląda?

— Ubrany jest w bardzo długą bluzę.

— A jego twarz?

— Twarz przesłania chustka, którą jest owiązany aż do brzegów czapki. Nie widać nawet oczu. Po skończeniu pracy opuszcza głaz na dawne miejsce i uchodzi, zabierając ze sobą łopatę.

— Więcej nie?

— Nie. Poszukiwania były bezskuteczne. Ten człowiek nie znalazł.

— Czy pani jest tego pewną?

— Zupełnie pewną.

— A jaką drogą oddala się?

— Idzie parowem ku górze. Już jest przy furcie zamkowej.

— Ależ furta zamknięta.

— Ma od niej klucz. Wchodzi... To jeszcze wczesne rano. Wszyscy śpią. Idzie do oranżerii... jest tam mały pokój.

— Tak jest — potwierdziła hrabina. Mały pokój w którym ogrodnik trzyma swoje narzędzia.

— Ten mężczyzna składa łopatę, zdejmuje bluzę i wiesza ją na gwoździu, wbitym w ścianę.

— Ależ to nie mógł być ogrodnik — wykrzyknęła hrabina. — A twarz, czy pani widzi twarz?

— Nie... twarz jest ciągle zasłonięta.

— A ubranie?

— Ubranie, nie zdaje sobie w tej chwili sprawy — oddala się... znika.

Liljana przerwała, jakgdyby cała jej uwaga skupiała się w tej chwili na jakiejś sylwetce, rozplywającej się we mgle na kształt widma.

— Nie widzę nic więcej, nic więcej. Aha, weranda zamkowa. Drzwi zamykają się lekko a potem, potem schody... długi korytarz słabo oświetlony z małemi oknami, a jednak ja rozróżniam ryciny... konie, pędzące galopem, myśliwi w czerwonych kostjumach, a ten mężczyzna, ten mężczyzna jest tam, klęczy przed drzwiami, otworzył, wchodzi.

— To chyba jeden ze służących — wyrzekła hrabina głuchym głosem. — I to chyba mowa o pokoju na pierwszym piętrze, jeżeli na korytarzu wiszą ryciny. Jak wygląda ten pokój?

— Okiennice zamknięte. Mężczyzna zaświeceił kieszonkową latarkę elektryczną i szuka wokół... na kominku kalendarz, to środa, dzisiaj... Widzę zegar ampirowy o złożonych kolumnach.

— Zegar z mojego buduaru — wyszeptła hrabina.

— Zegar wskazuje trzy kwadransy na 6. Światło latarki pada na mebel machoniowy, mężczyzna otwiera ukryte drzwiczki i znajduje kasety.

Słuchano Liljany w ciszy trwożnej. Wzruszenie malowało się na wszystkich twarzach. Jakże nie wierzyć temu, co mówi jasnowidząca, jeżeli tak dokładnie maluje wnętrze zamku i opisuje buduar, którego progu nigdy nie przestąpiła.

Silnie poruszona hrabina rzekła:

— Kaseta była zamknięta, jestem tego pewna. Zamknęłam ją sama, ułożywszy tam moje klejnoty. Jeszcze w tej chwili słyszę dokładnie trzask zamykającego się wieka.

— Zamknięta tak, owszem, ale klucz pozostał.

aa
mam cig

— To jest bez znaczenia. Ten zamek otwiera się tylko na pewne litery.

— A jednak klucz się obraca.

— Niepodobna.

— Klucz obraca się w zamku, widzę trzy litery.

— Trzy litery i pani je widzi?

— Jak najdokładniej R. O. B. Kasetą już otwarta. Znajduje się w niej mniejsza szkatułka. Mężczyzna szuka ręką i bierze.

— Co, co takiego wziął?

— Koleczyki.

— Dwa wielkie szafiry oprawne w platynę, nieprawdaż?

— Tak — pani hrabino — dwa szafiry.

Ogarnięta niepokojem hrabina, wybiegła szybko z pokoju, a za nią mąż i Robert. Liljana posłyszała, jak hr. Henryk mówił do kuzyna:

— Jeżeli to wszystko jest prawdą, to przyznasz Robercie, że takie jasnowidzenie jest rzeczywiście zdumiewające.

— Niesłychanie zdumiewające, istotnie — powtórzył Erwin, który im również towarzyszył, ale potem zamknął za nimi drzwi i powrócił do salonu, chcąc widocznie pomówić z Liljaną.

Młoda dziewczyna zdjęła sobie chustkę z oczu i tarła czoło, jak ktoś, co się budzi z uśpienia. Jęgomość z brodą i młoda cyrkówka spoglądali na siebie uważnie przez chwilę. Potem po krótkim wahaniu mężczyzna skierował się znowu w stronę drzwi i obróciwszy głowę ku Liljanie gładził swą gęstą brodę. Wreszcie roześmiał się głośno i wesoło.

Liljana gotowa zawsze do śmiechu, jeżeli ją ku temu sprowokowano, wybuchnęła również śmiechem.

— Pani się śmieje? — zapytał Erving.

— Śmieję się, bo i pan się śmieje. Ale nie wiem, jaki jest właściwie powód pańskiej wesołości. Czy mogłabym się dowiedzieć?

— Oczywiście, proszę pani. Śmieję się, bo uważam, że to wszystko jest bardzo zabawne.

— Cóż takiego uważa pan za tak zabawne?

Erving postąpił kilka kroków naprzód i rzekł:

— To ogromnie zabawne, ten pomysł zrobienia jednej osoby z człowieka, który kopał pod gładem i tego innego indywiduum, które tej nocy dostało się do zamku i ukradło kolczyki.

— To znaczy? — zapytała Liljana.

— Wyrażam się tedy ściśle: ten pomysł zwalania zgóry kradzieży popełnionej przez p. Wila...

— Na barki p. Ervinga — dokończyła Liljana.

Kuzyn hrabiego odpowiedział jakimś ~~masem~~ ~~masem~~, który miał oznaczać uśmiech, a potem kłaniając się elegancko — rzekł:

— Istotnie, że tak. A zatem gramy w otwarte karty — nieprawdaż. Ani pani ani ja nie należymy do tych ludzi, którzy mają oczy jedynie dla ozdoby. Umiemy oboje dobrze patrzeć. I jeżeli ja tej nocy widziałem czarną postać, wślizgującą się przez okno, to pani widziała...

— Pewnego pana, któremu zwalono gład na głowę.

— Istotnie i powtarzam, to jednak trochę śmiało z pani strony, że pani chce zidentyfikować jednego z drugim. To bardzo śmiało i bardzo niebezpieczne.

— Niebezpieczne? dlaczego?

— Ponieważ każdy atak spowoduje kontratak.

— Nie atakowałam jeszcze. Chciałam jedynie pokazać, że jestem gotową do wszystkiego.

— Nawet do oskarżenia mnie o kradzież tych kolczyków?

— Być może.

— W takim razie powinienem się spieszyć z udowodnieniem, że te kolczyki znajdują się w pani rękach.

— Niech się pan spieszy.

Erving raz jeszcze zatrzymał się na progu i rzekł:

— Więc jesteście wrogami? Dlaczegoż to wszak pani mnie nie zna?

— Nie potrzebuję nawet znać pana, aby wiedzieć, kim jesteś.

— Jaki kim jestem? Jestem Johnem Ervingiem.

— Możliwe. Ale jest pan jednocześnie człowiekiem, który pokryjomu, bez wiedzy swoich krewnych szuka tego, co nie jest jego własnością. A w jakimże to celu czyni? Oczywiście potę, aby dla siebie zagarnąć.

— Panią to obchodzi cośkolwiek?

— Owszem.

— A z jakiego powodu — jeżeli wolno wiedzieć?

— O tem pan się jeszcze dowie.

Gniew błysnął na twarzy mężczyzny. Zapanował jednak nad sobą i rzekł chłodno:

— Tem gorzej dla pani i tem gorzej dla Wila, a zatem do prędkiego widzenia.

Nie mówiąc już ani słowa więcej, ukłonił się i wyszedł.

Dziwna rzecz, że w tym gwałtownym pojedynku słownym Liljana zachowała tyle zimnej krwi i swobody umysłu, że gdy zaledwie drzwi zamknęły się za Ervingiem posłuszna swoim instynktom łobuzerskim zagrała na nosie, następnie wykonała kilka piruetów.

Potem zadowolona sama ze siebie i z tego, co się stało, wyjęła z torebki flakonik z trzeźwiącemi solami i zbliżyła się do Wila, który leżał prawie, że zemdlony na otomanie.

— Powachaj-no chłopaku i przyjdź do siebie.

Wil uniósł się nieco z otomany i szepnął:

— Jesteśmy zgubieni!

— Także masz pomysły, Wilu. Dlaczegoż mielibyśmy być zgubieni?

— On nas zdradzi.

— Oczywiście będzie się starał skierować śledztwo przeciwko nam. Ale zdradzić nas, powiedziec co widział dzisiaj rano, na to się nie odważy, bo

przecież wówczas powiedziałabym, co ja wiedziałam.

— Jednak Liljano nie należało wspominać o kradzieży koleżyków.

— I takby się wkońcu spostrzeżono, że ich nie ma. Fakt, że ja o tem wspomniałam pierwsza odsuwa od nas podejrzenie.

— Albo je zciąga na nas, Liljano.

— W takim razie oskarżę tego jegomościa z broda.

— Bez żadnych dowodów?

— Będę miała dowody.

— Jak ty go nienawidzisz!

— Nie, ale chcę go zgnębić, to niebezpieczny człowiek, Wilu. Ty wiesz, że moja intuicja nigdy mnie nie zawodzi, to zły człowiek, zdolny do wszystkiego.

Oszukuje wszystkich swoich kuzynów z zamku. Uwolnię ich od niego jakimkolwiek sposobem.

— Doprawdy, że ty mnie zadziwiasz. Kombinujesz, obliczasz, działasz, przewidujesz, znać, że ty masz jakiś obmyślany plan.

— Nie mam żadnego planu, mój chłopcze. Działam pod natchnieniem na chybił trafił, zdaje się na los szczęścia.

— A jednak.

— Mam tylko ściśle wytknięty cel przed sobą oto wszystko. Mam tutaj cztery osoby, które jak mi się zdaje, łączy wspólna tajemnica. A potem to słowo Cornvex wymawiane przez mego ojca w chwili śmierci daje mi prawo do badania tej sprawy, gdyby nawet tego człowieka tutaj nie było. Dotychczas te cztery osoby trzymają się razem i odpychają mnie. Ale ja sobie dam radę.

Uderzyła o podłogę nogą. Gest ten zdradzał jej zuchwałą energję.

— Dam sobie radę, Wilu, przysięgam ci. Nie wyczerpałam jeszcze moich rewelacyj. Mogę im jeszcze powiedzieć coś takiego, że ich to skłoni do większej otwartości.

— Cóż takiego, Liljano?

— Dowiesz się potem, mój chłopcze.

Umilkła w tej chwili. Wejrzenie jej przez otwarte okno, pod którym Kastor i Pollux staczali walkę na pięści pobiegło dalej. Słysząc było ciężkie kroki w zamku.

— Żandarmi... żandarmi... wyjąkał Wil. Już są tutaj, rewidują strzelnicę.

— A Erving z nimi — skonstatowała młoda dziewczyna.

— Och, Liljano, cóżes ty uczyniła najlepszego?

— Wszystko mi jedno — odparła niewzruszona swoim postanowieniem. Ci ludzie posiadają tajemnicę, która jest być może i moją własnością. Chcę poznać tę tajemnicę.

— A jednak?

— Gwiżdż na to wszystko, Wilu, mój los rozstrzyga się dzisiaj. Więc zamiast trząść się ze strachu, ciesz się razem ze mną. No, zatańczmy sobie foxtrotta.

Pochwyciwszy go za ramiona postawiła na podłodze niby manekin o uginających się nogach i zaczęła się z nim obracać.

Kastor i Pollux, widząc co się dzieje wdrapali się na okno, a za nimi kapitan Pery. I otoczywszy tę parę zaczęli tańczyć, śpiewając: „Rule Britannia“.

Ale nowe osłabienie Wila położyło kres tym tańcom.

Liljana była już zniecierpliwiona.

— Cóż się to z tobą dzieje? — zapytała, starając się go podnieść i utrzymać na nogach.

— Boję się... boję się.

— Czego ty się właściwie boisz? Jeszcze nigdy nie widziałam cię do tego stopnia podszycyego tchórzem. O co tak drżysz?

— Wszakże klejnoty!

— Idjoto, skoro rzuciłeś je do rowu...

— Nie.

— Jakto, nie rzuciłeś!

— Nie.

— Więc gdzie są?

— Nie wiem. Niema już ich w koszyku, do którego je sam włożyłem. Pudełeczko z kolczykami gdzieś zniknęło.

37-ma strona skończona.

W miarę jak mówił, twarz Liljany poważniała. Zrozumiała, że niebezpieczeństwo jest groźniejsze, aniżeli sądziła początkowo.

— Dlaczego mnie nie uprzedziłeś? Byłabym obrała inną metodę działania.

— Nie śmiałem. Nie chciałem cię trwożyć.

— Ach, Wilu, chłopcze mój, jakże to głupio z twojej strony!...

Nie czyniąc mi żadnych więcej wymówek zapytała:

— I cóż ty przypuszczasz?

— Przypuszczam, że się pomyliłem i nie włożyłem kolczyków do koszyka... przeszukałem cały nasz wóz, ale bez skutku... Ale oni... żandarmi... znajdują je...

Liljana wbrew zwyczajowi swemu pośpiesznie zwiesiła głowę... Jeżeli znajdą u niej kolczyk, to oznacza to aresztowanie... więzienie...

— Pozostaw mnie memu losowi...—jęknął Wil. — Jestem idjotą... kryminalistą... nie staraj się ratować mnie... Zepchnij wszystko na mnie, co zresztą zgodne będzie z prawdą...

W tej chwili na progu westybulu stanął żandarm w mundurze brygadjera. Żandarmowi towarzyszył służący zamkowy.

— Ani słowa — szepnęła Liljana — zabraniam ci, abyś wypowiedział choćby jedno słowo!...

Brygadjer postąpił naprzód:

— Panna Liljana...

— Ja nią jestem, panie brygadjerze!... Czego pan sobie życzy?...

— Proszę iść za mną... Należy...

Przerwał, bo właśnie nadbiegła hrabina w towarzystwie swego męża i Roberta Doberty.

— Nie!... nie!... panie brygadjerze!... — wołała hrabina — sprzeciwiam się absolutnie wszystkim, co mogłoby być uważane za akt nieufności w stosunku do panny Liljany... To jakieś nieporozumienie!...

Robert protestował również, ale hrabia Henryk rzekł:

— Droga moja, to przecież tylko prosta formalność, która musi być zastosowaną do wszystkich. Wszakże popełniono kradzież? Rzeczą tedy naturalną jest, że rewizji muszą poddać się wszystkie osoby, które znajdują się w zamku...

— Ależ to panna Liljana powiedziała nam o tej kradzieży!... To ona od godziny informuje nas o wszystkim, co się wokół nas dzieje!...

— Czy śledztwo w czemkolwiek jej ubliża?... Wszakże Erving zwraca na to uwagę, że może kopie czyki nie zostały skradzione z kasety... może wyjęłaś je sama machinalnie, a potem zgubiłaś... może je ktoś znalazł i podniósł...

Żandarm, widząc, że małżonkowie sprzeczne mają w tej kwestji zdania, nie wiedział co począć. Dopiero Liljana położyła kres kłopotliwej sytuacji.

— Pan hrabia ma rację — rzekła. — Moja rola w tej sprawie może wydać się podejrzaną. Słusznie można zadawać sobie pytanie, skąd znam literę otwierającą zamek i czy moje zdolności czarodziejskie są wystarczającym wytłumaczeniem mojego jasnowidztwa...

Młoda dziewczyna pochyliła się i łagodnie pocałowała rękę hrabiny.

— Niech pani nie asystuje przy rewizji... To niezbyt miła rzecz... My linoskoki cyrkowe nawykliśmy do takich podejrzeń... Ale pani hrabinie byłoby to z pewnością przykrem... Ale potem po przesłuchaniu chciałabym z panią hrabiną porozmawiać... Mam pani coś do powiedzenia...

— Chętnie pani służyć będę...

— No, a teraz chodźmy, panie brygadjerze...

Liljana odeszła ze swymi czterema towarzyszami i z żandarmem.

Wil miał minę skazańca, prowadzonego na szafot. Kapitan Pery z rączkami w kieszeniach zaplatał nóżkami w zadługich spodniach i gwizdał wesoło jakąś amerykańską piosenkę.

Liljana przed swoim wozem zobaczyła Ervinga, który stał, rozmawiając z dwoma służącymi z zamku.

— Ach! więc to pan kieruje rewizją — rzuciła swobodnym tonem Liljana.

— Ze względu na panią podjąłem się tej funkcji — odrzucił tym samym tonem.

— W takim razie nie mam wątpliwości co do rezultatów.

I zwracając się do żandarma, rzekła:

— Nie mam żadnego klucza. Cyrk Litranys nie zna zamków. Wszystko stoi otworem.

Żandarm z widoczną niechęcią zabierał się do pełnienia obowiązku, ale dwaj służący pełnili skwapliwie rozkazy Ervinga.

— Proszę wybaczyć mi — rzekł Erving cicho do młodej dziewczyny — uważam jednak, że nie wolno zaniedbać niczego... Trzeba wykazać, że pani niema z tą sprawą nic wspólnego...

— To niebezpieczne — rzekła Liljana z ironją.

— Pamięta pani treść naszej rozmowy. Jeden jest tylko winowajca: albo ja, albo pani.

Widać było, że Erving uważa młodą dziewczynę za przeciwnika groźnego, albowiem pomimo jej szyderczych uwag nie przestał być uprzejmym, prawie nadskakującym, co wszakże nie przeszkadzało mu rozkazać służącym, aby dokładnie przetrząsali wszystkie skrzynie i kosze. Wyciągano z nich różne kolorowe szmatki, w które Liljana lubiła się stroić. Nic podejrzanego nie znaleziono.

Zbadano jak najdokładniej wszystkie zakątki wozu, rozpruwano materace, przetrząsano zapasy spiżarniane, zaglądano nawet do worka z owsem przeznaczonym dla konia.

Zrewidowano wszystkich czterech chłopców. Po kojówka dokonała rewizji ubrania Liljana. Wszystkie te poszukiwania okazały się bezskuteczne. Nigdzie nie znaleziono śladu kolezyków.

— A to — rzekł żandarm, wskazując wielki koszyk napchany różnymi rupieciami, umieszczony pod wozem.

Dyskretne kopnięciem Liljana wyprostowała Wila, który się słał na nogach.

— Uciekajmy wyjakał.

— Głupi jesteś. Przecież kolezyków tam niema.

— Mogłem się pomylić.

— Powtarzam ci, żeś głupi. W takim wypadku nie można się pomylić.

— Więc gdzie jest to pudełeczko?

— Chyba ślepy jesteś.

— Więc ty je widzisz?

— Jak twoją głupią głowę.

— Jest w wozie?

— Nie.

— Więc gdzie?

— Na ziemi, w odległości 10 kroków od ciebie, leży pomiędzy nogami Ervinga.

Wzrokiem wskazywała wózek do zabawki, będący własnością kapitana Peri, naładowany rozmaitymi pudełkami i pustymi flaszeczkami. Wśród tych pudełek widniało małe, kartonowe pudełeczko, zawierające kolezyki.

Informując Wila o tem niespodziewanem odkryciu Liljana nie zdawała sobie w całej rozciągłości sprawy z przenikliwością i subtelnością wzroku swego przeciwnika. Popęlniła w ten sposób omyłkę brzemiennej w skutki.

Poprzez szkła swoich okularów Erving śledził nie tyle Liljanę, ile Wila, ponieważ dobrze zauważył jego niepokój i zdenerwowanie. Na twarzy Liljany trudno było coś wyczytać, albowiem młoda dziewczyna umiała zachować zimną krew. Ale Wil, który nie panuje nad sobą, może przecież coś zdradzi wyrazem twarzy?

I tak się stało istotnie. Wil, skoro rozpoznał matkę, czerwone pudełeczko, odetchnął z ulgą.

Pomyślał, że przecież nikt nie wpadnie na to, aby przetrząsać te bezwartościowe zabawki dziecięce, które się walały po piasku i mogły być zdeптane przez pierwszego lepszego przechodnia. Kilkakrotnie Erving potrącił wózek nogą, co u małego kapitana wywołało cierpką uwagę.

— Proszę pana, a jakby pan miał auto, a ja je potrącałem, to ooby pan na to powiedział?

Erving dostrzegł w jakim kierunku idą oczy Wila, pogonił za nim wzrokiem i instynktem wiedziony, zrozumiał.

Kolczyki znajdowały się tam, przypadkiem ukryte przez niewiedzącego o niczem malca. W którym jednak znajdować się mogą pudełku. Czerwone pudełeczko wydało mu się najbardziej podejrzane. Nie mówiąc ani słowa pochylił się nagle i podniósł je. Następnie szybkim, ukradkowym gestem uniósł wieczka, a wśród białych kamyków i muszelek błysnęły mu dwa szafiry...

Erving rzucił spojrzenie na Liljanę. Młoda dyrektorka cyrku była bardzo blada.

Rozdział IV.

Śledztwo.

Liljana nie spuszczała oczu ze swego wroga. Czuliła się w tej chwili zwyciężoną. Jedno słowo tego człowieka mogło ją oddać w ręce sprawiedliwości, rzucić do więzienia i zniweczyć wszystkie pogroźki, jakie ona przedtem pod jego adresem wygłaszała. Cóż znaczy bowiem oskarżenie złodziejki.

Z pełnym ironji zadowoleniem Erving kołysał się z nogi na nogę i taką miał minę, jakby oczekiwał błagań z jej strony. O jakże mało znał Liljanę. Na twarzy młodej dziewczyny malowało się tyle pogardy, jak gdyby chciała powiedzieć:

— Jeżeli powiesz choć słowo, jesteś zgubiony.

Wzruszył ramionami i zwracając się do żandarma, który nie zauważył nic z tego wszystkiego, rzekł:

— A zatem skończyliśmy i dzięki Bogu z pełną dła pani satysfakcją. Boże, cóż to za przykra robota.

— Nie trzeba było jej tedy podejmować — odezwała się hrabina, która w tej chwili zbliżyła się ku niej w towarzystwie męża i Roberta.

— Ależ owszem, droga kuzynko, mąż twój i ja mieliśmy pewne wątpliwości. Najlepiej było tedy wyjaśnić je odrazu.

— I nic nie znaleziono? — zapytał hrabia.

— Nic... prawie że nic, tylko pewną drobnostkę, którą bawił się kapitan Peri; panna Liljana sama zechciała mi ją wręczyć. Nieprawdaż pani?

— Tak jest — odparła spokojnie Liljana.

Erving pokazał czerwone pudełeczko i podając je hrabinie, rzekł:

— Droga kuzynko, zechciej je przechować aż do jutrzejszego poranka. Czy dobrze?

— Dlaczegoż ja, a nie ty, kuzynie?

— To nie byłoby to samo — rzekł. — Oddać to pudełko w twoje ręce oznacza to samo, co zapieczętować je. Jutro przy śniadaniu otworzymy je razem.

— Chcesz tego koniecznie?

— Tak jest, zależy mi na tem.

— A więc dobrze — zgodziła się hrabina — zgadzam się, jeżeli panna Liljana nie ma nic przeciwko temu.

— Ależ proszę panią hrabinę o to, — odparła Liljana, która zrozumiała, że krytyczny moment został odroczone do jutra. — W pudełeczku tem niema nic ciekawego oprócz kamyków i muszelek, ale jeżeli pana to bawi, jeżeli pan czuje potrzebę kontroli, niechże mu pani hrabina nie odmawia tej małej satysfakcji.

Pozostawała do wypełnienia jeszcze jedna formalność dla żandarma, prowadzącego poszukiwa-

nia, najbardziej zasadnicza. Chodziło bowiem o stwierdzenie identyczności osób, to znaczy skontrolowanie dokumentów osobistych. Pod tym względem władza nie zna żartów. Oczywiście wszyscy mieszkańcy zamku byli ciekawi dowiedzieć się kim właściwie jest ta młoda osoba, która ich tak silnie intrygowała od kilku godzin. Jak się nazywa? skąd przybywa? jakie jest jej prawdziwe nazwisko? Jak sobie wytłumaczyć, że ta istota, tak inteligentna, tak dystygowana wędruje po gościńcach w cyrkowym stroju w towarzystwie czterech urwisów.

Liljana zapytana o papiery wyjęła jakiś dokument, na którym widniał szereg podpisów i pieczęci, podała go żandarmowi.

— Czy to wszystko co pani posiada — zapytał żandarm po chwili.

— Czyż to nie wystarcza? Tym samym dokumentem legitymowałam się dzisiaj w gminie.

— No, im może to wystarcza — rzekł żandarm z pewnym wyrazem pogardy — ale cóż to za imiona Kastor i Poluks, któż się tak nazywa? Albo kapitan Peri, przecież ten malec musi mieć jakieś imię i nazwisko?

— Nie bliższego panu o ich rodzinach powiedzieć nie mogę. Wszystkie to są sieroty wojenne, które pozostały bez opieki i bez rodziny. Zapiekowałam się niemi, bo zginęłyby bezemnie.

— Ach tak, — szepnęła żandarm, — to bardzo pięknie z pani strony, to bardzo pięknie. Tylko obecnie chciałbym zobaczyć pani licencję, uprawniającą do prowadzenia cyrku.

— Mam ją panie brygadjerze.

— Proszę mi ją pokazać.

Młoda dziewczyna zawahała się. Spojrzała na hrabiego, potem na hrabinę.

— Czy mamy odejść? — zapytała hrabina.

— Nie, nie — odrzuciła żywo Liljana, — oczywiście, chcę, abyście państwo wiedzieli.

— A my czy mamy pozostać? — zapytał Robert.

— Owszem.

Liljana wydobyła obecnie przybrudzoną kartę z poobdzieranemi rogami.

— Proszę, oto jest — rzekła.

Żandarm uważnie przebiegł oczyma dokument i tonem niedowierzania rzekł:

— Ależ to przecież nie jest pani nazwisko. To taki sam pseudonim cyrkowy jak i tych młodych pani towarzyszy.

— Nie, panie brygadjerze!

— Ależ proszę pani, chyba tego nie zechce pani we mnie wmówić.

— Oto moja metryka urodzenia z gminy Pornwallu.

Hrabia Henryk wykrzyknął.

— Jako, pani pochodzi z Pornwallu?

— Tak jest, panie hrabio.

— Bo właśnie mieliśmy tam przyjaciela, krewnego.

— Czyżby Jana of Pornwall — zapytała.

— Istotnie Jan of Pornwall, który zmarł w szpitalu wojskowym wskutek rany odniesionej w bitwie. Lord of Pornwall, czy pani go znała?

— Znałam.

— Gdzie? Kiedy? W jakich warunkach pani go poznała?

— Mój Boże, w najprostszyc w świecie warunkach, w takich warunkach w jakich poznaje się człowieka, który nam jest bliski.

— Jako pani była z lordem of Pornwall spokrewnioną?

— Tak jest, nawet bardzo blisko spokrewnioną. Był moim ojcem.

— Jako lord of Pornwall pani ojcem? Toż to niemożliwe. Zresztą córka lorda nazywała się Anna.

— Anna, Elżbieta, Liljana.

Hrabia wyrwał z rąk żandarma dokument, który

ten bezradnie w rękę obracał i głośno zdumiony przeczytał.

— Anna, Elżbieta, Liljana of Pornwall, urodzona w Pornwallu, 14 listopada w 1900 roku, ślubna córka lorda Jana of Pornwall i jego małżonki Jessie Varen.

Wszelkie wątpliwości były rozproszone. Autentyczność dokumentu nie podlegała kwestji.

Hrabina była ze wszystkich najbardziej wzruszona.

— Anna? więc to pani jesteś tą małą Annie, o której lord mówił zawsze z tak wielką tkliwością?

— Kochał mnie bardzo — odrzekła młoda dziewczyna — niestety okoliczności rozdzieliły nas i nie pozwoliły mi przebywać przy nim tak, jakbym sobie tego życzyła. Ale kochałam go tak samo, jak gdybym go widywała co dnia.

— O tak, — rzekła hrabina — nie można go było nie kochać. Widziałam go coprawda tylko dwa razy w mem życiu, w Londynie, w pierwszych miesiącach wojny, ale jakież uroczyste wspomnienie zostało mi po nim. Człowiek pełen humoru, życia, temperamentu, zapału, tak jak ty Liljano i odnajduję go w tobie. Szczególnie te oczy i uśmiech.

Liljana pokazała dwie fotografje, które wyjęła z pośród starych papierów.

— To fotografja mego ojca, pani hrabino. Poznaje go pani?

— Oczywiście, że poznaję, a ta dama na drugiej fotografji, kto to?

— To moja matka, która już oddawna nie żyje. Ojciec ją uwielbiał.

— Tak, tak, wiem... była niegdyś aktorką i dlatego małżeństwo ojca napotkało na pewien opór rodziny. Przypominam sobie. Pomówimy jeszcze o tem wszystkim. Chciałabym się dowiedzieć czegoś bliższego o twem życiu, o warunkach, które cię zmusiły do obrania sobie tego rodzaju karjery,

a przede wszystkim w jaki sposób znaleźliście się tutaj?

Liljana zaczęła opowiadać, jak to przypadkowo na drogowskazie wyczytała nazwę zamku Cornwall, które to słowo ojciec jej powtarzał, umierając. Ale hrabia Henryk przerwał jej.

Hrabia był człowiekiem, który lubiał wszystkimu, co się wokół niego działo, nadawać charakter o ile możności jak najbardziej uroczyście i przytem wysuwać na pierwszy plan swoją własną osobę. Uważał, że wszędzie i zawsze powinien grać pierwszą rolę, bo mu się to należało z urodzenia i z majątku.

Dla formy tylko zapytał o zdanie swoich dwóch kuzynów, a potem nie słuchając nawet odpowiedzi, odprawił żandarma, z niedbałą miną wielkiego pana. Następnie wyprawił za drzwi Willa i trzech malców, pozamykał starannie wszystkie drzwi, usadowił obie kobiety i teraz spacerował przed nimi z rękami założonemi na plecach, z miną pogrożonego w zadumie.

Liljana była zadowolona z siebie. Hrabina okazywała jej wyraźnie sympatję i zaufanie. Robert wydawał się również usposobionym przyjacielsko. Wszystko składało się jak najlepiej. Oczywiście w tej pięknej całości był pewien przykry punkt, który stanowiły twarde, wrogie oczy mężczyzny z brodą. Te oczy przenikliwe, widzące wszystko nie odrywały się od twarzy młodej dziewczyny.

Ale pełna ufności we własne siły, zuchwała i śmiała z natury, przyjmowała bez lęku wyzwanie do walki i nie drżała przed groźbą niebezpieczeństwa, które mogło ją jednak lada chwila zdruzgotać.

— Panno Liljano — rzekł hrabia poważnym, uroczystym głosem — kuzyni moi i ja osądziliśmy, że ze względu na to, iż pani jest córką naszego nieodżałowanego Jana Pornwalla, powinna pani być wtajemniczoną w pewne wypadki, które były jemu wiadome, a o których napewnoby córkę swoją

poinformował, gdyby mu śmierć w tem nie przeszkodziła. Wiemy nawet, że chciał, aby pani o tem wiedziała.

Hrabia przerwał na chwilę, jakby upojony własnym głosem i gładkością frazesów. Po chwili ciągnął dalej:

— Pani, ojciec mój, Franciszek Barnton, dziad mój Dominik Barnton i pradziad mój Gaspard Barnton pozostawali w przekonaniu, że olbrzymie bogactwa staną się ich własnością przez... jakby tu powiedzieć... dzięki specjalnym, nieznanym dotychczas okolicznościom. Każdy z nich cieszył się tą myślą i żywił nadzieję podźwignięcia domu hrabiów Barnton, zwłaszcza, że wypadki wewnętrzno-polityczne zrujnowały rodzinę. Na czem to przekonanie opierało się? Ani Franciszek, ani Dominik, ani Gaspard nie potrafiliby tego ściśle określić. Przekonanie to czerpali ze starych opowieści nie określających zresztą ściśle ani charakteru tych bogactw, ani epoki, w której one zostaną ujawnione. Ale wszyscy oni nadzieje te swoje wiązali z zamkiem Cornwell. Legendy te nie musiały sięgać zbyt daleko w przeszłość, ponieważ zamek ten, który dawniej nazywał się Barnton, dopiero za panowania Jerzego III, otrzymał nazwę Barnton-Cornwell. Czyżby ta zmiana nazwy wywołała nadzieje jakichś legendarnych skarbów? I to możliwe. W każdym razie na początku wojny postanowiłem odrestaurować zamek Cornwell, który od dłuższego czasu był już tylko zamkiem myśliwskim i zamierzałem tutaj zamieszkać, przyczem stwierdzam, że małżeństwo moje z hrabiną pozwalało mi oczekiwać tych tajemniczych bogactw, bez zbytnej jednak niecierpliwości.

Hrabia zlekka się uśmiechnął, robiąc te aluzje do sposobu, w jaki zdołał pozłocić na nowo swoją zezerniałą, nieco tarczę herbową.

Następnie ciągnął dalej:

— Zbytecznem jest chyba dodawać, że w czasie wojny hrabia Henryk Barnton spełnił swój obo-

wiązek wobec ojczyzny. W 1915 roku, wypadki wojenne zetknęły mnie z całym szeregiem osób poprzednio mi nieznanych, a połączonych z moją rodziną węzłami pokrewieństwa. Poznałem tedy ojca Roberta, generała Jerzego Doberti, potem Johna Ervinga, a wreszcie Jana Pornwalla. Wszyscy czterej byliśmy dalekimi kuzynami, wszyscy na urlopie lub w stanie rekonwalescencji. Spędzając wspólnie czas, ze zdziwieniem dowiedzieliśmy się, że ta sama legenda kursuje w każdej z naszych rodzin i przechodzi z ojca na syna. Jerzy Doberti, Erving i lord Pornwall oczekiwali owej bajecznej fortuny, która im była przyrzeczona i przy pomocy której mieli załatać długi, a długów tych było dosyć, tembardziej, że każdy robił je na rachunek owego legendarnego spadku. Żaden z nas nie znał bliższych szczegółów, nie mieliśmy żadnych wskazówek.

Po krótkiej pauzie, mającej potęgować efekt wypowiedzianych słów, hrabia mówił:

— A jednak, była pewna wskazówka. Oto Jan Pornwall przypomniał sobie pewien złoty medal, o którego ważności wspominał mu niegdyś ojciec. Ojciec zginął z powodu wypadku na polowaniu w kilka dni potem, nie powiedziawszy nic więcej. Ale Jan stwierdzał, że na medalu tym było wyrytych kilka słów, a jednym z nich miało być stanowczo słowo Cornwell, wokół którego skupiały się wszystkie nasze nadzieje. Obiecał nam tedy przeszukać wszystkie skrytki swego starego domu w poszukiwaniu owego medalu. Ale przedtem wszyscy czterej, jako ludzie uczciwi a zdani na igraszkę losu wojny, złożyliśmy uroczystą przysięgę, że wszystkie nasze odkrycia, dotyczące się tajemniczego skarbu będą naszą wspólną własnością. Skarby, jeżeliby opatrność pozwoliła nam je wykryć, miały należeć do całej czwórki. Jan Pornwall, którego urlop wygasiał, opuścił nas tedy.

— Było to przy końcu 1915 roku, nieprawdaż? — zapytała Liljana. — Przepędziliśmy wówczas ra-

zem osiem dni. To były najpiękniejsze dni w mo-
jem życiu. Wtedy widziałam ojca już po raz ostatni.

— Istotnie, było to w 1915 roku — przyznał hra-
bia. — W miesiąc później Jan Cornwall ranny w
bitwie został wysłany do szpitala w Dunkierce,
skąd napisał do nas po pewnym czasie długi list.
Niestety, listu tego nie zdołał dokończyć.

Hrabina wykonała gest, który zdawał się wyra-
zać pewne niezadowolenie.

— Owszem, owszem, pokażę ten list, — powie-
dział stanowczym tonem hrabia.

— Może masz rację, mój przyjacielu — powie-
działa hrabina, — a jednak...

— Czego się pani obawia, hrabino — spytała
Liljana?

— Obawiam się, by cię nie zmartwić niepotrze-
bnie Liljano. Zakończenie tego listu odkryje ci bądź
co bądź, bolesne rzeczy.

— Obowiązkiem naszym jest jednak te rzeczy
jej wyjawić — zdecydował hrabia.

Hrabia wydobyl z swego portfelu list pisany na
arkuszu z pieczętką czerwonego krzyża.

Liljana uczuła, że serce jej ścisła się boleśnie.
Rozpoznała pismo ojca. Hrabina uściśniła ją za
rękę.

Hrabia czytał:

„Mój drogi Henryku!

„Przedewszystkiem chcę uspokoić wasze obawy
odnośnie mojej rany. To nie wielkiego. Żadnych
kompliakcyj, tylko wieczorem mam trochę gorącz-
ki, co wprawia w kłopot lekarza. Ale to przejdzie,
nie warto o tem mówić i przejdźmy do szczegó-
łów mej podróży.

„Henryku! Powiem ci odrazu, że podróż moja
nie była bezskuteczną i że po usilnych poszukiwa-
niach znalazłem pośród starych, wyrzuconych na
strych gratów, ów cenny medal. Skoro wyzdrowie-
ję, postaram się przyjechać do was i pokażę co zna-
lałem. Obecnie jednak wspomnę wam tylko tyle,
że na jednej stronie medalu znajdują się trzy sło-

wa łacińskie: „In robore fortunae“ co znaczy: „szczęście w potędzie“.

„Być może, drogi Henryku, iż znajdujemy się obecnie już na dobrej drodze, a kto wie, czy w tych usiłowaniach naszych nie dopomoże nam w sposób nieprzewidziany młoda osóbką, obdarzona z natury niezwykłą ciekawością, z którą przepędziłem obecnie kilka cudownych dni... mam tutaj na myśli moją drogą, małą córeczkę Elżbietę.

„Wiesz drogi przyjacielu, że niejednokrotnie żałowałem, iż los nie pozwala mi być takim ojcem, jakbym nim być pragnął. Miłość moja dla tej, która była matką Elżbiety, boleść moja po jej śmierci, moje życie wędrowne w ciągu tylu lat, trzymały mnie w oddaleniu od mojej skromnej fermy, którą wprawdzie jeszcze w okolicy mianują dworem, ale która obecnie jest właściwie tylko ruiną.

„W ciągu tego całego czasu córka moja żyła pod opieką służby folwarcznej i wychowywała się właściwie sama, biorąc lekcje u księdza, lub u nauczyciela wiejskiego, przedewszystkiem zaś ucząc się z całej przyrody. Niejednokrotnie, gdym przybywał na krótko do mego starego domu, zdumiewała mnie swoim zmysłem praktyczności i niezwykle rozwiniętą inteligencją. Obecnie, choć liczy dopiero lat 15, osądza ludzi i rzeczy, jak osoba zupełnie dorosła i dojrzała. Odnacza się przytem niezwykłą przenikliwością wzroku, nie z pozorów sądzi, ale przenika rzecz do głębi. Powiedziałbym poprostu, że ma jakieś kocie oczy, które widzą nawet w ciemności.

— Albo przynajmniej tak stwierdzono oficjalnie — dokończył hrabia ciszej.

— Co pan mówi? Co pan powiada! — wykrzyknęła Liljana — więc śmierć mojego ojca nie nastąpiła wskutek odniesionej rany?

— To nie jest zupełnie pewnem — szepnął hrabia.

— Więc jakież był powód jego śmierci? Jakże jest pańskie zdanie, co pan przypuszcza?

„Kochany Henryku, skoro wojna się skończy, przywiozę do was moją drogą Elżbietkę i zapewniam was, że będzie nam dobrze razem drodzy przyjaciele...”

Hrabia przerwał. Liljana uśmiechała się smutnie, wzruszona do głębi słowami listu. Po chwili zapytała:

— Wszak to nie wszystko jeszcze, prawda?

— Właściwie list sam przez się już skończony, — odparł hrabia. List ten został wysłany w piętnaście dni później, aniżeli opiewa data, ja zaś z różnych powodów dostałem go z opóźnieniem trzytygodniowym. W jakiś czas potem dowiedziałem się, że wieczorem, w dniu wysłania listu, Jan Cornwall miał silny atak gorączki, że ta gorączka wprowadziła w zdumienie lekarza, który stwierdził nagłą infekcję rany. Ojciec pani zmarł wskutek zakażenia krwi, albo przynajmniej...

— Albo przynajmniej... — zapytała młoda dziewczyna.

V.

Śmierć ojca Liljany.

Hrabia milczał.

Liljana z trwogą, jaką się uczuwa przed wypowiedzeniem pewnych fatalnych słów, wyszeptwała:

— Czy to możliwe? Czyżby go zamordowano? Zamordowano mojego ojca!

— Pewne poszlaki wskazują na to.

— Jakiego środka użyto?

— Trucizny.

Cios był silny. Łzy popłynęły z oczu młodej dziewczyny.

Hrabia pochylił się nad nią i rzekł:

— Niech pani czyta. Sądzę, że ojciec pani w międzyczasie, oddzielającym jeden atak gorączki od drugiego, napisał te ostatnie słowa. Po jego śmierci zarząd szpitala, znalazłszy list i zaadresowaną kopertę, wysłał go, nie troszcząc się o treść listu.

Proszę popatrzeć, jak zostały napisane te ostatnie zdania... To jest pismo człowieka chorego, zdobywającego się na najwyższy wysiłek woli... Palce piszącego słabły snąć co chwila.

Liljana otarła łzy. Chciała wiedzieć i osądzić sama. Czytała tedy półgłosem:

„Co za dziwny sen: Ale czy to naprawdę sen? Co to ja widziałem tej nocy, czyżby to było widziadło gorączkowe? A może to była rzeczywistość... Inni ranni, moi sąsiedzi nie obudzili się, a jednak ci ludzie robili hałas... było ich dwóch, rozmawiali cicho... w ogrodzie, poza oknem, które było uchylone prawdopodobnie z powodu upału. A potem ktoś popchnął okno. Aby to zrobić, jeden musiał wyjść na ramiona drugiego... Czego chciał? Usiłował wysunąć rękę, ręka ta wyciągała się w kierunku stolika przy mojem łóżku. Zrozumiałem wtedy. Tam znajdował się w szufladzie medal. Chciałem krzyknąć a coś mi zaciskało gardło, a przytem inna rzecz mnie ubezwładniała. W tajemniczej ręce ujrzałem flakonik, na stoliku stała szklanka wody, przygotowanej dla mnie do zażycia lekarstwa... ręka wlała kilka kropli z flakonika do szklanki. Och, co za zgroza, trucizna bezwątpienia, ale ja nie wypiję tej wody, nie, nie, i piszę to dzisiaj rano, aby to sobie wyryc w pamięci... zapisuję, że ręka otworzyła szufladkę i w chwili, kiedy zagrabiła medal, widziałem... widziałem na nagiem ramieniu ponad łokciem wypisane słowa:

Liljana pochyliła głowę, ponieważ pismo stawało się coraz bardziej niewyraźnem, prawie nieczytelnem. Z trudem odcyfrowała słowa:

„...trzy słowa... wytatuowane jak u marynarzy... trzy słowa, ach mój Boże, te same trzy słowa wyryte były na medalu: „In robore fortunae“.

Na tem kończyły się zapiski rannego, dalsze słowa to były już tylko zygzaki, niemożliwe do odczytania.

Młoda dziewczyna przez długą chwilę trwała z pochyłą głową, z pod napół przymkniętych po-

wiek, po delikatnych, świeżych policzkach, płynęły łzy. Czuć było, że myśl o tragicznej śmierci ojca wstrząsnęła całą jej istotą.

Hrabia po chwili mówił dalej:

— Widocznie gorączka powróciła i Jan nieprzytomny już wypił wodę z trucizną, albowiem według wszelkiego prawdopodobieństwa była to trucizna. Bo cóż innego mógł zawierać flakonik tego tajemniczego człowieka? Wyznaję jednak, że żadnej pewności pod tym względem nie zdołaliśmy zdobyć. Erwing i ojciec Roberta, powiadomieni natychmiast przeze mnie, towarzyszyli mi do Dunkierki. Niestety, lekarza i obie pielęgniarki, które były przy śmierci Jana, przeniesiono do innego szpitala, a mnie przedstawiono oficjalny dokument, stwierdzający śmierć wskutek zakażenia rany. Kuzynowie moi obaj uważali, a ja przychylałem się do ich zdania, że dalsze badania nie mają celu, bo chociażby istotnie spełniono zbrodnię, to jak to udowodnić? Czyż kilka zdań, napisanych przez chorego w gorączce może przedstawiać dostateczny dowód? A czy pani nie podziela naszej opinii?

Liljana nie odpowiadała co zmieszało trochę hrabiego Henryka. Jakby broniąc się mówił dalej:

— Nie mogliśmy nic więcej uczynić proszę pani. Z powodu wójny napotykalśmy co chwila na nieprzewyciężone trudności. Zdawaliśmy sobie wprawdzie sprawę, że zjawił się jakiś rywal, jakiś wróg nieznany, zdolny do najgorszych czynów, aby tylko dojść do celu. Ale kto jest tym wrogiem i gdzie go szukać. Wypadki nie pozwoliły się dłużej nam zajmować tą sprawą. Minęły miesiące, Jerzy Barthon padł w bitwie, Erwing został ranny a ja sam musiałem wyjechać w misji wojskowej na wschód, skąd wróciłem dopiero po zawarciu pokoju. Postanowiliśmy prowadzić tutaj dalej poszukiwania i w tym celu odnowiłem zamek tak, aby stał się naprawdę siedzibą mieszkalną. Inauguracja odbyła się wczoraj, a dzisiaj przypadek panią tutaj sprowadził.

— Zrozumie pani z łatwością, jak wielkiem było nasze zdumienie, gdyśmy się za pani pośrednictwem dowiedzieli, że poszukiwania rozpoczęto już bez naszej wiedzy i że słowem rozwiązania tej zagadki jest słowo fortuna, które ojciec pani wyczytał dwukrotnie: na złotym medalu i na obnażonym ramieniu człowieka, który mu ukradł ten medal. Nabraliśmy takiego zaufania do pani zdolności jasnowidzenia, że moja żona i Robert chcieli panią wtajemniczyć we wszystko. Muszę przyznać, że hrabina wykazała wielką intuicję i bystrość sądu, ponieważ ta ufność, którąśmy odczuwali odnosiła się do Elżbiety Cornwall.

— Jest to zupełnie naturalnem, że proponujemy pani współpracę. Zajmie pani miejsce swego ojca, tak jak Robert Doberti zastępuje Jerzego Doberti. Związek nasz w ten sposób nie będzie zdekompletowany.

Liljana nie odpowiedziała ani słowa. Trwała ciągle w upartem milczeniu. Oczy jej spoglądały w próżnię. Nie poruszała się.

Hrabina po chwili zapytała łagodnie.

— Co ci, droga Liljano? Ten list tak cię przygnębił. Śmierć twego ojca, nieprawdaż?

— Tak jest — rzekła Liljana po chwili głuchym głosem — to przecież takie okropne,

— Więc pani sądzi również, że go zamordowano?

— Oczywiście. Inaczej znalezioneby medal.

— I sądzi pani, że trzeba było powiadomić o wszystkim władze sądowej?

— Nie wiem... nie wiem — rzekła młoda dziewczyna.

— Ostatecznie możnaby podjąć tę sprawę, proszę być pewną naszej opieki i pomocy.

— Nie — rzekła — wolę działać sama. Tak będzie lepiej. Odnajdę winowajcę. Poniesie zasłużoną karę, przyrzekam to pamięci mego ojca... przyśięgam...

Ostatnie słowa wypowiedziała uroczyście, podnosząc lekko prawą rękę w górę.

— Dopomożemy ci, Liljano — oświadczyła hrabina — żywię bowiem nadzieję, że nas nie opuścisz teraz, pragniemy, abyś się czuła jak we własnym domu, jak wśród swoich, bo wszakże jesteś wśród swoich.

Liljana pochyliła głowę.

— Doprawdy, że pani zbyt dobra.

— To wcale nie dobroć. To sympatja, przywiązanie. Zdobyłaś odrazu moje serce, więc proszę cię o przyjaźń.

— Masz ją hrabino w całej pełni. 'Ale...

— Jakto, odmawia pani — powiedział hrabia tonem lekkiej irytacji — proponujemy córce naszego kuzyna Jana Cornwalla życie, odpowiadające jej nazwisku i urodzeniu a pani woli powrócić do tego koczowniczego, jarmarcznego, nędznego żywota?

— Nasza egzystencja nie jest znowu tak nędzną, jakby się zdawało. Czwooro moich dzieciaków i ja przywykliśmy już. Zresztą zdrowie ich wymaga...

Hrabina nalegała:

— Ależ to wprost niemożliwe. Chyba, że jest jakiś tajemny powód.

— Niema żadnego, zapewniam panią.

— W takim razie pozostaniesz przynajmniej przez kilka dni a od dzisiejszego będziesz jadła i spała w zamku.

— Proszę mi wybaczyć, hrabino, ale naprawdę czuję się trochę zmęczoną i wyczerpaną. Odczuwam potrzebę samotności.

Istotnie na twarzy młodej dziewczyny malowało się najwyższe znużenie. Patrząc na tę twarz tak pośepną w tej chwili, takim wyrazem bólu nacechowanym — trudno sobie było uświadomić, że zwykle gościł na niej wesoły, beztroski uśmiech.

Hrabina nie upierała się dalej.

— A więc dobrze, odłożmy decyzję do jutra. Tylko proszę nam przysłać dzisiaj wieczorem swoje dzieciaki, miło nam będzie ugościć je obiadem. Do jutra zastanowisz się, a jeżeli będziesz się upie-

rała przy swem postanowieniu, to oczywiście będziemy musieli się z tem pogodzić.

Liljana wstała z fotelu i skierowała się ku drzwiom. W chwili, gdy już wyjść miała, zawałała się. Pomimo bólu, jaki ją dręczył, tajemnicza historja rodzinnego skarbu zajmowała jej umysł, rzec można podświadomie. I nagle rzekła, rzucając pierwszy promień światła w mroki.

— Sądzę jednak, że wszystkie te legendy kursujące w naszych rodzinach, zgodne są z rzeczywistością. Muszą gdzieś istnieć jakieś skarby zakopane lub ukryte, które pewnego dnia staną się własnością człowieka, będącego w posiadaniu talizmanu. Tym talizmanem, który ma otworzyć drogę do sezamu, jest właśnie ów złoty medal, zrabowany memu ojcu i dlatego chciałabym się dowiedzieć, czy który z was poza ojcem słyszał coś kiedy o tym medalu w związku z legendą o skarbie.

Na to odparł Robert:

— Mogę pani na to odpowiedzieć, panno Liljano, że przed kilku tygodniami widziałem taki medal w rękach mojego dziadka, z którym mieszkam razem na wsi. Dziadek mój, skoro spostrzegł, że go obserwuję, natychmiast schował medal do pudełka.

— I nie dał panu żadnego wyjaśnienia?

— Żadnego, tylko w przededniu mego wyjazdu rzekł mi: „kiedy powrócisz, wyjawię ci coś bardzo ważnego. I tak się z tem trochę już spóźniłem”.

— I pan sądzi, że to się odnosiło do kwestji, która nas w tej chwili zajmuje?

— Owszem, tak sądzą. Zaraz po mojem przybyciu do zamku opowiedziałem o tem Barntonom i Erwingowi, którzy obiecali odwiedzić mnie w końcu czerwca... może wtedy będę mógł coś ciekawszego opowiedzieć.

— Czy to wszystko?

— Wszystko, proszę pani. Zdaje mi się, że fakt ten potwierdza pani przypuszczenia. Istnieje tali-

zman, jednakowoż nie w jednym, ale w kilku egzemplarzach.

— Tak, tak... — szepnęła młoda dziewczyna — tak jest bezwątpienia... a ojciec mój zginął dlatego, że posiadał ten medal.

— Ależ — zauważył Robert — czyż nie wystarczyło zrabować mu ten medal? Poco w takim razie ta zbrodnia?

— Ponieważ ów złoty medal miał pewne znaki. Usuwanie mojego ojca, zmieszano w ten sposób liczbę tych, którzy w przyszłości — być może bliskiej — będą powołani do podziału skarbu. Któż wie, czy nie popełniono innej zbrodni, albo czy nie istnieje zamiar popełnienia jej w przyszłości.

— Mówi pani o innych zbrodniach? Ale w takim razie mój dziadek byłby narażony na niebezpieczeństwo.

— Sądzę, że tak — rzekła Liljana.

Hrabia poczuł wprawdzie niepokój, ale chciał go pokryć śmiechem.

— W takim razie i my także panno Liljano, jeżeli w pobliżu zamku szukano skarbu.

— I pan także, panie hrabio.

— Więc winniśmy mieć się na baczności?

— Radzę to państwu z całego serca.

Hrabia pobrał i niepewnym głosem rzekł:

— Ale jak to zrobić? co przedsięwziąć?

— Powiem to jutro — rzekła Liljana — jutro będziecie państwo wiedzieli, czego się macie obawiać i co uczynić winniście, aby się obronić.

— Przrzeka nam to pani.

— Przrzekam.

Erving, który z uwagą przysłuchiwał się całej rozmowie postąpił kilka kroków naprzód i rzekł:

— Zależy nam na tem spotkaniu tem więcej, że pozostało do rozwiązania pewne małe zadanie, odnoszące się do owego pudełeczka... Wszak pani o tem nie zapomniała?

— Nie zapomniałam o niczem — rzekła. — Jutro o tej porze ta drobna sprawa i jeszcze kilka

innych spraw, między innemi kwestja kradzieży koleczyków zostaną wyjaśnione.

Z temi słowy wyszła.

Dzień dobiegał końca. Większość kuglarzy jarmarcznych pozbierała już swoje namioty i przyrzędy i opuściła podwórzec zamkowy. Liljana przed swoim wozem zastała Wila, który czekał z niecierpliwością i trzech malców, zajętych rozpaleniem ognia. Skoro zegar wybił godzinę oznajmającą obiad, Liljana wysłała chłopców do zamku, a sama została i zabrała się do spożywania posiłku, złożonego z gęstej zupy i surowych owoców.

Gdy zmrok zapadł, oczekując powrotu swych towarzyszy chciała użyć trochę świeżego powietrza. Poszła tedy ku poręczy, wznoszącej się nad parowem i na parapecie jej sparła się łokciami.

Księżyc nie było widać, ponieważ zasłaniały go małe białe chmurki, które prześwietlone wprawdzie rozsiewały słaby łagodny blask.

Długą chwilę trwała tak nieruchomo, nadsluchując wśród ciszy nocnej i chłodząc świeżością wieczornego powietrza rozpalone czoło. Włosy jej rozwiewał wiatr.

— Liljano...

Gdyby poręcz była umieszczoną niżej i gdyby parów nie był tak głęboki to napewno skoczyłaby. Taką obawą napępiał ją ten człowiek. A jednak pozostała na miejscu i całą siłą woli starała się o zachowanie spokoju.

— Czego sobie pan życzy? — rzekła oschłym tonem. — Wszak hrabia i hrabina byli na tyle względni i delikatni, że zgodzili się na pozostawienie mnie samej, abym mogła wypocząć. Dziwi mnie, że pana tutaj widzę.

Nic nie odpowiedział. Dostrzegła wszakże jego cień nieco bliżej i powtórzyła zapytanie.

— Czego pan życzy sobie ode mnie?

— Chcę pani powiedzieć tylko kilka słów — szepnął.

— Na to będzie czas jutro w zamku.

— Nie, tego co ja mam pani powiedzieć, nikt słyszeć nie może i wiedzieć oprócz pani samej. Nie mam pani zamiaru obrazić, przysięgam. Pomimo, że od pierwszej chwili poznania zachowuje się pani wobec mnie z niezrozumiałych dla mnie powodów niezwykle wrogo — ja natomiast na pierwszy rzut oka poczułem dla pani podziw, przyjaźń i szacunek. Proszę się nie obawiać mych słów, ani mych czynów. Nie zwracam się w tej chwili do czarującej młodej dziewczyny, jaką pani jesteś, ale do rozumnej kobiety, która nas wszystkich zdumiewała swoją inteligencją.

— Nie, nie chcę — rzekła — nie będę słuchała. Pańskie słowa nie mogą nic innego zawierać, jak tylko słowa obelgi.

Na to odpowiedział już głośniejszym głosem, a czuć było w jego głosie, że z trudnością naginał swą gwałtowną naturę do łagodności i szacunku.

— Proszę mnie posłuchać. Nie lubię gładkich, patetycznych frazesów i dlatego będę szedł prosto do celu bez ogródek. A zatem... Przypadek wciągnął panią do sprawy, którą uprawniony jestem uważać za moją własną. Wokół nas uwija się kilku komparsów, których zdecydowany jestem zniechęcić w odpowiednim momencie. Ci ludzie to głupcy, którzy nie doprowadzą do niczego. Henryk jest śmiesznym i próżnym człowiekiem. Robert nieskim prostakiem. Oni obaj staliby się tylko bezużytecznym ciężarem dla mnie i dla pani. Więc pocóż pracować dla nich. Pracujmy więc dla siebie... Chce pani dla siebie, tylko my dwoje. My dwoje jako przyjaciele wspólnicy w każdej sprawie. Moja energia i moje siły połączone z pani inteligencją, bystrością i sprytem są nie do pokonania. Bez mnie nie da sobie pani rady, albowiem ja trzymam w rękę nici, po których można dojść do kłębka tajemnicy. Mam w rękę wszystkie poszczególne ogniwa prawdy, tylko dotychczas nie zdołałem je dostatecznie połączyć, bo brakuje mi pewnych drobnostek. Niech mi pani pomoże, szu-

kajmy razem, a uzyskamy majątek, skarby bajeczne, władzę bezkresną... Czy pani tego chce?

Erving pochylił się bliżej ku młodej dziewczynie i gorącymi palcami dotykał cienkiego szala, okrywającego jej ramiona. Liljana, która słuchała w milczeniu, aby się dowiedzieć do czego jej wróg zdąży, zadrżała ze wstępu i oburzenia pod tem dotknięciem.

— Niech pan odejdzie... proszę mnie pozostawić. Zabraniam panu dotykać mnie... Pan miałby być moim przyjacielem!? Nigdy!

Odczuł, że budzi wstępu w Liljanie i to go wprawiło w szał gniewu. Drżąc z wściekłości, wyrzekł przez zaciśnięte zęby:

— Więc pani odmawia? Więc pani odmawia pomimo, że wiem o wszystkim, pomimo, że mogę was zgubić i gotów jestem zgubić. Bo wszak sprawa skradzionych szafirów nie tyczy się tylko państwa Wila. Pani czekałaś tam w parowie na straży dopóki on nie wróci. Jesteś jego współniczką, bo ukrywałaś jego kradzież. A dowód istnieje nieodparty, nieomylny. Pudełko znajduje się w rękach hrabiny i ty śmiesz odrzucać mnie, moją pomoc. Złodziejko!

Wyciągnął do niej ramiona. Liljana skuliła się i odskoczyła. Zdołał ją jednak schwycić za rękę i ciągnął ją ku sobie, gdy nagle blask światła, rzucony mu w twarz prosto oślepił go na chwilę.

Mały kapitan Pery wdrapał się jak kot na parapet i oświetlił Ervingowi twarz lampą elektryczną.

— Podły smarkaczu — syknął Erving — da ja ci nauczkę! i tobie także moja mała. Jeżeli do jutra, do drugiej godziny nie upokorzysz się, to pudełko zostanie otwarte w obecności żandarmów. Wybieraj, hultajko!...

Za chwilę zniknął w ciemności. Koło godziny 3 rano Wil poczuł, że ktoś chwyta go za ramię i trzęsie nim, budząc ze snu.

— Wstań, ubierz się. Tylko bez chałasu.

Zaprotestował.

— Ależ Liljano, to co chcesz zrobić jest pro prostu nonsensem.

— Nie rezonuj. *2! Co to?*

Will usłuchał — a gdy ubrany zupełnie wyszedł z wozu, zobaczył Liljanę, czekającą na niego zupełnie gotową. W rękę trzymała zwinięty worek płócienny i zwitek grubego sznura.

Poprowadziła go ku temu miejscu poręczy, gdzie poręcz stykała się z furtką wchodową. Przywiązali sznur do jednego z prętów i opuścili się. Potem Will zwinął sznur.

Przeszli następnie przez parów i doszli do miejsca, w którym Will wczorajszej nocy dokonywał swych gimnastycznych sztuk po opuszczeniu zamku.

— Pakujmy się w górę — rzekła Liljana. — Będziesz w miarę rozwijał sznur i pomożesz mi wspinać się.

Wykonanie tego zamiaru nie było zbyt trudnem. Okno w oficynie zamkowej było otwarte. Weszli. Liljana zaśwyciła latarkę kieszonkową.

— Weź tę małą drabinę, która tam leży w kącie — rzekła.

Ale Will przerażony zaczął jej znowu perswadować:

— Ależ to absurd, to szaleństwo. Sami leziemy w paszczę wilkowi.

— Rób, co ci mówię.

— Jednakowoż Liljano...

Aż się zgiął w tej chwili, tak mocny otrzymał cios pięścią w żołądek.

— Dostyc tego odpowiadaj na moje pytanie — czy jesteś pewny, że pokój Erwinga jest ostatnim w korytarzu na lewo?

— Jestem zupełnie tego pewny. Stosownie do twoich instrukcyj wypytałem

— A czy wsypałeś mu do kawy ten proszek, który ci dałam?

— Tak jest.

— W takim razie Erwing śpi jak suseł i możemy poruszać się spokojnie. Ani słowa więcej.

Po drodze zatrzymali się przed małymi drzwiami. Była to mała garderoba, dotykająca buduaru hrabiny.

Will rozwinął drabinkę sznurową i przesunął się przez okno.

W trzy minuty potem był z powrotem.

— Znalazłeś pudełeczko? — zapytała Liljana.

— Tak jest, leżało na stole, wyjąłem koleczyki a pudełko zostawiłem na tem miejscu, gdzie się znajdowało.

Posuwali się dalej. Każdy pokój był połączony z należącym do niego gabinetem toaletowym. Zatrzymali się wreszcie przed ostatniem oknem. Will wdrapał się pierwszy, poczem otworzył Liljanie drzwi. Liljana lekko uchyliła drzwi i ostrożnie rzuciła błysk światła na pokój.

— Śpi — rzekła.

Ze swego woreczka płóciennego wyjęła dużą chustkę, potem flakonik z chloroformem i skropiła chustkę kilkoma kroplami chloroformu.

W poprzek łóżka kompletnie ubrany, jak człowiek nagle powalony przez sen, leżał Erwing uśpiiony tak głęboko, że młoda dziewczyna odważyła się zapalić elektryczność. Potem bardzo ostrożnie położyła mu na twarzy przesyconą chloroformem chustkę.

Mężczyzna odetchnął głębiej, drgnął, ale potem już trwał bez ruchu.

Z jak największą ostrożnością Will i Liljana przymocowywali sznur z dwóch stron łóżka u żelaznych prętów, potem szybko zaczęli okręcać przecieradłami i kołdrami postać śpiącego. Tym razem Erwing obudził się. Chciał się bronić, zapóźno. Chciał krzyczeć, ale Liljana obwiązała mu usta serwetką.

Następnego poranka hrabia i hrabina Barnton pili kawę w towarzystwie Roberta Doberti w wielkiej sali jadalnej, gdy właśnie stróż zamkowy zja-

wił się, by im oznajmić, że o świcie dyrektorka cyrku Liljana zażądała, by jej otwarto bramę i wóz jej odjechał. Dyrektorka pozostawiła list zaadresowany do hrabiego. Wszyscy troje udali się do buduaru hrabiny, gdzie przeczytali list następującej treści:

„Kuzynie! (hrabia lekko urażony wzruszył ramionami i czytał dalej). „Kuzynie! Przysięgam i dotrzymam. Człowiek, który szukał skarbów koło zamku, ubiegłej nocy skradł kolczyki, jest identyczny z mordercą, który skradł medal memu ojcu i otrul go.

„Oddaję go w wasze ręce, niechaj sprawiedliwość robi co do niej należy. Liljana, hrabianka Pornwall“.

Hrabia i hrabina oraz ich kuzyn spoglądali po sobie ze zdumieniem. Coby to miało znaczyć? Kto był tym winowajcą? W jaki sposób, gdzie go wydała?

— Co za szkoda, że Erwing nie zszedł jeszcze na dół, — zauważył hrabia — on się dobrze orientuje i ma czasem dobre pomysły.

Hrabina zdjęła z kominka kartonowe pudełeczko, które Erwing powierzył jej poprzedniego dnia i otworzyła je. Pudełeczko zawierało jedynie to, o czem wspomniała Liljana: białe kamyki i muszelki. Niezrozumiałem tedy stawało się zupełnie, dlaczego Erwing do tego drobiazgu przywiązywał tak wielkie znaczenie.

W tej chwili zapukano dyskretnie do drzwi buduaru. Był to marszałek zamku, człowiek cieszący się pełnem zaufaniem hrabiostwa.

— Co tam nowego, Dominiku?

— Panie hrabio, wiamano się tej nocy do zamku.

— Niepodobna! — odparł hrabia — wszystkie drzwi są w zupełnym porządku, więc jakąż drogą dostałby się ktoś do zamku?

— Nie wiem. Znalazłem jednak rozwiniętą drabinę sznurową przed drzwiami p. Erwinga a szymba w oknie jego garderoby jest wybita. Nieznani

sprawcy widocznie przez to okno dostali się do wnętrza, a po osiągnięciu celu, wyszli drzwiami korytarza.

— Ależ jaki to mógłby być cel?

— Nie wiem, panie hrabio. Nie odważyłem się posuwać dalej w moich badaniach.

Hrabia wyjął z kieszeni banknot stufrankowy.

— Ani słowa o tem wszystkim. Proszę czuwać nad wejściem do korytarza, aby nikt nam nie przeszkodził.

Hrabia wyszedł, a za nim jego żona i Robert. Drzwi wiodące z garderoby do pokoju Erwina były otwarte. Mdły, słodkawy zapach chloroformu napełniał pokój.

Hrabia krzyknął.

Na łóżku leżał związany, przywiązany do łóżka, z zakneblowanymi ustami Erwing. Oczy jego tryśkały płomieniem wściekłego gniewu. Z zakneblowanych ust wydobywały się jęki.

Tuż obok niego leżał szalik zupełnie taki sam, jak ten, który według opisu Liljany był własnością mężczyzny, kopiącego w nocy koło zamku.

Na stole, na najwidoczniejszym miejscu leżały koleczki z szafirami.

Ale jeszcze coś bardziej okropnego, coś bardziej wstrząsającego uderzyło oczy tych trojga: oto ujrzeli coś, co było niezawodnym dowodem zbrodni, popełnionej na Janie Pornwallu. Na nagim, zwieszonym i przywiązanem do łóżka ramieniu Erwina można było wyczytać te trzy wytatuowane słowa: „In robore fortunae“.

VI.

Cyrk w drodze.

Tydzień minął od chwili, kiedy cyrk Liljany opuścił zamek Cornvey. Był to tydzień smutny dla młodych towarzyszków Liljany. Blady jak płótno Will prowadził w ten sposób starą klacz, jakby ten koń wiózł go na skazanie.

Castor i Polluks zapomnieli o swoich bójkach a mały kapitan wbrew swoim zwyczajom zagłębiał się pilnie w lekturze książek szkolnych, rozwiązywał zadania rachunkowe, sądząc, że tą pilnością wzruszy serce Liljany i zwróci jej uwagę. Wszystkie te wysiłki były daremne. Umysł Liljany zajęty był czemś innem. Co dnia kupowała w jakimś miasteczku po drodze dziennik, przebiegała go szybko oczyma, a potem miała w ręku z taką irytacją, jak gdyby nie znalazła tego, czego tam szukała.

Porzucony dziennik podnosił Wil i z kolei go przeglądał. Nie było w nim ani słowa o aresztowaniu tego nienawistnego Erwinga, którego oboje przywiązywali wspólnymi siłami do łózka.

Nareszcie ósmego dnia na ustach młodej dziewczyny pojawił się uśmiech, tak jak promień słońca przedzierający się z poza chmur, po wielu dniach śloty. Nie było do tego żadnej zewnętrznej pobudki, ale naturalna reakcja wewnętrzna. Energiczna dusza młodej dziewczyny otrząsała się powoli z wrażeń tego straszliwego dramatu, którego ofiarą padł jej ojciec. Stawała się znowu tą Liljaną radosną, wesołą, pieszczotliwą. Ucałowała malców a Wila poczęstowała kilkoma serdecznymi szturchanicami. W czasie przedstawienia odzyskała dawną swoją werwę i humor, a gdy publiczność odeszła już do domu, Liljana zaczęła ze swoimi chłopcami wykonywać jakiś szalony taniec.

Wil pakał ze szczęścia, widząc ją tak rozweseloną.

— A ja myślałem, że ty już nas nie kochasz.

— I dlaczegoż miałabym przestać was kochać, smyki jedne?

— Bo jesteś hrabianką, córką lorda.

— Idjoto jakiś, a czyż przedtem nią nie byłam?

I ogarnięta nagłą potrzebą zwierzeń, zaczęła mu opowiadać o swoich młodych latach.

Czuła się zawsze szczęśliwą, bo żyła zawsze swobodnie, nie znając krepujących ograniczeń, które znieszkalać ją naturalne instynkty. Nikt się wia-

ściwie wychowanie jej nie zajmował, ponieważ jednak sama odczuwała potrzebę wiedzy, więc starała się o wszystkim, co ją zajmowało, dowiadywać od miejscowego proboszcza. On to uczył ją łaciny i katechizmu, historii i literatury angielskiej, języka francuskiego a w lekcjach tych pomagał mu kierownik szkoły w Cornwall. Nauka ta polegała jednakowoż nie na systematycznych lekcjach, lecz na podsuwaniu jej książek do czytania przez księdza, nauczyciela i dwoje starsuszków, których opiece powierzył ją ojciec.

— Tym opiekunom jestem winna wszystko, co wiem i umiem — rzekła. — Gdyby nie oni, nie wiedziałabym ani co to jest ptak, ani co roślina, nie rozumiałabym znaczenia faktów rzeczywistych.

— A jednak, przecież to nie oni nauczyli cię tańczyć na linie.

— Taniec jest we mnie. Odziedziczyłam to po matce, która wcale nie była jakąś primadonną wielkiego teatru, ale poprostu tancerką, t. zw. „dancing girl“ z „music hall“.

Tego rodzaju wychowanie pozbawione wszelkich więzów mogło naprawdę zrobić z młodej dziewczyny awanturnicę, gdyby jej przed tem nie broniło jakieś wewnętrzne poczucie godności. Umiała rozróżniać złe od dobrego, tak jakoś własnym instynktem wiedziona.

— Człowiek nie może się czuć szczęśliwy — mówiła Liljana, — jeżeli nie jest w zgodzie z dobrymi ludźmi. A ja jestem przecież także dobrą dziewczyną.

Długo w ten sposób mówiła o sobie Wilowi, który słuchał jej z otwartymi ze zdumienia ustami.

— Boże mój, jakże ty mnie zdumiewasz, gdzieś ty się tego wszystkiego nauczyła Liljano? W jaki sposób odgadujesz to, co odgadujesz? Wtedy w zamku niczego nie rozumiałem, poprostu niczego.

— Ach to, to zupełnie coś innego — rzekła — jest jakaś potrzeba kombinowania, organizowania, rozkazywania. Mam w sobie jakiś instynkt czynu

i zdaje mi się, że zawsze musi mi się wszystko udać. Kiedy byłam jeszcze małą dziewczynką, organizowałam bandy dzieci, które miały za zadanie albo ściganie jakiegoś złoczyńcy, albo poszukiwanie jagnięcia czy kaczki skradzionej biednej kobiecie, albo też poprostu śledztwa. Ach te śledztwa to były moją pasją. Zanim o jakimś wypadku zdołano donieść żandarmom, to ja już rozwikłałam sprawę. Dochodziło do tego, że chłopci z okolicy przychodzili zasięgać porady o takiej smarkuli, jaką byłam. Nazywali mnie prawdziwą, małą czarodziejką, ale ja wcale nie jestem czarodziejką, wiesz o tem dobrze Wil, i choć lubię czasem udawać przed ludźmi jasnowidzącą i wróżbiarkę, to w istocie, wszystko to, co mówię — opowiadam na podstawie zaobserwowanych i odpowiednio przeze mnie komentowanych faktów. Mam w tym kierunku jakąś dziwną intuicję, która mi ukazuje rzeczy w innej nieco postaci, aniżeli innym osobom. Tak jest, ja czasem coś widzę i czuję, zanim to pojąć zdołam i dlatego nieraz sprawy wielce skomplikowane, od pierwszej chwili wydają mi się zupełnie prostymi. Chodzi tylko o to, aby uchwycić nitkę przewodnią. Wil zadumany kiwał głową.

— Tak, tak. Myślisz o wszystkim, nie ci nie ujdzie i dlatego to Erwing pójdzie do więzienia za kradzież kołczyków, a nie Wil, ponieważ ty tak sobie tego życzyłaś.

Zaczęła się śmiać.

— Może byłabym sobie tego życzyła, ale sprawiedliwość jakoś nie zamierza się przchylić do moich pragnień. Dzienniki nie wspominają o niczem, ani słowa o dramacie w zamku Cornvey.

— Więc co się stało z tym nędznikiem?

— Nie wiem.

— I nie mogłabyś się tego dowiedzieć?

— Owszem.

— W jaki sposób?

— Przez Roberta Doberty.

— Masz się z nim zobaczyć?

- Pisałam do niego.
- A jaki adres dałaś?
- Zamek Cornvey.
- Otrzymałaś od niego odpowiedź?
- Tak jest. Otrzymałam telegram.
- Przybędzie tutaj do nas?
- Tak. Skoro opuści zamek, to w drodze powrotnej do domu ma się z nami spotkać i to dzisiaj koło trzeciej godziny. A trzecia godzina już się zbliża.

Oboje weszli na pagórek, skąd spoglądali na drogę serpentyną wijącą się pomiędzy łąkami i lasami.

— Uważaj — rzekła Liljana — auto jego zjawi się lada chwila.

— Jesteś tego pewną?

— Jestem zupełnie pewną, że ten młody człowiek skorzysta z okazji, która mu się nastęrcza, aby mnie zobaczyć — wyrzekła z uśmiechem.

Wil, który zawsze był zazdrośnym o Liljanę westchnął.

— To tak każdy, który z tobą rozmawia, zaraz zaczyna ci nadskakiwać, przesadza w uprzejmościach.

Przeczekali kilka minut. Nagle z zieleni lasu wyłoniło się auto. Poszli naprzeciw samochodowi. Odległość pomiędzy nimi a wozem zmniejszała się z każdą chwilą. Robert, dojrawszy nadchodzących, zatrzymał auto.

Liljana zawołał odrazu:

— No i cóż tam, aresztowano go?

— Kogo? Erwinga? — zapytał Robert trochę zdziwiony takim powitaniem.

— Naturalnie, że Erwinga. Wydano go władzom, nieprawdaż? Znajduje się obecnie pod kluczem?

— Nie.

— A więc co się z nim stało?

— Uciekł.

Ta odpowiedź uderzyła niby młotem w Liljanę.

— Jakto, Erwing na wolności, ma swobodę ruchów, to okropne!

I Liljana wyszeptala sama do siebie:

— Boże mój, Boże mój, dlaczego nie pozostałam tutaj? Byłabym przeszkodziła tej ucieczce.

Ale skargi te nic już pomóc nie mogły, a Liljana nie była z tych kobiet, które lamentują naproźnie. Spiesznie zaczęła wypytywać młodego człowieka.

— Dlaczego pan pozostał tak długo w zamku?

— No właśnie z powodu sprawy Erwinga.

— Więc dobrze, ale w godzinę po jego ucieczce należało jechać do domu.

— Dlaczego?

— Uprzedziłam przecież pana, że pańskiemu dziadkowi zagraża niebezpieczeństwo.

Robert usiłował protestować.

— Przedewszystkiem napisałem mu, aby się miał na baczności, a potem sądzę, że to niebezpieczeństwo jest mocno problematyczne.

— Co też pan powiada! Jest przecież właścicielem tego nieodzownego talizmanu, jakim jest złoty medal. Erwing wie o tem. I panu się zdaje, że jemu nie grozi niebezpieczeństwo?

— Ale przecież Erwing posiada także ten medal, bo, zamordowawszy pani ojca, zrabował ów talizman.

Młoda dziewczyna, nie odpowiadając, przytrzymała rękę Roberta, który zamierzał otworzyć drzwiczki, aby wysiąść z auta. I energicznym tonem rzekła:

— Proszę pana niech pan natychmiast odjeżdża. Istotnie są tutaj pewne niejasności. Dlaczego Erwing, posiadając już jeden medal, stara się ukraść drugi? Czyżby ten, który zrabował memu ojcu został mu wydarty przez jakiegoś współnika? Nie jestem o tem nie wiem. Ale mam jednak niezachwianą pewność, że właściwy teren walki znajduje się tam, u pana. Do tego stopnia jestem o tem przekonana, że sama zamierzam się tam udać. Pan będzie dzisiaj w domu wieczorem, a ja zjawię się tam za 8 dni.

Nie oponował już, poddając się jej woli.

— Może pani ma i rację. Powinnością moją było pomyśleć o tem wszystkiem, tem więcej, że mój dziadek będzie zupełnie sam dzisiajszego wieczoru.

— Sam?

— Tak jest. Bo cała służba uwolniła się z powodu wesela jednego z nich. Uczta weselna odbywać się będzie w sąsiedniej wiosce.

Liljana drgnęła całym ciałem.

— Erwing wie o tem?

— Sądzę, że wie. Zdaje się, że wspomniałem mu kiedyś o tem weselu w czasie mego pobytu w zamku.

— Kiedy on uciekł?

— Dwa dni temu.

— A zatem od dwóch dni...

Nie dokończyła. Nagłą myślą popchnięta pobiegła do swego wozu i za chwilę ukazała się z małą walizką w ręku.

— Jędę razem z panem — rzekła — nie mamy ani chwili do stracenia.

Sama wprawiła motor w ruch, wydając jednocześnie rozkazy.

— Wilu, powierzam ci wóz i tych trzech smaraczy. Kieruj się według czerwonej linji naznaczonej przeze mnie na mapie. Staraj się spieszyć. Nie dawaj żadnych przedstawień po drodze. Za pięć dni możesz się już tam znaleźć.

Liljana usiadła obok Roberta w aucie. Rzuciła jeszcze ostatnie słowa pożegnania.

— No, do widzenia Wilu. Kastor, Poluks zabraniam się wam bić!...

Posłała im całusa i auto ruszyło.

W czasie drogi Robert opowiadał swej uroczej kuzynce o okolicznościach, towarzyszących odnalezieniu związanego Erwinga i o jego ucieczce.

— Ocaliła go — mówił Robert — dosyć głęboka rana, którą sobie zadał, uderzając o pręt łóżka głową. Stracił wiele krwi. Pojawiła się gorączka, wówczas Henryk, jak to pani zapewne zauważyła, lubiący wszystko zwlekać i odraczać, rzekł:

— Wobec tego pozostaje nam trochę czasu.

— Czasu? naco zapytałem.

— Na namysł. Rozumiecie dobrze, że przecież to wszystko wywoła wielki skandal i że może byłoby lepiej ze względu na nasz honor rodzinny uniknąć rozgłosu.

— Oponowałem przeciwko tej zwłoce. Chciałem, żeby zatelefonowano natychmiast do żandarmerji, ale Henryk był przecież u siebie, więc postąpił tak, jak mu się podobało. Dnie mijały w oczekiwaniu na decyzję, która jakoś nie przychodziła. Przytem więzień wydawał się tak bardzo osłabiony. A cóż może grozić ze strony człowieka chorego.

— A w jaki sposób i czem tłumaczy swoje postępowanie?

— Wcale nie tłumaczył się, bo nikt o nie nie pytał.

— Nie mówił o mnie, nie usiłował mnie oskarżać?

— Nie. Grał rolę człowieka wyczerpanego gorączką i cierpieniem. W tym czasie Henryk Barton napisał do Londynu, celem zdobycia informacji o jego osobie, albowiem stosunki jego z tym kuzynem nie były zbyt dawne i sięgały dopiero kilku lat wstecz. Po upływie trzech dni nadszedł telegram z dyrekcji policji. „Osobistość niebezpieczna, poszukiwana przez policję. List szczegółowy w drodze“. Po takiej wiadomości Henryk wreszcie się zdecydował i przedwczoraj zatelefonował do żandarmerji. Gdy żandarmi przybyli, było już zapóźno. Erwing zdołał uciec, wydostając się przez okno.

— A zatem jak wypadły informacje?

— Jak najgorzej dla Erwinga. Niegdyś był oficerem marynarki, ale został usunięty z wojska za kradzież. Następnie oskarżony o współudział w afery skrytobójczej, wypuszczony został na wolność z powodu braku dostatecznych dowodów. Na początku wojny zdezerterował. Okazuje się, że nie nazywa się on Johnem, ale nosi imię Alfreda. Podsztywa się pod imię jednego z swych krewnych, któ-

ry już od wielu lat nie żyje i pod tem właśnie nowem imieniem Johna Erwinga poszukiwany jest właśnie przez policję.

Liljana wstrząsnęła głową.

— Boże, jaka to szkoda, mieć w rękach takiego bandytę i pozwolić mu uciec.

— Odnajdziemy go przecież.

— O tak, byleby to nie było tylko zapóźno. Robert zdwoił tempo. Pędzili po gościńcu, ani na chwilę nie zwalniając. Noc już zapadała, kiedy przybyli do miasta, gdzie musieli się zatrzymać, aby zabrać świeży zapas benzyny.

— Za godzinę będziemy na miejscu — rzekł Robert.

Liljana wypytała Roberta o dokładną topografię jego wsi rodzinnej, o rozkład domu, o zwyczaje i wiek dziadka. Pytała nawet o jego wielkiego psa Goliata i dowiedziała się, że zwierzę to, pomimo olbrzymiej postaci i straszliwego ujadania jest już tak podstarzałe i łagodne, że nie zdolne jest obronić pana.

Robert zamierzał nałożyć nieco drogi, celem przejechania przez wieś, w której znajdowała się służba ze dworu. Możliwy bowiem zabrać ze sobą lokai. Liljana sprzeciwiła się jednak.

— Nie. Zadnego opóźnienia.

— Ależ na miłość Boską czego się pani obawia?

— Wszystkiego — odparła — od tego człowieka można się spodziewać wszystkiego. Niema ani chwili do stracenia. Auto z gościńca skręciło na polną drogę, która była właściwie szeroką ścieżką.

— Widać już dwór — rzekł Robert — w oknie świeci się.

Za chwilę auto zatrzymało się przed staroświeckim dworem o pięknym portalu z wieżyczkami. Drzwi wejściowe były zamknięte. W czasie, gdy Robert zajęty był otwieraniem drzwi, dało się słyszeć głośnie szczekanie psa. Goliat nie znajdował się w domu, ale był na dworze i szczekał przed zamkniętym domem.

— No i cóż, nie otwiera pan?

Robert podbiegł ku niej spiesźnie.

— Wie pani, że to niepokojące. Zasówka zewnętrzna jest założona, klucz przekreślony w zamku.

— A to nie jest tu tak w zwyczaju?

— Nigdy w życiu. To ktoś obcy musiał zrobić. A czy słyszy pani to szczekanie?

— A zatem?

— Jest tutaj drugie wejście o 200 m. dalej.

— A jeżeli również zostało zamknięte? Nie, nie, trzeba działać natychmiast.

— Kapitanie Peri — zawołała niespodzianie Liljana.

Ku nieopisanemu zdumieniu Roberta z pośród poduszek siedzenia wyłoniła się nagle głowa „kapitana“. Młodzieniec nie miał pojęcia o tem, że Liljana zabrała ze sobą malca, który teraz okazał się wielce pożytecznym. W mgnieniu oka chłopiec znalazł się na kolanach Liljany, aby stamtąd wydrapać się błyskawicznie na jej ramiona, a potem na załom muru. Z isticie kocia zręcznością dostał się przez małe okienko do wnętrza. I oto za chwilę klucz skrzypiał już w zamku i zasówkę odsunięto. Robert pobiegł w kierunku sadu, Liljana podążyła za nim, rzucając jednocześnie kapitanowi rozkaz:

— Obejdiesz cały dom, a jeżeli zobaczysz drabinę opartą o mur, to zrzuc ją na dół.

Na werandzie znaleźli istotnie przed zamkniętymi drzwiami Goliata, który gwałtownie drapał pazurami zamknięte drzwi. Uspokojono go, a wówczas wśród ciszy dały się słyszeć jakieś jęki i odgłosy walki.

Młody człowiek chcąc przerazić napastnika wystrzelił z rewolweru. Potem wyjął klucz, otworzył drzwi i szybko weszli do domu. W jednym z pokojów na pierwszym piętrze oświetlonym dwoma lampami, dziadek Roberta leżał na ziemi, wstrząsany konwulsyjnymi dreszczami, z piersi jego wydobywały się jakieś zduszone jęki. Robert rzucił się ku rzeźącemu, a tymczasem Liljana porwawszy je-

dną z lamp, pobiegła do pokoju umieszczonego po drugiej stronie korytarza. Pokój ten, którego drzwi pozostawiono otworem był pusty. W oknie widniała górna część drabiny.

Liljana wychyliła się z okna.

— Pery!...

— Jestem mateczko — odparł chłopiec.

— Czyś widział kogoś, co schodził i uciekał.

— Widziałem z daleka.

— Poznałeś tego człowieka?

— Dwóch było ludzi, mateczko.

— Jakto? dwóch ich było?

— Tak, ten brzydki pan z zamku, i jakiś inny.

Dziadek Roberta żył, a nawet nie zagrażało mu niebezpieczeństwo śmierci. O ile można było osądzić z pewnych szczegółów, to Erwing przy pomocy pogróżek i przymusu fizycznego chciał wymusić od starca złoty medal, zmuszając go jednocześnie do mileżenia. Na szyi starego pana widniały ślady palców.

Czy napastnikom udało się osiągnąć cel właściwy, tego narazie nie można było stwierdzić.

Tymczasem służba powróciła do domu. Lekarz zawezwany oświadczył, że nie zachodzą żadne komplikacje, którychby się należało obawiać. Jednakowoż w ciągu dnia skonstatowano, że starzec nie odpowiada na zadawane mu pytania, że zdaje się nie rozumieć ani słyszeć tego, co się do niego mówi, że z ust jego wychodzą tylko jakieś niezrozumiałe bełkoty.

Przestrach, ból, gwałtowne wstrząśnienie nie przeszły bez śladu. Starzec utracił świadomość, był obłąkanym.

Rozdział VII.

Termin się zbliża.

Piękny niegdyś majątek rodziny Doberty pozostawał obecnie w stanie prawie zupełnej ruiny i przypominał raczej folwark średnio zamożnego

rolnika, aniżeli siedzibę arystokratycznego magnackiego niegdyś rodu.

Stary baron zapalony myśliwy i amator gorących trunków, piękny mężczyzna, upędzający się za przygodami miłosnemi, mało zajmował się gospodarstwem, a syn jego, ojciec Roberta odziedziczył po nim te skłonności lekkomyślne.

— Robiłem co mogłem po moim zdemobilizowaniu — opowiadał Robert Liljanie, ażeby jakoś podnieść stan naszego majątku. Czy można się jednak dziwić, że doszło do tego, co jest obecnie. Ojciec mój i dziadek żyli ciągle nadzieją owego legendarnego spadku, który ma z nich uczynić nagle bogatych ludzi. Poco tedy oszczędzać i pracować. Żyjąc według tej metody doprowadzili do tego, że obecnie jesteśmy w rękach pewnego lichwiarza, który skupił wszystkie nasze długi i który jak się obecnie dowiaduję w czasie mojej nieobecności zrobił z dziadkiem kontrakt o sprzedaż majątku. Ten jegomość może nas za sześć tygodni wyrzucić z tego domu.

Mówił to wszystko szczerze i prosto, nie wstydząc się biedy i kłopotów, przekonany urzytem, że jeżeli kto na świecie, to jedynie Liljana może mu dać dobrą radę. Ufał nieskończenie jej rozsądkowi, bystrości i inteligencji. Każdy rozkaz przez nią wydany spełniał momentalnie.

Stosownie do rady młodej dziewczyny, Robert wniósł do prokuratorji doniesienie o napad na dziadka.

W trzy dni potem Wil przybył do wsi w towarzystwie Kastora i Poluksa. Wówczas Liljana przeniosła się ze dworu do swego kochanego wozu, który umieszczono na środku dziedzińca. I rozpoczęło się znowu ich dawne życie, które z tą tylko różnicą, że Kastor i Poluks bóiki swoje stawiali z mniejszym zapałem, Wil łowił ryby w stawie, a mały Peri czuwał przy łóżku starego barona, opowiadając jemu i Goliatowi nieskończenie długie historie.

Liljana obserwowała tymczasem, zazdrośnie ukrywając swoje spostrzeżenia.

Pewnego dnia Liljana udała się razem z Robertem na przejażdżkę czółnem po stawie, skoro znajdowali się na wodzie, rzekła:

— Zbliży się...

— Co takiego? — zapytał młodzieniec.

— Ten termin oczekiwany od tak dawna.

— Sądzi pani?

— Sądzę, Roercie, że się pan nie omylił owego dnia, kiedy pan w ręku dziadka zobaczył ów złoty medal. Niestety biedny staruszek stracił rozum, zanim zdążył wtajemniczyć pana we wszystko... Nić łącząca przeszłość z przyszłością zerwała się nagle...

— A jeżeli nie znajdziemy tego medalu? Szukaliśmy przecież wszędzie... w pokoju dziadka... w jego ubraniach... w sadzie... I ani śladu...

— To niemożliwe, aby zachował tajemnicę — rzekła w zamyśleniu Liljana — choć władze jego rozumu zamarły, instynkt podświadomy żyje... A to przecież instynkt odziedziczony, idący przez pokolenia... Zapewne cenną tę pamiątkę, na której skupiały się wszelkie tradycje rodzinne ukrył gdzieś przy sobie... albo niedaleko siebie... tak, aby mógł dosięgnąć ręką albo przynajmniej zobaczyć...

Robert rzucił pytanie:

— A jeżeli Erwing zrabował ten medal?

— Nie, ponieważ w takim wypadku nie doszłyby do naszych uszu odgłosy walki. Pański dziadek opuszczał opór do końca, a nasze przybycie napastnika do ucieczki.

— Ach! ten bandyta — wykrzyknął Robert — gdybym go miał w ręku!...

Łódka sunęła po fali. Nagle Liljana rzekła cicho:

— Ciszej!... on słucha!...

— Co takiego?! •

— Mówię, że on słyszy każde nasze słowo!...

Robert osłupiał ze zdumienia:

— Jakto!! pani go widzi?!

— Nie!... ale odgaduję, że on nas obserwuje...

— Ależ w jaki sposób? Gdzie się ukrywa?!

— Z pewnością znajduje się ukryty na wybrzeżu. Mam to przekonanie, że tu gdzieś blisko musi być jakaś kryjówka, która w czasie wojen domowych służyła mieszkańcom za bezpieczne schronienie.

— Ależ skądże Erwing mógłby znać tę kryjówkę?

— Proszę sobie przypomnieć, że w dniu napadu, pański dziadek był zupełnie sam, albo raczej sądził, że jest sam. Prawdopodobnie spacerując po wybrzeżu, zdradził jedną ze znanych mu kryjówek. Erwing tymczasem szpiegował go i od tego czasu posługuje się tem schronieniem.

— Niechno pan spojrzj uważnie na ten teren nadbrzeżny, cały taki sfalowany i pocięty parowami. Na prawo, na lewo, wszędzie, wśród skał można urządzić doskonałe placówki obserwacyjne. Można stamtąd widzieć wszystko i słyszeć, co tylko w promieniu oka i na odległość słuchu jest uchwytne. Erwing jest tutaj.

— Cóż on tam robić może?

— Prowadzi dalej poszukiwania — rzekła Liljana — a przytem szpieguje mnie. Pragnie zdobyć ów złoty medal i boi się, aby go nie uprzeczła.

Robert rzekł:

— W takim razie należy zawiadomić policję.

— Jeszcze nie teraz. Jeżeli spłoszymy ptaszka zawczasie, umknie nam.

— A zatem jakiż jest pani plan?

— Należy go wywabić z kryjówki i schwycić w sidła.

— Ale jak to zrobić? I kiedy?

— Jak najprędzej. Widziałam się z waszym wierzycielem, panem Harringtonem, jeżeli do dnia 31 lipca, godzina piąta popołudniu ten jegomość, który już dawno ostrzy sobie zęby na waszą posiadłość, nie otrzyma 30 tysięcy funtów szterlin-

gów, w takim razie dobra przejdą na jego własność.

— Wiem o tem — rzekł Robert z rezygnacją — a ponieważ nie wydaje mi się to możliwem, abym się w ciągu miesiąca wzbogacił...

— A jednak, może to jest możliwem, pański dziadek naprzykład był mocno o tem przekonany. „Harrington — rzekł do waszego wierzyciela, — nie ciesz się jeszcze przedwcześnie, w dniu 31 lipca wypłacę ci wszystko co do jednego penny“. Robercie, to jest pierwszy ścisły fakt, jaki się nam nasuwa w tej zagadkowej sprawie. Dotychczas były tylko jakieś niejasne słowa, jakieś tajemnicze legendy, a to jest fakt, który dowodzi, że pański dziadek legendy o tych obiecanych skarbach łączył ze ściśle określoną datą jakiegoś dnia lipcowego.

Lódź przybiła do brzegu. Liljana lekko wyskoczyła i wykrzyknęła, nie obawiając się już widocznie, aby ją ktoś niepowołany posłyszał:

— Robercie, dzisiaj mamy dzień 27 czerwca. Za kilka tygodni będziesz miał majątek. I ja także, a Erwing będzie wisiął, przepowiadam mu to.

Tego samego dnia o zmierzchu, kiedy noc poczynała już ciemnym swoim płaszczem okrywać posiadłość Doberty, Liljana pocichu wyszła ze swego mieszkania i podążyła drogą wysadzoną wysokimi topolami. Po upływie godziny znalazła się przed małym ogródkiem, w głębi którego błyszczało światło. W ogrodzie tym znajdował się domek parterowy, a Liljana zdążyła się dowiedzieć, że jest on siedzibą jednej z dawnych przyjaciółek staroego barona Lawinji Hay. Baron przed chorobą swoją odwiedzał ją jeszcze, widocznie zachował pewien sentyment dla dawnej swej miłości, choć dama ta była już obecnie głuchą, cierpiała na artretyzm i silne osłabienie pamięci. Wil z polecenia Liljany zawiązał znajomość ze służącą pani Lawinji i wy dobył od niej wiadomość, że pani jej posiada taki właśnie medal, jakiego poszukiwano we dworze.

Liljana postanowiła, wiedząc o tem, że służąca wyszła z domu, skorzystać z tej okazji, aby zapukać do tych drzwi i zapytać wprost właścicielkę domku o medal.

Wypadek jednak załdecydował inaczej. Drzwi nie były zamknięte na klucz, a gdy Liljana weszła do pokoju niskiego, wygodnie urządzonego, zobaczyła, że stara dama śpi przy świetle lampy. Głowa starszuszki opadła na kanwę, na której haftowała wielkie jaskrawe kwiaty.

— A gdybym tak poszukała sama — pomyślała Liljana — poco napróżno zadawać pytania, na które prawdopodobnie nie otrzymam odpowiedzi?

Liljana rozejrzała się wokół, obejrzała sztychy wiszące na ścianach, stary zegar w szklanej gablotce, staroświeckie kandelabry brązowe. Kilka schodów wiodło do sypialnego pokoju na półpiętrze. Liljana już się tam kierowała, gdy nagle posłyszała lekkie skrzypnięcie drzwi. W tej chwili intuicyjnie odczuła obecność Erwinga. Myśli zaczęły się kłębić w jej mózgu. Czy Erwing śledził ją i przyszedł tutaj za nią? A może wciągnął ją po prostu jak w pułapkę, ułożywszy zręcznie przedtem pozory?

Ogarnęła ją trwoga i chęć ucieczki. Ale gdzie uciekać? Po schodach na półpiętrze? Na to nie było czasu. Zobaczyła tuż obok drzwi, bezwątpienia wiodące do kuchni. Tam postanowiła się schronić. Weszła i natychmiast przekonała się o swej omyłce. Drzwi nie wiodły do kuchni, ale do jakiejś ciemnej spiżarni; była to raczej szafa, niż ubikacja tak, iż chcąc zamknąć drzwi, musiała się formalnie przycisnąć do ściany.

W tym samym czasie główne drzwi wejściowe otwarto bardzo ostrożnie i pocichu. Dwóch mężczyzn weszło do domu z zachowaniem jak największych ostrożności i jeden z nich po chwili szepnął:

— Stara śpi.

Poprzez matowe szyby, gdzie niegdzie przetarte, Liljana rozpoznała Erwinga, pomimo, że podnie-

siony kołnierz i kapelusz o szerokich opuszczonych skrzydłach zasłaniały twarz jego aż po brodę. Towarzysz jego również ukrywał twarz swoją do polowy w szaliku.

— Cóż ty za głupstwa urządzasz dla tej panny? — rzekł tamten drugi.

— Żadnych głupstw nie robię — mruknął Erwing — śledzę ją, oto wszystko.

— Dajno spokój, stałeś się poprostu jej cieniem. Tracisz głowę, i pewnego dnia gotów jesteś stracić naprawdę, jeżeli ona się postara, żeby cię na dobre powiesili.

— To nie wykluczone. W zamku Cornwey prawie, że byłoby się jej to udało. Ale ona mi jest koniecznie potrzebna.

— Dlaczego? Naco? Poco?

— Ze względu na ten medal. Tylko ona go potrafi zdobyć.

— Nie tutaj wszakże. Przecież już dwa razy przeszukaliśmy ten dom.

— Widocznie niedość dokładnie, jeżeli ona tutaj przebywa. Kiedyśmy ją spostrzegli, kierowała się w stronę tego domku. Wybrała wieczór, w którym służąca wyszła z domu i stara została sama.

— Zależy ci na niej, widzę, na tej koteczce.

— Czy mi na niej zależy — zgrzytnął zębami Erwing — niechno ona się tylko dostanie w moje ręce, zaprzysięgam ci, że mnie popamięta.

Liljana zadrżała mimowoli. W głosie tego groźnego człowieka dźwięczała zarazem nienawiść i gwałtowność požądania, które ją przerażały.

Erwing umilkł i przystanął nasłuchując. Upłynęło kilka minut. Lawinja Hay ciągle jeszcze spała, a głowa jej coraz niżej chyliła się nad niedokończoną robotą.

Wkońcu Erwing wyszeptał:

— Ona chyba nie przyjdzie? Może zmieniła zamiar w ciągu drogi?

— A zatem wynośmy się stąd — zaproponował towarzysz.

— Nie.

— Masz jakiś pomysł?

— Chcę dzisiaj znaleźć medal.

— Ależ wszakże już dwa razy napróżno...

— Widocznie źle zabraliśmy się do tego. Trzeba zmienić metodę. Tem gorzej dla starej.

Uderzył pięścią w stół.

— Nie, to doprawdy już nazbyt głupie. Także służąca powiedziała wyraźnie, że w tym domu jest taki medal, jakiego szukają we dworze. A więc korzystajmy z okazji. To, co nie udało się z baronem, może się udać dzisiaj.

— Jakto, chciałbyś...

— Zmusić ją do mówienia, tak jak próbowałem zmusić tamtego starca. A to jest kobieta, więc mniej wytrzymała.

Erwing zdjął z głowy kapelusz. Jego zła, wyraziście narysowana twarz, nacechowana była dzikością i okrucieństwem.

Podszedł do drzwi, zamknął je na klucz i włożył go do kieszeni. Potem zbliżył się do fotelu, w którym staruszka spała spokojnie, wpatrywał się przez chwilę w twarz śpiącej i nagle rzucił się na Lavinję, chwycił ją za gardło i przygniótł do poręczy fotela.

Towarzysz zachichotał.

— Niepotrzebnie tak nadwyreżasz swoje siły, jeżeli ją ściśniesz za mocno, to ci skona pod palcami.

Erwing rozluźnił nieco straszliwy uścisk swych palców. Starej oczy stanęły w słup a z gardła wydobywały się słabe jęki.

— Mów, — rozkazał Erwing — baron powierzył ci medal, gdzieś go ukryła?

Lavinja nie rozumiała co się z nią dzieje, próbowała się bronić. Erwing rozwścieklony ją gwałtownie potrząsał kobietą.

— Otworzysz ty raz gębę? Gdzie jest medal, który ci dał twój dawny kochanek? Powierzył ci go przecież, no — nie próbuj się wykręcać stary smo-

ku. Twoja służąca rozpowiedziała to wszystko, no gadaj, bo inaczej...

Pochwycił leżący przed kominkiem żelazny pogrzebacz i skierował go ku starej, krzyżąc:

— Raz, dwa, trzy, jeżeli naliczę do dwudziestu, rozbiję ci tym pogrzebaczem głowę.

Rozdział VIII.

W pułapce.

Drzwi, poza któremi ukryła się Liljana, źle się domykały. Liljana uchyliwszy je nieco, widziała i słyszała całą scenę. Pogrożka Erwinga nie przerażała jej zbyt, ponieważ wiedziała, że mimo całego swego okrucieństwa, nie wykona jej. Nie mógł przecież zabić starej, dopóki mu nie zdradzi swej tajemnicy. Istotnie Erwing doliczył do dwudziestu, a Lawinja nie wyrzekła ani słowa. Ten opór wzmagał jeszcze wściekłość napastnika. Odrzucił wprawdzie pogrzebacz, ale schwytał rękę Lawinji i ścisnął ją tak silnie, że stara zawyla z bólu.

— Aha, nareszcie zaczynasz rozumieć, może zdecydujesz się odpowiadać? Gdzie medal?

Mileczała. Erwing powtórzył bolesny uścisk. Stara padła na kolana i zaczęła błagać o litość urywanymi słowami.

— Mów, mów, — wrzeszczał — zmuszę cię do tego, żebyś przemówiła.

Lawinja wybelkotała kilka niezrozumiałych słów.

— Co mówisz? Wyraźnie mów, czy chcesz, żebym cię jeszcze raz tak uściskał?

— Nie, nie! Litości! — błagała. To tam, w rzece...

— W rzece? Kłamstwo! Wybyście to wrzucili do rzeki? Kpisz sobie ze mnie, czy co?

Erwing gniótł kolanem piersi nieszczęśliwej a ręce jej ścisnął swoją żelazną dłoń. Liljana ze swojej kryjówki widziała to wszystko pełna przerażenia, bezsilna wobec tych dwóch mężczyzn.

— Chcesz, żebym ci jeszcze raz tak skręcił gnaty? — ryczał Erwing. — Wolisz to, aniżeli powie-dzieć? No, poczekaj!

Ramię jego wykonało ruch, który wyrwał krzyk straszliwego bólu z piersi Lawinji Hay. Z trudem uniosła głowę i konwulsyjnie drżącymi wargami wyjąkała:

— W szafie, w szafie.

Nie dokończyła tego zdania, chociaż usta jej cią-gle poruszały się nerwowo. Ale twarz przerażona nagle się uspokoiła, pojawił się uśmiech bezmyśl-ny, a potem Lawinja Hay wybuchnęła szaleńczym śmiechem. Nie czuła już więcej bólu, jaki zadawał jej bezlitosny napastnik. Śmiała się, śmiała ciągle z wyrazem jakiegoś błogiego zachwycenia na twa-rzy. Zwarjowała.

— Nie masz szczęścia — zadrwił towarzysz Er-winga. Jak tylko chcesz kogo pociągnąć za język, zaraz mu się rozum mąci. Stary baron dostał bzika, a jego przyjaciółka zdaje się, że również postradała zmysły. Nie, nie, stanowczo ci się nie powodzi.

Wściekły z gniewu Erwing odepchnął starą, któ-ra ze stukiem upadła na ziemię.

— Powiadasz, że mi się nie powodzi? Ale jed-nak tym razem uchwyciłem jakąś nitkę. Zanim straciła rozum wspomniała coś o jakiejś szafie. O jakiej ona szafie mówiła? Czy to ta, czy tamta...

Wskazywał kolejno ową ciasną spiżarkę, w któ-rej ukrywała się Liljana i wielką szafę, ustawioną na lewo od kominka.

— Zacznę od tej szafy, a ty zajmiesz się tamtą — rozporządził Erwing — albo nie, pomóż mi w prze-szukaniu tej szafy i skończmy z nią najpierw.

Przy pomocy żelaznego pręta wyważyli drzwi szafy.

Liljana nie wahała się już. Wiedziała, że skoro skończą przetrząsać szafę, przyjdą do jej kryjówki i że zgubioną będzie, jeżeli nie zdoła się uratować

ucieczką. Stara, leżąc tuż obok drzwi schowka na ziemi, co chwila chichotała bezmyślnie.

Wysoki fotel, w którym poprzednio spała starszuszka, stanowił wygodną osłonę. Liljana, ukryta w cieniu poręczy fotela, ostrożnie wyciągnęła rękę i zdjęła z włosów Lawinji czepek koronkowy, który włożyła na swoją głowę, potem porwała okulary, ściągnęła mantylkę, którą narzuciła na ramiona a spódnicę okryła szerokim fartuchem gospodarskim z czarnej alpaki. Za chwilę dwaj mężczyźni, przetrzasający szafę, zobaczyli, że stara chichocząc ciągle przesuwa się zgarbiona przez pokój i idzie ku drzwiom.

Erwing ściągnął brwi.

— Co ona robi ta warjotka? Żeby tylko nie uciekła.

— Jakżeż wyjdzie, masz przecież klucz w kieszeni.

— A okno?

— Za wysoko umieszczone, stara się nie wydrapie a przytem gdzieżby jej się zachciało porzucać tę szalupę?

Okno istotnie było zbyt wysoko umieszczone dla starej Lawinji Hay, ale dla wygimnastykowanej, młodej tancerki na linie skok na okno, a potem z okna w ciemną otchłań ogrodu, był drobnostką. Gdy skoczyła, postąpiła krzyki wściekłości, ale dwaj ci mężczyźni musieli najprzód zrozumieć co się stało. Obejrzelni najprzód pozostawione na podłodze ciało prawdziwej Lawinji, a młoda dziewczyna tymczasem skorzystała z czasu. Nazbyt przeżorna, aby uciekać drogą, po której ją ścigać będą napewno prześladowcy, okrążyła dom, przeszła przez płot i odetchnęła z ulgą, kiedy się znalazła pod osłoną drzew zagajnika. Za chwilę wy dostała się na drogę, wiodącą do dworu.

W tej samej chwili dały się słyszeć strzały. To Erwing i jego towarzyszy strzelali na ślepo w ciemność.

Robert i dzieci zatrwożeni nieobecnością Liljany wyszli jej na spotkanie na drogę. Krótko i zwięźle opowiedziała im o przebiegu całej wyprawy i zakończyła wnioskiem:

— A teraz chodzi o to, aby osiągnąć cel ostateczny. Za tydzień rozegra się decydująca partja.

Minęło kilka dni pełnych pogody i miłych wrażeń dla dwojga młodych ludzi. Robert, pomimo, że zachowywał się ciągle z pewną rezerwą rozmawiał z Liljaną coraz śmielej i coraz otwarzej, odsłaniał przed nią głębię swojej natury, poważnej a zarazem namiętnej.

Liljana odczuwała pewną radość z powodu tej miłości, której szczerą samą odczuwała.

Wil i jego towarzysze, mocno zaniepokojeni takim stanem rzeczy, nie ukrywali swego niezadowolonia i złego humoru.

Mały kapitan kiwał głową znacząco.

— Mateczko Liljanko, wiesz, mnie się zdaje, że ja tego pana to jeszcze mniej lubię, niż tamtego brzydkiego pana i gdybyś chciała mnie usłyszeć...

— No to co zrobilibyśmy, mój mały?

— Zaprzęglibyśmy naszą klaczkę do wozu i pojechalibyśmy w świat, przed siebie.

— A skarb? Wiesz przecie maleńki, że szukamy skarbu.

— Skarbem jesteś ty dla nas, mateczko. I boję się, żeby nam tego skarbu nie zabrali.

— Bądź spokojny smyku, czworo moich dzieciaków będzie miało zawsze pierwszeństwo.

Ale te zapewnienia bynajmniej nie uspokajały czterech chłopców. Zdawało im się ciągle, że jakieś niebezpieczeństwo ciąży nad nimi.

Wokół panowała jakaś ciężka, groźna atmosfera. Jedno niebezpieczeństwo pochodziło od Roberta, ale było jeszcze coś innego, bardziej groźnego i tajemniczego. Chłopcy dwa razy widzieli jakąś ciemną sylwetkę, przemykającą się wieczorem wśród opłotków.

[W dniu 30 czerwca Liljana zaleciła Robertowi,

aby uwolnił całą służbę dworską na dzień następny. Nadarzyła się okazja po temu, ponieważ był to dzień uroczystego święta. Trzech służących, odznaczających się największą siłą otrzymało rozkaz tajemnego powrotu o godzinie 4 po południu. Uzbrojeni w strzelby mieli oczekiwać w pobliżu małej oberży, znajdującej się niedaleko dworu.

Następnego dnia Liljana okazywała niezwykle dobry humor. Tańczyła na podwórzu jakieś tańce ekscentryczne i śpiewała francuskie kuplety. Nie przestała śpiewać nawet na łodzi, którą wyjechali na staw. Wyprawiała na wodzie takie historje, że kilka razy o mało co się nie wyrócili.

Między innemi żonglowała swemi bransoletkami koralowemi i jedną z nich upuściła do wody. Chciała wylowić obręcz koralową, zanurzyła swą nagą rękę aż po ramię w wodzie i nagle zniechęciła. Pochyliwszy głowę ku zwierciadłu jeziora, jak gdyby coś tam specjalnie ciekawego zobaczyła.

— Czemu się pani tak uważnie przygląda — zapytał Robert.

— Deszcz nie padał już oddawna — rzekła — poziom wody w stawie obniżył się, to też widzi się wyraźniej kamienie i piasek na dnie. Otóż uderzyło mnie, że niektóre z tych kamieni są rozmieszczone jakby w pewnym, systematycznym porządku. Niech pan popatrzy.

— Istotnie — rzekł — są to kamienie obciosane zupełnie regularnie. Wygląda to tak, jakby to były jakieś wielkie litery.

— Tak jest, a te litery tworzą słowa, którychby łatwo się było domyślić: in robore fortuna.

— Miałam sposobność przyjrzeć się starej mapie topograficznej. W tem miejscu, gdzie się obecnie znajdujemy, niegdyś mieścił się trawnik parku. Jeden z pańskich przodków kazał wypisać tę dewizę na blokach kamiennych. Potem urządzono tutaj ten sztuczny staw. Ale dewiza na kamieniu wyryta pozostaje.

Liljana rzuciła przez zęby:

— Jeszcze kilka słów, jakieś cyfry, ponad napisem. Nie dostrzegłam ich przedtem a to mnie dość interesuje. Czy pan to widzi?

— Owszem, ale niezbyt dokładnie.

— No tak znajdujemy się zbyt blisko, należałoby to obserwować z pewnej wysokości.

— Wejźdźmy na wzgórze.

— Nie, stamtąd obraz będzie zmacony.

— A zatem — roześmiał się, — chyba że wznieśliśmy się aeroplanem.

Skoro nadeszła godzina śniadania, pożegnali się.

Robert po spożyciu posiłku wyprawił z domu całą służbę a potem poszedł nad brzeg stawu, gdzie zobaczył trupę cyrku Liljany. Grubą linę drucianą przeciągnięto ponad stawem na wysokości najmniej 4 m., przytwierdzając ją na obu wybrzeżach do wbitych w ziemię palików.

— Cóż to się dzieje? — rzekł. — Czy pani przygotowuje tu jakieś produkcje cyrkowe?

— Rzeczywiście, zgadł pan — odparła młoda dziewczyna, śmiejąc się wesoło. Ponieważ nie posiadam aeroplanu, muszę posłużyć się akrobatyką powietrzną.

— Jakto? — zawołał, pełen niepokoju. Ależ pani spadnie bezwątpienia.

— Umiem pływać doskonale.

— Nie, nie ja na to nigdy nie pozwolę. Stanowczo sprzeciwiam się.

— Pan nie pozwala, pan się sprzeciwia, a jakim prawem?

— Prawem gospodarza, dbałego o bezpieczeństwo tak miłego gościa. Nie mogę przecież zezwolić, by pani narażała swoje życie.

— Zapomina pan, że jestem cyrkówką i to zrzędną cyrkówką.

Liljana zniknęła za chwilę w głębi swego wozu, aby w parę minut potem ukazać się na płaskim dachu. Śmiała się tak, jak to zawsze czyniła, kiedy przychodziło jej wykonywać ćwiczenia akrobatycz-

ne. Miała na sobie płócienną suknię o bardzo szerokich rękawach i czerwoną jedwabną chusteczkę przewiazaną na krzyż przez piersi.

Robert okazywał najwyższe zdenerwowanie.

Kapitan Pery zbliżył się do niego, balansując na swoich cienkich nóżkach, w niezmiernie obszer-nych porciętach.

— Chciałbyś ty oddać przysługę mateczce Liljanie? — zapytał tonem poważnym.

— Naturalnie, mój mały.

— No to wiesz co — idź sobie stąd.

Liljana tymczasem wysunęła nogę bosą, obutą tylko w sandał. Dotknęła naprzód drucianej liny końcami palców, tak jak kobieta kąpiąca się próbuje naprzód stapa, czy woda jest bardzo zimna. A potem szybko, zdobywając się na decyzję, zrobiła kilka kroków i zatrzymała się. Z uśmiechem ukłoniła się na prawo i na lewo, jakby to było istotne przedstawienie cyrkowe, w czasie którego podziwia ją liczna publiczność. I sunęła dalej po linie rytmicznie, utrzymując równowagę falującymi ruchami górnej połowy ciała. W ten sposób dostała się aż na środek stawu, gdzie przystanąła. Był to najtrudniejszy do wykonania punkt tego karkołomnego programu. Musiała utrzymywać się na tak niepewnej podstawie z pochyloną głową, obserwując wzrokiem dno stawu.

Było to zadanie niezwykle niebezpieczne. Były chwile, kiedy się zdawało, że absolutnie spaść musi, utrzymywała jednak równowagę. Upłynęły dwie minuty, pełne trwogi, wreszcie Liljana wykonała harmonijny, rytmiczny ruch ramionami i z okrzykiem zwycięstwa rozpoczęła drogę powrotną. Robert pospieszył jej naprzeciw, chcąc jej podać rękę w chwili, gdy będzie zeskakiwać z drucianej liny na brzeg. Liljanę uderzyła jego bladeść i uczuła się wzruszoną jego widocznym zdenerwowaniem, wynikającym z troskliwości o nią.

— No i cóż — rzekł.

— Udało mi się odczytać rzecz najważniejszą

date... 12 czerwca 1925 roku. Wiemy zatem, że dzień 12 czerwca bieżącego roku jest tym wielkim dniem, zapowiadany oddawna. Ale zdaje mi się, że odkryłam jeszcze coś ciekawszego.

Zawołała Wila i powiedziała mu kilka słów cichym głosem. Chłopak natychmiast pobiegł do wozu i wkrótce potem ukazał się znowu ubrany w swój trykot cyrkowy. Wsiadł następnie do łodzi razem z Liljaną. Skoro znaleźli się na środku stawu, Wil wskoczył do wody, zrobił nurka, za chwilę ukazał się znowu i wrzucił do łódki jakiś dosyć ciężki przedmiot. Liljana pochwyciła żywo ten przedmiot, a gdy się znaleźli znowu na stałym gruncie, podała go Robertowi.

Był to krążek wielkości dużego spodka. Krążek ten był pękaty, niby ogrągły zegarek. Składał się on z dwóch płyt w ten sposób jednak zlutowanych ze sobą, że nie można było zajrzeć do środka.

Liljana potarła jedną z powierzchni krążka i ukazała Robertowi wyryte słowo: „Fortuna“.

— Nie omyliłam się, — rzekła — stara Lawinja nie kłamała mówiąc najprzód o rzece, widocznie wiedziała o tem, że baron wrzucił do wody medal złoty w tym futerale metalowym. Czyż można było znaleźć lepszą kryjówkę, nad dno stawu, skąd z łatwością pierwszy lepszy dzieciak, umiejący nurkować mógł mu ten krążek wydobyć. Pełna radości wyrzuciła krążek w powietrze a potem przy pomocy trzech kamyków zaczęła się popisywać żonglerskimi sztuczkami. Kapitan przypomniał jednak, że dzień dzisiejszy jest dniem uroczystego święta i że po nabożeństwie we wsi odbędzie się zabawa ludowa, na której być powinni.

Szybko powrócili do dworu. Wil poszedł się przebrać, a Robert udał się do garażu i wyprowadził stamtąd auto. Trzej młodszy chłopcy zajęli miejsca w wozie a Robert poszedł po Liljanę. Zastał ją siedzącą przy małym stoliku na tarasie, biegnącym wzdłuż domu.

— Nie jedzie pani z nami? — zapytał.

Od samego rana Robert miał to nieokreślone wrażenie, że to, co się dzieje, ma w sobie coś nienaturalnego. Wypadki następowały po sobie kolejno w tak logicznym porządku, cechowała je taka jakaś precyzja matematyczna, że aż było w tem coś niesamowitego. Rzeczywistość bywa zwykle bardziej fantastyczną. Oczywiście, nie rozumiejąc dokładnie metod, któremi się posługiwała Liljana, domyślał się, że ostatecznym jej celem jest pojmanie Erwinga. Jednakowoż w jaki sposób zamierzała dojść do tego?

— Niech mnie pan o nic nie pyta — rzekła — szpiegują nas. Żadnych protestów. Niech pan słucha.

Bawiąc się ciągle puszczeniem po stole krążka w ruch wirujący, zupełnie cichutkim głosem powierzyła mu część swoich planów.

— Oto kilka dni temu w pańskim imieniu napisałam do prokuratora list, powiadamiając go, że poszukiwany przez policję John Erving znajduje się w obrębie posiadłości Doberty, dalej powiadomiłam go, że ten sam człowiek usiłował zamordować barona i panią Lawinę. Zażądałam wysłania dwóch agentów policji, którzyby się z panem spotkali o godz. 4 popoł. w oberży na rozstajnych drogach. Obecnie jest wpół do czwartej, niech pan wsiada do auta, Robercie, i niech pan jedzie, pańscy trzej służący już tam będą.

— I cóż mam uczynić?

— Jak najszybciej powróci pan tutaj z agentami i ze służbą, ale nie zwykłą, prostą drogą. Pojedziecie ścieżkami, które wam wskaże Wil. Tu będą już przygotowane drabiny, przystawicie je do muru, a znajdziecie Erwinga i jego współnika. Steroryzujecie ich bronią palną a agenci ich zaarrestują.

— Czy pani jest pewna, że Erving wyjdzie ze swojej kryjówki?

— Jestem tego absolutnie pewna, wszak wie, że medal jest w moich rękach, czyżby nie skorzystał

z okazji odebrania mi go prawie w przededniu wielkiego dnia?

Liljana mówiła najzupełniej spokojnie, chociaż sama ściągała na siebie całą grozę walki z tak niebezpiecznym przeciwnikiem, jednak nie zdawała się zupełnie myśleć o jakimkolwiek niebezpieczeństwie. Miała przytem tak wielką przytomność umysłu i taką bystrość obserwacji, że spostrzegłszy staroego dziedzica, który przechodził właśnie ze swoim wiernym Goliatem, rzekła:

— Czy pan zauważył, że pański dziadek jest jakiś więcej zdenerwowany od kilku dni, i on również instynktem podświadomości czuje zbliżającą się chwilę decydującą. I on chciałby działać. Walczy z niemocą własnego umysłu, paraliżującą go w godzinie czynu.

Pomimo zaufania, jakie Robert żywił do energii i sprytu Liljany, wahał się, czy ją opuścić. Myśli, że zostawi ją tutaj samą, narażoną w każdej chwili na spotkanie z gotowym na wszystko bandytą, była mu niewymownie przykłą.

— Wszystko pani przygotowała na dzisiaj — rzekł — policja jest zawiadomiona, moja służba uprzedzona, spotkanie wyznaczone, więc dobrze, a jednak pani nie mogła przecież wiedzieć, że ten krążek odnajdzie się właśnie na godzinę przed wyznaczonym terminem?

— Robercie, niech mi pan będzie posłusznym. Wie pan przecież, że ja nie postępuję lekkomyślnie. Niech się pan spieszy, aby się stawić na czas, albowiem Erving przybędzie tutaj nietylko poto, aby odebrać medal, ale również aby posiadać coś innego, na czem mu może niemniej zależeć.

— Cóż to takiego?

— Mam na myśli moją osobę, Robercie.

Ten argument wpłynął na przyspieszenie decyzji młodzieńca. Auto ruszyło w drogę. Liljana pozostała samotna. Siedziała zwrócona plecami do dziedzińca, nie ruszając się z swego krzesła. Zda-

wała się być wielce zajęta oglądaniem krawka, badaniem trwałości lutowania, tak jak to czyni osoba, która pragnie zbadać sekret i wykryć słaby punkt mechanizmu.

W istocie jednak łowiła słuchem wszystkie najlżejsze szelesty. Była najzupełniej przekonana, że Erving nadejdzie. Było to wprost wykluczonem, aby nie przyszedł. Medal był zbyt silną przynętą. Opryszek nie oprze się takiej pokusie. Chwilami jednak przychodziły jej pewne wątpliwości do głowy.

— Nie, — mówiła sobie — on mi uwierzy. — Cały mój podstęp jest trochę zanadto dziecinny, ten metalowy futerał, znaleziony w momencie krytycznym, ten odjazd Roberta i chłopców, ja pozostaję sama w pustym domu, właśnie wtedy, kiedy powinnam jak najbardziej czuwać nad bezpieczeństwem mojej osoby... tak prawdę mówiąc, to jest to trochę naciągnięte. Taki stary lis, jak Erving nie wpadnie w tę pułapkę.

Za chwilę rozpatrywała kwestję w innym świetle.

— Przyjdzie, prawdopodobnie wyszedł już ze swojej kryjówki, absolutnie przyjdzie. Oczywiście, zorientuje się on w niebezpieczeństwie, ale dopiero potem, kiedy już będzie zapóźno. Obecnie musi być posłuszny mojej woli.

Zdawała sobie z tego sprawę, że Erwing nie oprze się przecież podwójnej pokusie. Mógłby wprawdzie ominąć pułapkę z medalem, ale nie przewycięży chęci pochwycenia takiego łupu, jakim jest ona sama, Liljana.

Liljana podniosła głowę z uśmiechem. Dały się słyszeć jakieś kroki. Ktoś nadchodził.

Liljana poczuła, że to wróg się zbliża.

Ale w tej samej chwili dał się słyszeć szelest po prawej stronie, a potem z lewej strony. Erwing miał nie jednego, ale dwóch wspólników. Osaczono ją. Na zegarku Liljany brakowało pięciu minut do godziny czwartej.

Rozdział IX.
Spotkanie.

— Jeżeli się rzuca na mnie — myślała — jeżeli Erving zamierza porwać mnie natychmiast, to nie poradzę. Zanim zdołam cośkolwiek przedsięwziąć, pochwyca mnie i uniosą do jakiegoś lochu a stamtąd, czyż ja wiem dokąd?

Wszakże Erwing, będąc panem i medału i Liljany nie będzie widział przed sobą innej drogi, jak tylko najszybsza ucieczka.

Liljana zrozumiała, że jej plan tak precyzyjnie opracowany i tak chytrze pomyślany, ma jednak pewne wadliwe posunięcia, które mogą go zwrócić przeciwko niej samej. Narazie postanowiła opuścić taras i ukryć się w małej komóreczce, służącej za skład rozmaitych gratów. Nie wątpiła, że Erwing ją odnajdzie, ale w każdym razie poszukiwania zajmą trochę czasu, a chodzi o to przecież, aby opóźnić chwilę ucieczki wroga.

W chwili, kiedy Liljana chciała przekroczyć próg, ujrzała przed sobą nagle Ervinga, ironicznie przypatrującego się jej z pod szkieł okularów.

Liljana nie nosiła nigdy przy sobie rewolweru. Miała zbyt wiele zaufania do swej odwagi i inteligencji. W tej chwili jednak pożałowała, że nie ma broni. Kiedy zobaczyła przed sobą mordercę ojca, pierwszym jej pragnieniem było: zastrzelić go jak psa.

Erving odgadł ją. Pochwycił jej ramię i gniotąc je w ten sposób, jak to czynił starej Lawinji, wytrząskł urywanym głosem:

— Prędko mów, gdzieś go schowała?

Nie myślała nawet opierać się, tak silnym był ból w torturowanem ramieniu. Palcem wskazała mu leżący krążek. Erving pochwycił go, zważył na ręce i obejrzał z wyrazem zadowolenia.

— No, zatem wszystko w porządku. Zwyciężyliśmy. Dwadzieścia lat wysiłku dobiega końca.

Zwycięstwo! A oprócz skarbów, jeszcze ty dostaniesz mi się, Liljano, ty, najwspanialszy, najbardziej upragniony skarbie!

Przezornie dotknął jej sukni, aby się przekonać czy młoda dziewczyna nie ma przy sobie broni. Potem chwycił ją wpół i z siłą, jakiej nikt u niego nie podejrzewał, przerzucił sobie Liljanę przez ramię w ten sposób, że głową zwiisała naprzód.

— Wiesz Liljano, że zaczynasz mnie trochę niepokoić — rzekł. — Jakto, żadnego oporu? Żadnej próby oporu? O, widzę moja dziewczynko, żeś nabrała rozsądku! Coś trochę za wiele tego rozsądku. Znam ja cię dobrze, pewnie się coś za tem kryje. No, ale to ze mną sprawa, będę się miał na baczności.

Erwing zwrócił się ku swoim współnikom i zawołał:

— Miejeie otwarte oczy, przyjaciele, trzeba dobrze uważać, aby nie wpaść w pułapkę. A kiedy gwizdnę, pędźcie co żywo w stronę wybrzeża.

Sam skierował się w tę stronę wielkimi krokami, nie okazując żadnego osłabienia, pomimo ciężaru, który dźwigał. Młoda dziewczyna ze wstrętem wdychała woń jego ubrania, przesyconego wilgocią groty, w której się musiał dotychczas ukrywać. Twardą, nieublaganą dłonią bandyta ścisnął kark dziewczyny, zadając jej silny ból. Dochodzili już do drewnianego mostu, przerzuconego przez rzekę. Już Erwing miał wstąpić na most, niedaleko którego znajdowała się zapewne tajemna jego kryjówka, ukryta wśród skał korytarzy podziemnych. Już Erwing podnosił swój gwizdek ku wargom.

Ruchem szybkim, jak błyskawica, Liljana chwyciła kążek metalowy, który Erwing schował do kieszeni i który z niej wystawał. Chwyciła go, i zanim mężczyzna zdążył zrozumieć co się dzieje, już kawałek metalu wpadł z pluskiem do wody.

— A przekłeta hultajko! — ryknął z wściekłością Erwing, rzucając dziewczynę gwałtownie na

ziemię, — jeżeli się ośmielisz poruszyć, rozwalę ci łeb!

Erwing zszedł w muł nadbrzeżny i brnął w nim, ciągle wzrokiem śledząc Liljanę i obrzucając ją obelgami.

Dziewczę nie myślało nawet o ucieczce. Wzrok miało wlepiony w jeden punkt. Liljana obserwowała ustawicznie mur, na którym za chwilę mieli się pojawić uzbrojeni policjanci lub służba Roberta.

Było już parę minut po czwartej, a jednak nikt się nie ukazywał. Liljana jednak nie traciła nadziei. Spodziewała się, że Erwing, który stracił całą swą zimną krew, popełni jakiś błąd, z którego ona nie omieszka skorzystać.

— Tak, tak, — szydził Erwing — rozumię cię, chcesz zyskać na czasie moja mała, a potem? Zdaje ci się, że ja cię z rąk wypuszczę? O, nigdy w życiu! Mam was teraz, trzymam was teraz, ten złoty medal i ciebie i byłbym chyba ostatnim głupcem, gdyby mi taki wiejski prostak, jak twój Robert potrafił was wyrwać. Jeżeli przybędzie, tem gorzej dla niego. Moi ludzie mają dokładne rozkazy. Jedno porządne uderzenie żelazną pałą w łeb wystarczy.

Szukał jeszcze przez chwilę, grzebiąc rękami w mule. Potem wydał okrzyk tryumfu i dźwignął się z krząkiem metalowym w podniesionej ręce.

— Widzisz kochanie, jest. Szczęście jest stanowczo po mojej stronie, nie udało ci się. No, dalej w drogę, śliczna kuzyneczko!

Młoda dziewczyna patrzyła ciągle na mur, pusty jeszcze. Nikogo nie było widać.

Instynktownie wykonała gest obronny przed zmienawidzonym człowiekiem. Erwing zaczął się śmiać serdecznie, tak mu się wszelki opór z jej strony wydawał nonsensownym i pozbawionym jakichkolwiek widoków powodzenia.

Gwałtownie rozerwał jej splecione ręce i znowu przerzucił ją przez ramię.

— No, pożegnaj się z twoim adoratorem, Liljano, bo on się kocha w tobie szalenie, ten poczciwy, głupi Robert. Pożegnaj się z nim, już go nigdy nie zobaczysz, a gdybyś go kiedyś zobaczyć miała, to chwila ta z pewnością będzie przyjemniejszą dla mnie, niż dla niego.

Erwing ze swoim żywym łupem przeszedł przez most na drugi brzeg.

Do duszy Liljany zaczęła się wkradać rozpacz. To był już koniec, jeszcze kilkadziesiąt kroków a Erwing stanie się niewidzialnym, nie dosięgną go strzały z muru, choćby się tam mieli pojawić uzbrojeni mężczyźni. Liljana przegrała. Robert i policjanci przybędą zbyt późno.

— Nie masz pojęcia — szeptał Erwing — jak to miło tak czuć cię przy sobie całą drżąca, unosić cię ze sobą, wiedząc, że wymknąć się nie zdołasz. Ale cóż to takiego? Co się to dzieje? Płaczesz? No, nie trzeba, moja maleńka. No i o cóż ci chodzi? Przecież i tak pewnego pięknego dnia wpadłabyś w ramiona tego głupiego Robertka, dla czegożbym więc ja nie miał skorzystać z tego, do czego on zdobyłby prawo. No, dajże spokój, przestań szlochać, — odwrócił nieco głowę, spoglądając z boku na swoją branke. Nagle stanął jak wryty. Liljana śmiała się.

— Co to takiego? Dlaczego ty się śmiejesz? Jakże to możliwe, żebyś ty się teraz śmiała? Co się dzieje?

Ten śmiech przerażał go, niby groźba bliskiego niebezpieczeństwa. Jaki powód skłania tę dziewczynę do śmiechu? Wściekłość gwałtowna, niepoohamowana ogarnęła go do takiego stopnia, że zrzucił swój ciężar na ziemię pod drzewo a potem ścisniętą pięścią, na której błyszczał pierścionek, uderzył nią w czoło tak silnie, aż krew trysnęła.

Liljana śmiała się ciągle jeszcze i z pogardą zawołała:

— Cóż za wstrętny brutal z ciebie!

— Jeżeli będziesz się śmiała, odgrzyzę ci wargi, hultajko — syknął, schylając się nad nią. Liljana

śmiała się. Erwing czuł, że pod wpływem tego śmiechu coś mu się w głowie mieszać zaczyna.

— Co to znaczy? Co to znaczy? — powtarzał — powinnaś płakać a śmiejesz się, dlaczego się śmiejesz?!

— Śmieję się, — rzekła — z powodu tych płytek.

— Jakich płytek?

— Tych, które tworzą futerał medalu.

— Te oto płytki masz na myśli?

— Tak jest.

— A więc...?

— A więc przypatrz się im dobrze, te płytki pochodzą z cyrku Liljany, żonglowałam zawsze niemi na przedstawieniu.

Erwing był zaskoczony.

— Co ty mi powiadasz?

— Prawdę mówię tylko, Wil i ja złutowaliśmy te płytki i ja nożem wyryłam tę dewizę magiczną, ubiegłej nocy rzuciliśmy krążek do wody.

— Oszalałaś chyba? Nie rozumie cię zupełnie! Jakież cel byłby takiej machinacji?

— Ponieważ stara Lawinja torturowana przez ciebie mówiła coś o rzece, o wodzie, więc nie wątpiłam ani chwili, że wpadniesz w pułapkę.

— Jaką pułapkę?

— Chciałam ptaszka wywabić z jego kryjówki nadbrzeżnej.

— Więc wiedziałas, że ja tutaj jestem?

— Naturalnie, jak również wiedziałam o tem, że byłeś obecnym przy wylawianiu krążka z rzeki. Byłam już wtedy pewną, co się potem stanie. Wiedziałam, że takiej pokusie nie oprze się John Erwing, przekonany, że w mojem ręku znajduje się ów poszukiwany medal, przyjdzie, no i przyszedł.

Erwing wybelkotał silnie zmieszany:

— Jakto, jakto, więc wewnątrz tego futerału niema złotego medalu?

— Ależ nie, wewnątrz jest pusty.

— A co robi Robert? Czekasz na niego?

— Tak jest.

— Ma przybyć sam?

— Nie, w towarzystwie policjantów, właśnie pojechał po nich autem.

— Nędznico, zadenuncjowałam mnie!

— Tak jest, zadenuncjowałam.

Erwing był przekonany, że Liljana mówi prawdę, że krążek metalowy jest wewnątrz pusty i nie zawiera żadnego medalu, że on, człowiek tak doświadczony i przenikliwy, dał się wziąć na lep, jakgdyby był nowicjuszem. Co za dziwną władzę posiadała ta, tak niewinnie wyglądająca napozór dziewczyna. Najrozsądniejszą rzeczą dla Erwinga była obecnie jak najszybsza ucieczka, choćby nawet bez Liljany. Jednak zamiast posłuchać głosu rozsądku, zadał znowu pytanie:

— No więc dobrze, krążek jest próżny, ale ty wiesz gdzie jest medal?

— Wiem — odparła Liljana, która myślała tylko o tem, jakby zyskać na czasie i która nie spuszczała wzroku z muru.

Oczy Erwinga zabłyśły dziko.

— Aaa, więc wiesz? A wiesz, że to nieostrożnie z twej strony przyznawać się do tego? Jeżeli wiesz, to powiesz, moja mała, jeżelibyś chciała stawiać opór...

Wyjął z kieszeni rewolwer.

Liljana z żartobliwym uśmiechem rzekła:

— Zaczyna się tak, jak ze starą panną Lawinją, pan będziesz liczył do dwudziestu, szkoda czasu, na to mię nie weźmiesz!

— Przysięgam, do krośset piorunów.

— Puste słowa.

Nie, walka nie była jeszcze definitywnie przegrana. Liljana chociaż wyczerpana, pokrwawiona, trzymała się na powierzchni sytuacji z dziką energją. Czuła oto ona dobrze, że Erwing doprowadzony do ostateczności, zdolny będzie ją zabić, ale jednocześnie zdawała sobie sprawę ze swej przewagi nad nim. Brakło mu sił i odwagi, by odejść i porzucić ten upragniony medal, którego poszukiwał

od tyłu lat, a dla którego zdobycia popełnił zbrodnię. Jeżeli jego wahanie potrwa jeszcze kilka minut, to Robert się przecież pojawić musi.

W tej chwili zdarzyło się coś, co zainteresowało Liljanę do tego stopnia, że się nachyliła, aby lepiej widzieć. Od strony dworu siedł stary baron z walizką w rękę. Ubrany był nie jak zwykle w płócienną bluzę, ale w długi tużurek i w kapelusz pilśniowy. Dowodziło to, że obłąkany starzec zdobył się na jakiś wysiłek myśli.

Goliat towarzyszył, jak zawsze.

Wspólnicy Erwinga zabiegli starem drogę i odepchnęli go wstecz. Starzec wpadł w gniew, zaczął kłać a potem zniknął wśród drzew, trzymając Goliata za obrozę. Walizę jednak, jakby rzecz zbyt cenną, porzucił.

Zarówno Liljana, jak i Erwing zrozumieli, że stary dziedzic chciał udać się na poszukiwania legendarnego skarbu rodzinnego. W jego zaćmionym umyśle zachowała się jednak pamięć o przyrzeczonych skarbach. Instynktownie czując, że zbliża się termin, wybrał się w drogę z walizą. Był podobny do mechanizmu, który nastawiony, o danej godzinie funkcjonuje.

Erwing zawezwał swoich współników i wydał im rozkaz.

— Przetrząśnijcie walizkę.

Nie znaleziono nic, żadnego medalu, żadnej wskazówki. Erwing przez chwilę chodził tam i z powrotem, niezdecydowany. Wreszcie zbliżył się znowu do Liljany.

— Odpowiadaj mi. Robert kocha cię, ty go nie kochasz. Inaczej byłbym już dawno położył kres waszemu flirtowi, który trwa od dwóch tygodni. Jednakowoż masz w stosunku do niego skrupuły, a przytem uważasz się z nim za związaną w sprawie medalu i skarbu. Głupstwo, moja mała, zaraz to zrozumiesz, jak ci powiem pewną rzecz, o której nie byłaś poinformowana. Pewny jestem, że dowiedziawszy się o tem, przemówisz. Odpowiadaj

na moje pytania. Czy cię to nie dziwi, że ja poszukuję tego medalu, który przecież zabrałem twojemu ojcu? Czemu to sobie tłumaczysz?

— Tem, że ktoś ten medal rabusiowi odebrał.

— Istotnie, ale czy wiesz, kto?

— Nie wiem, tego nie wiem.

— Ojciec Roberta, Jerzy Doberty.

Liljana zazdrzała:

— Kłamiesz.

— Nie kłamie, — oświadczył silnym głosem — czy przypominasz sobie treść ostatniego listu twojego ojca? Wszakże w liście tym lord Cornwall opowiada o swojej ostatniej nocy w szpitalu, o tej nocy, w czasie której słyszał głosy dwóch mężczyzn rozmawiających pod oknem i widział rękę, wyciągającą się w stronę stolika, na którym leżał medal. Otóż tym drugim mężczyzną, towarzyszącym mi w tej wyprawie, był Jerzy Doberty. I ten lajdak Liljano, tej samej nocy, obrabował mnie.

Liljana wstrząsnęła się cała z oburzenia.

— To kłamstwo, podłe kłamstwo! Ojciec Roberta miałby postępować w ten sposób? Miałby być złodziejem?

— Jeszcze czemś więcej, moja Liljano, albowiem jedynym celem wyprawy nie była kradzież i jeżeli ten, z dwóch współników, który wsypał truciznę do szklanki utatuowaną ręką, nie wypiera się swych czynów, to nie zapominaj, że istnieje drugi, który dostarczył trucizny.

— Kłamstwo, kłamstwo, to ty podły bandyto jesteś jedynym winowajcą, ty sam zabiłeś mojego ojca!

— Nie wierzysz mi? Patrz, oto list Jerzego do starego barona, to znaczy do jego ojca. Przeczytaj ten list, który znalazłem w papierach barona: „Nareszcie zdobyłem nieodzowny medal złoty. W czasie urlopu przywiozę go“.

— A teraz porównaj datę, osiem dni po śmierci twojego ojca. Cóż, przekonałem cię? I czy nie sądzisz teraz, że my dwoje możemy się doskonale po-

rozumieć ze sobą, nie troszcząc się o tego głupca Roberta?

Rewelacja ta była bolesną próbą dla młodej dziewczyny, jednak zapanowała nad sobą i starając się utrzymać całą przytomność umysłu, zapytała Erwinga:

— Co pan chcesz przez to powiedzieć?

— Medal, który syn przywiózł baronowi, stary warjat powierzył swojej dawnej przyjaciółce, a ta go niewiadomo gdzie ukryła. Ten medal należy do ciebie, Robert nie ma do niego żadnych praw. Ja go chcę od ciebie odkupić.

— Za jaką cenę?

— Jaką wyznaczysz. Może połowa zysków, jeżeli tego żądasz.

Liljana zrozumiała, że teraz może nasuwa się jej sposobność zyskania na czasie.

— Porozumienie pomiędzy nami? Nigdy! Jakis podział, któryby zrobił ze mnie współniczkę bandyty i mordercy mojego ojca! Nie, po tysiąc razy nie! Wstręt mam do pana! Ale... zawieszenie broni na kilka chwil, to możliwe.

— A jakież są twoje warunki — rzekł. — Spiesz się, korzystaj z tego, że ci pozwalam stawiać warunki.

— Streszczam się. Daży pan do podwójnego celu. Chce pan zdobyć medal i mnie. Należy wybrać. Na czym panu zależy przedewszystkiem?

— Na medalu.

— W takim razie uwolnij mnie a wskażę ci go.

— Przysięgnij mi na honor i pamięć twojego ojca, że wiesz gdzie on jest.

— Przysięgam.

— Od jak dawna wiesz?

— Od pięciu minut, przedtem nie wiedziałam, ale teraz wiem. Drobną zupełnie rzecz naprowadziła mnie na to.

Uwierzył jej.

— Więc mów.

— A teraz, pan mi przysięgniesz, że skoro wypełnię warunek, odzyskam wolność.

W oczach Erwinga zamigotały drwiące błyski. Myśl, że istotnie miałby dotrzymać przysięgi, wydała mu się komiczna. Liljana wiedziała zresztą dobrze, jaką wagę ma przysięga takiego opryszka jak Erwing.

— Przysięgam — rzekł i po chwili powtórzył: — Mów! Tylko niech ci się nie zdaje, że mnie wyprowadzisz w pole.

— Zawsze byłam przekonana, a sędzę, że pan podzielał moją opinię, iż stary baron nie rozłączał się nigdy z medalem.

— Szukałem wszędzie — zauważył Erwing.

— I ja szukałam, jeżeli jednak mówię, że nie rozłączał się z medalem, to nie twierdzę, że ma go przy sobie, sędzę tylko, że medal ukryty jest w takim miejscu, które baron ma ciągle na oczach i może każdej chwili dosięgnąć ręką.

— Jakto? Niepodobna! Gdyby tak było, napewnobyśmy to zauważyli.

— Niekoniecznie, ponieważ naprzykład przed chwilą niczego pan nie zauważył.

— Przed chwilą?

— Tak jest. Wtedy, kiedy szedł popychany siłą instynktu, kiedy szedł, aby zabrać skarby.

— Szedł, ale bez medalu.

— Miał medal przy sobie.

— Przetrząsnęliśmy dokładnie walizę.

— Nietylko walizę miał przy sobie.

— Więc cóż takiego, do stu tysięcy kartaczy?! Byłaś przecież oddalona o sto metrów od niego, zauważyłaś co?

— Widziałam, że trzymał jeszcze coś innego, oprócz swojej walizy.

— Cóż takiego?

— Goliata.

Erwing umilkł uderzony tem jednym prostem słowem.

— Goliat — ciągnęła dalej Liljana — nie opu-

szczał go nigdy, Goliata miał zawsze na oczach i mógł go dosięgnąć ręką. Walizę porzucił, ale kurzowo trzymał psa za obrozę. Rozumie pan... za obrozę.

Teraz już Erwing nie wątpił zupełnie. Słowa Liljany rzucały snop światła w otchłań sprzeczności i ciemności.

Erwing odzyskał całą swoją zimną krew. Zapragnął natychmiast przystąpić do czynu, a jednocześnie układał wszelkie możliwe środki ostrożności. Wyjął z kieszeni postronek. Skrępował ręce Liljany a potem chustką fularową zawiązał jej usta.

— Jeżeli się omyliłaś, tem gorzej dla ciebie moja droga. Drogo zapłacisz swoją omyłkę.

Po chwili dodał cynicznie:

— A jeżeli się nie mylisz, to i tak gorzej dla ciebie, ja nie jestem z tych, którzy wypuszczają z rąk zdobycz.

Zawołał na swoich współników:

— Słuchajcie wy, tam, czy nie widać nikogo na drodze?

— Nikogo.

— Oczy miejcie otwarte, za trzy minuty odwrót. Skoro posłyszycie moją gwizdawkę, spieszcie natychmiast, spotkamy się przy wejściu do podziemia. Tę dziewczynę zabiorę ze sobą.

Ta groźba, chociaż tak przerażająca, nie przstraszyła jednak Liljany. Cała uwaga młodej dziewczyny zwróconą była na walkę, rozgrywającą się pomiędzy Erwingiem a starym baronem. Erwing, nie czekając już ani chwili, z powrotem przeszedł przez most i rzucił się na starca, który siedział na jednej z ławeczek na tarasie. Głowa psa spoczywała na jego kolanach.

Liljana czuła, że serce jej bije gwałtownie. Wiedziała o tem dobrze, że medal znajduje się istotnie ukryty w obroży psa. Chodziło teraz o to, czy ten ostatni, najwyższy wysiłek w celu uzyskania zwłoki, nie spełźnie na niczem.

Jeżeli w ciągu minuty lufy karabinów nie ukażą się na murze, to Erwing jest moim panem i władcą.

Zdecydowaną była zabić się raczej, aniżeli iść w niewolę do tego bandyty i mordercy ojca. Wiedziała więc, że gra chodziła o jej własne życie.

Erwing stracił więcej czasu na walkę, aniżeli pierwotnie przypuszczał. Skoro bowiem rzucił się na psa, baron zdobył się na niespodziewany opór. Starzec odepchnął napastnika z taką gwałtownością, że omal nie stracił równowagi i nie przewrócił się. Pies wył i wrywał się z rąk Erwinga. Wkońcu starego barona zdawały się już opuszczać siły a również i u psa zdawały się zauważyć oznaki zmęczenia. Goliat położył się u stóp swego pana i już bez oporu pozwolił obcemu dotykać swej obroży. Drżącymi febrycznie palcami pochwycił Erwing obrożę i rozpiął ją. W tej chwili jednak stało się coś niespodziewanego dla niego. Na murze ukazała się jakaś chuda postać i dał się słyszeć głos:

— Ręce do góry!

Liljana uśmiechnęła się i odetchnęła z uczuciem niewypowiedzianej radości i ulgi. Plan jej, który uległ opóźnieniu, widocznie z powodu jakichś nieprzewidzianych przeszkód, realizował się jednak. Obok Wila, który ukazał się pierwszy, wyłoniła się druga postać i groźnie zarysowała się lufa karabinu.

Erwing spoglądał przed siebie z tępym wyrazem przestrawu.

— Ręce do góry! Ręce do góry!

Jeszcze dwa karabiny pojawiły się, kierując się wprost ku Erwingowi. Wahał się jeszcze, ale kula świsnęła mu koło uszu. Podniósł tedy ręce w górę. Dwaj jego współnicy już uciekali. Szybko przebyli most i jak szaleni pędzili przed siebie, choć się o nich nikt nie troszczył.

Główne drzwi dworu otwarto nagle i ukazał się w nich Robert w towarzystwie dwóch mężczyzn.

Erwing stał nieruchomo ze wzniesionemi rękami i bezwątpienia nie próbowałby oporu, gdyby nie pewien manewr, który mu przywrócił na chwilę swobodę działania. Robert i dwaj jego towarzysze otaczali Erwinga na przeciąg kilkunastu sekund, zasłaniając go celującym do niego z muru, mężczyznom. Bandyta postanowił skorzystać z tego. Błyskawicznym ruchem wydobyl swój rewolwer i strzelił cztery razy. Trzy kule chybiły, ale czwarta raniła w nogę Roberta, który padł na ziemię z jękiem bólu. Był to bezcelowy jednak atak wściekłości. Natychmiast otoczono go, rozbrojono i nałożono mu na ręce kajdanki. Nie bronił się, ale przez cały czas, gdy mu zakładano kajdany, ściagał oczyma Liljanę, prawie że zupełnie ukrytą za krzakiem berberesowym, a we wzroku jego malowała się straszliwa nienawiść i niema groźba.

Wil i mały kapitan znaleźli Liljanę i szybko zaczęli krzątać się koło niej, wzburzeni do najwyższego stopnia widokiem jej pokrwawionej twarzy.

— Cicho — nakazała im milczenie, aby położyć kres wszelkim pytaniom. — Tak jest — jestem ranna, ale to nic. Kapitanie, biegnij do barona, zbliż się do psa, pogłaskaj go i odepnij mu obrozę. W tej obroży, pod płytką metalową, na której jest wyryte imię psa, znajdziesz woreczek, zawierający medal, którego szukamy. Przynieś mi ten woreczek.

Dzieciak momentalnie pobiegł.

— Wilu — mówiła dalej Liljana — czy agenci mnie widzieli?

— Nie.

— Trzeba tedy rozpuścić wiadomość, że opuściłam folwark i żeście mnie znaleźli w sąsiedniej wsi. Nie chcę być zamieszaną do śledztwa. Zaczęli by mnie pytać, badać, a to tylko czas stracony.

— Ale pan Doberty?

— Skoro tylko będziesz mógł, uprzedź go, powiedz mu, że oddaliłam się z powodów, o których będzie wiedział później i że go proszę, aby zacho-

wał kompletne milczenie odnośnie do mej osoby. Zresztą on sam jest ranny, a w tem całym zamieszaniu nikt nie będzie miał czasu myśleć o mnie. Zandarmi zaczną przetrząsać okolicę, aby odnaleźć współników Erwinga. Nie chcę, aby mnie widziano. Przesłoń mnie gałęziami. Ot tak. Dobrze Wilu. Dzisiaj wieczorem przyjdziecie po mnie wszyscy czterej i pomożecie mi się dostać do wozu, a rano odjeżdżamy. Być może, że będę chorą przez kilka dni. Jestem trochę przemęczona, może za dużo było tych wzruszeń. Czyś mnie zrozumiał mój chłopcze?

— Tak jest — mateczko.

Stało się tak, jak przewidziała Liljana. Obaj policjanci, zamknawszy w bezpiecznym miejscu Erwinga, przeszli niedaleko od niej. Przewodnikami ich był jeden ze służących. Za chwilę dały się słyszeć okrzyki. Widocznie odkryto wejście do korytarza podziemnego, przez który uciekli współnicy.

— Zapóźno — szepnęła sama do siebie Liljana — zwierzyzna miała dość czasu, aby umknąć.

Liljana czuła się coraz bardziej znużoną i wyczerpaną. Nie poddawała się jednak osłabieniu, oczekując powrotu kapitana. Zapytała Wila o powody opóźnienia ataku.

— Jakaś niespodziana przeszkoda, nieprawda?

— Tak jest — rzekł. — Policjanci omylili się co do oberży, a służący spóźnili się. Trzeba było zebrać wszystkich razem a prócz tego w drodze pękła guma w aucie.

Pery nadbiegł. Liljana rzekła jeszcze:

— Wilu, być może, że na medalu będzie wryta nazwa miasta, lub raczej nazwa zamku. W takim razie poinformujesz się i pojedziemy w tym kierunku. Kapitanie, znalazłeś?

— Tak jest, mateczko.

— To daj mi to kochanie.

Jakież silne wzruszenie przejęło Liljanę w chwili, gdy dotykała medalu, tak namiętnie pożądanego przez tyle osób. Był to medal dość duży, o wiele

grubszy, aniżeli medale współczesne, a wymodelowany dosyć prymitywnie. Złoto było zatarte, bez połysku. Na jednej stronie widniała dewiza: „In robore fortuna“.

Liljana spojrzała na drugą stronę medalu i przeczytała słowa: „12 lipca 1925, w południe wieża zegarowa zamku Rochevil.

— 12 lipca — wyszeptala Liljana.

— No to mam czas. Mogę teraz spokojnie zemdleć.

I zemdlała.

Rozdział X.

Po złote runo.

Trzy dni Liljana pozostawała w stanie oszołomienia fizycznego i nerwowego, spotęgowanego gorączką, która ją przykuła do łóżka. Czterej chłopcy opiekowali się nią czule i starali się wyręczać we wszystkim swoją mateczkę. Samodzielnie zorganizowali po drodze przedstawienia, przyczem Wil wedle możliwości zastępował dyrektorke cyrku, chociaż nigdy nie mógł osiągnąć jej powodzenia. Zato mały kapitan nadrabiał werwą i komizmem, ratując w ten sposób widowisko.

Wil pragnął, aby Liljana wypoczęła jeszcze ze dwa dni; nie miała się poco spieszyć. Jeszcze na czas zdażą do Rochevil. Liljana, wbrew swojemu zwyczajowi, pozwalała kierować sobą. wydawało się, jak gdyby jej nieugięty charakter załamał się pod tyłu przeciwnościami i gwałtownymi wzruszeniami. Myślała dużo o Robercie Doberty, ale inaczej niż przedtem. Budził się w niej gniew i bunt przeciwko tym uczuciom tkliwej przyjaźni, jakie zrodziła kilkutygodniowa zażyłość. Wszakże młodzieniec ten, choć niewinny śmierci jej ojca, był jednakowoż synem człowieka, który pomagał Erwingowi w wykonaniu zbrodni. Jakże o tem zapomnieć? Jakże wybaczyć?

Podróż, świeże powietrze, ruch koily powoli

wzburzenie młodej dziewczyny. W miarę, jak się zbliżano do celu, silna, energiczna natura odzyskiwała swe prawa, powoli zacierają się wspomnienia tylu przykrych wzruszeń. Powracała znowu radość życia i wesołość, a z nią razem chęć doprowadzenia do końca rozpoczętego dzieła.

— Wilu — mówiła — idziemy na zdobycie złotego runa. Czy zdajesz sobie sprawę z doniosłości tych dni, które upływają. Jeszcze cztery, jeszcze trzy, jeszcze dwa, jeszcze dzień i złote runo znajdzie się w naszym posiadaniu. Panie Wilu za dwa tygodnie może będziesz pan ubrany, jak pierwszorzędny londyński strojniś.

— A ty, jak przystało na córkę lorda — odpowiadał Wil, którego te perspektywy wielkiego majątku jakoś dziwnie mało cieszyły.

Niejednokrotnie Liljana myślała o tem, że oczekują ją jeszcze nowe próby i przygody. Ze z pewnością niejedną jeszcze będzie musiała zwalczyć przeszkodę i niejednego wroga pokonać. Narazie odpoczywała i nabierała sił do tej ewentualnej walki. Pełna ciekawości i chęci życia uśmiechała się do tej tajemniczszej przyszłości, otwierającej się przed nią.

W dniu 11 lipca wyczytali na tablicy drogowskazu: „Rochevil 20 klm.“

— Będziemy tam spać dzisiaj wieczorem — oświadczyła Liljana.

Droga stawała się coraz bardziej uciążliwą, bo upał był nieznośny. Po drodze zabrali ze sobą człowieka, który znużony opadł na opyloną trawę i jęczał kompletnie wyczerpany. Był to starzec nędznie ubrany, zmizerowany przez biedę. W pomarszczonej jego twarzy, okolonej siwym zarostem oczy błyszczały jednak jeszcze żywo, prawie młodzieńczo. Kiedy Liljana zapytała go o jego życie, wyrzekł wówczas słowa, które ją zastanowiły:

— Nie mogę się skarżyć. Mój ojciec, który tkuł kamienie na gościńcu mówił zawsze do mnie: „Karolu — bo ja się nazywam Karol — człowiek, który

jest odważnym i silnym nigdy nie jest nieszczęśliwy. Powierzam ci sekret, który odziedziczyłem po moim ojcu: Powodzenie w sile.

Liljana zapanowała nad zdumieniem i rzekła:

— Dziedzictwo niezbyt bogate. A czy ojciec panu nie więcej nie pozostawił oprócz tego sekretu?

— Owszem — odparł nieznajomy — zostawił mi jeszcze jedną radę, abym co roku 12 lipca udawał się do Rochevil i czekał tam przed kościołem na kogoś od kogo dostanę tysiące. Trzymam się tej wskazówki i co roku 12 lipca jestem w Rochevil, ale dotychczas nigdy nie dostałem nic więcej oprócz kilku penny. Jednak ta myśl mnie podtrzymuje, napełnia mnie nadzieją. Będę tam jutro, tak jak byłem zeszłego roku i jak będę w roku przyszłym. Stary zamilki i pograżył się w rozmyślaniach. Liljana również milczała, ale myśl jej pracowała szybko i jasno. W godzinę później ofiarowała schronienie na swoim wozie jakiejś kobiecie z dzieckiem o krzywej nóżce. Po kilku zamienionych zdaniach dowiedziała się, że kobieta ta jest robotnicą z Manchesteru i że udaje się do kościoła w Rochevil, aby uprosić o uzdrowienie nóżki swego dziecka.

— W mojej rodzinie — rzekła kobieta — już za czasów ojca i dziadka robiono zawsze tak samo. Jeżeli dziecko jest chore, to się je 12 lipca prowadzi do kaplicy św. Fortunata w Rochevil. Uzdrowienie wtedy jest pewne.

Liljana zastanawiała się nad tem, jakimi drogami legenda o tajemniczym skarbie sączyła się do tych jednostek z ludu. Legenda ta zmieniona była wprawdzie, zmieszkała, ale jednak związek niewątpliwie istniał pomiędzy temi pielgrzymkami do kościoła w Rochevil a poszukiwaniem medalu z napisem: „In robore fortuna“. Wieczorem cała karawana przybyła do wsi, gdzie zaraz Liljana zaczęła się dopytywać o zamek Rochevil. Dowiedziała się, że nazwę tę noszą ruiny, znajdujące się o 9 klm. dalej, na cyplu wysuniętym ∇ morze.

— Prześpimy się tutaj — zdecydowała Liljana, a jutro ruszymy dalej.

— Nie odjechali jednak tak rano, jak to sobie zamierzili. Albowiem w nocy Wil zbudził się, poczuwszy gryzący zapach dymu i posłyszawszy trzaskanie belek. Zerwał się natychmiast. Stodoła, w której mieścił się wóz, paliła się. Zaczął wołać pomocy. Na szczęście kilku wieśniaków zapóźnionych szło drogą i ci pospieszili na pomoc. Zaledwie wydobyto wóz, dach cały się zawalił. Na szczęście Liljana ani chłopcy nie odnieśli żadnych ran. Natomiast klacz poparzyła się i nie można jej było zaprządź do wozu. Musieli tedy wypożyczyć od chłopów konia, który z trudem ciągnął wóz, podczas gdy poczciwa i stara klacz szła luzem.

W chwili, kiedy mijali kościół, zobaczyli na dziedzińcu kościelnym ową robotnicę z dzieckiem, na klęczkach błagając cudu i owego starca, który żebrał, czekając na bogaty dar. Przybyli na miejsce bez dalszego już wypadku. Zatrzymano się w oberży, nad której drzwiami widniał napis: Oberża pod czarnym psem wdowy Roney.

Liljana kazała chłopcom podać śniadanie, złożone z kawy i chleba z masłem a sama zaczęła rozpytywać się o ruiny zamku. Oberżystka, wdowa Roney, tęga wieśniaczka o poczciwej, dobroduszej twarzy, osoba niesłychanie rozmowna, wykrzyknęła:

— A to i panienska tam się udaje?

— Czyż nie jestem pierwszą? — zapytała Liljana.

— O nie, proszę pani. Już tam udali się jakiś stary pan z panią. Tego starego pana to już widywałam tutaj i innych lat. Raz nawet spał tutaj u mnie w oberży. To jest jeden z tych, którzy szukają.

— Szukają? Czego?

— A bo ja wiem czego — mówią, że jakiegoś tam skarbu. My tutejsi nie wierzymy w to wcale. Ale z daleka przychodzą jacyś ludzie, którzy się wio-

czą po lasach, kopią, dźwigają kamienie, zagląda-
ją do szczelin skalnych.

— A czyż to tak wolno?

— A dlaczegożby nie i tak nie napewno nie znaj-
da. Ruiny, wraz z należącym do nich lasem są wła-
snością klasztoru, ale pobożni bracia chętnie po-
zbyliby się tej pustki, dzikiej i nieurodajnej, tyl-
ko że ktoby to chciał kupić.

— Czy do zamku prowadzi jeszcze inna droga,
oprócz tej?

— Owszem, jest droga, ale tak kamienista, że
wcale nią jechać nie można. Nawet i tą drogą mało
kto kiedy idzie lub jedzie. Powiem pani, piękna
panienko, że nie wiem, czy tu się widzi więcej ob-
cych, jak dziesięć osób na rok. Pastuchy pędzą tę-
dy tylko bydło.

Koło godziny 10 rano Liljana, umieściwszy
w oberży swoją gromadkę, nie zważając na prośby
Wila, który chciał jej towarzyszyć, ubrała się w
swoją najpiękniejszą suknię i w najbardziej ja-
skrawy szal i sama udała się w drogę.

Wielki dzień nadszedł. Dzień triumfu czy kłę-
ski? Światła czy ciemności? Cokolwiek staćby się
miało dla kobiety takiej jak Liljana, o silnie roz-
budzonym umyśle i żywej wrażliwości, samo po-
czucie rozstrzygającej chwili było rozkoszą. W wy-
obraźni tworzyła fantastyczne pałace, rozświetlone
tysiącami światel, zaludnione dobrymi i złymi ge-
niuszami, książętami z bajki i dobroczynnemi wróż-
kami.

Lekki wiatr wiał od strony morza, łagodząc swo-
ją wilgocia żar promieni słońca. Liljana w miarę,
jak posuwała się naprzód, rozróżniała coraz wy-
raźniej kontury poszarpanych pięciu skał, oraz wy-
suniętego w morze cypla, na którym królowały rui-
ny zamku. Ścieżka stawała się coraz bardziej stro-
mą. Liljana podniosła głowę w górę i ku swemu
wielkiemu zdumieniu, rozpoznała, że na szczycie
skały znajdują się jej znajomi: dziadek Roberta
Doberty i jego dawna przyjaciółka Lawinja. Więc

to oni byli ową parą, o której wspominała oberżystka.

— Stary baron — Lawinja — w jaki sposób zdołali się wymknąć Robertowi? Jak odbyli podróż i dostali się aż tutaj, do tych ruin.

Znalazła się prawie tuż koło nich, a oni nawet nie zwrócili uwagi na jej obecność. Błędne oczy obojga ściagały spojrzeniem zwałiska.

Liljana uczuła się tym widokiem rozczulona. Dwa wieki nadziei, oczekiwań, himer, przekazały starymu panu tak wyraziste polecenia, że przeżyły śmierć jego myśli świadomej. Przybył tutaj zdaleka, pomimo zmęczenia, wprost jakimś wysiłkiem nadludzkim, poomačku, kierowany instynktem tylko, a towarzyszyła mu druga istota, równie jak on, pozbawiona jasności umysłu. Stali oni oboje teraz nieruchomo, nie posuwając się naprzód. Liljana w pierwszej chwili nie wiedziała, jaki tego powód, ale zobaczyła, że zatrzymali się nad brzegiem wąskiego zbiornika wody, w rodzaju kałuży, utworzonej wśród kamieni przez deszcze. Tych dwoje obłąkanych zdołało odbyć daleką, męczącą drogę a oto teraz zatrzymywali się przed tą drobną przeszkodą, jakby przed czemś nieprzezwyrodnem.

Liljana zwróciła się ku nim łagodnie i rzekła:

— Chodźcie państwo za mną, przeprowadzę was. Starzec wpatrzył się w Liljanę bezprzytomnie, potrząsnął głową i nic nie odpowiedział. Kobieta również zachowała milczenie. Ani on, ani ona nie zrozumieli tego, co do nich mówiła młoda dziewczyna. Były to już właściwie nie żywe istoty, ale automaty, kierowane jakąś siłą zewnętrzną. Przybyli tutaj sami nie wiedząc w jaki sposób, zatrzymali się nie wiedząc dlaczego i zapewne odejść mieli również bezświadomie.

Termin zbliżał się. Liljana nie nalegała. Zdjęła pończochy, buciki, uniosła spódniczkę i weszła do wody tak płytkiej, że nie sięgała jej nawet do kolan.

Gdy znalazła się na drugim brzegu, odwróciła się. Dwoje starców nie poruszyło się z miejsca i spoglądało ciągle z wyrazem osłupienia na nieprzewidzianą przeszkodę. Liljana z uśmiechem serdecznego współczucia wyciągnęła ku nim ręce, chcąc im dopomóc. Stary baron potrząsnął znowu głową a Lawinja pozostała nieruchomą niby posag.

— No, to żegnajcie. Dowidzenia — rzekła Liljana, prawie uszczęśliwiona tem, że nie będą jej przeszkadzać w przedsięwzięciu. Po upływie dziesięciu minut, Liljana znalazła się w obrębie zwalisk. Zwolniła kroku. Ogarniała ją atmosfera czegoś tajemniczego, jakieś tchnienie zamierzehłych czasów szło ku niej z tych ruin, nad którymi szumiały stare drzewa. Kto tutaj mieszkał niegdyś, kto wznosił te mury, kto sadził te drzewa? Droga obecnie dzieliła się na trzy ścieżki, ot takie ścieżki kozie. Liljana nie namyślając się wiele, wybrała środkową i posuwała się dalej. Ogarnęto ją nagle silne wzruszenie. Miała uczucie pielgrzyma, który zbliża się do świętego celu, do którego dążył przez całe życie.

Wątpliwości zbudziły się w umyśle młodej dziewczyny.

— A jeżeli się omyliłam, jeżeli to wszystko nie ma żadnego znaczenia? Tak, prawda, w woreczku skórzanym, który mam w kieszeni znajduje się złoty krążek z wrytą nazwą zamku i datą oznaczającą rok oraz dzień miesiąca. Oto mam przed sobą ten zamek i jestem na miejscu. A jednak... czy wszystkie rozumowania moje oparte są na racjonalnej podstawie? Czy istotnie stanie się tutaj cokolwiek? Sto pięćdziesiąt, czy dwieście lat, to porządny kawał czasu, wypadki, które w międzyczasie zaszły mogły zniszczyć wszelkie kombinacje poprzednio przewidziane.

Krok za krokiem, bardzo powoli szła. Przez wysoki łukowaty portal weszła na obszerny dziedzi-

dziniec. Pierwszem, co rzuciło się jej oczom, to była wielka wieża zegarowa.

Własny jej zegarek wskazywał w pól do dwunastej, a w ruinach nie było jeszcze nikogo widać. Było tutaj tak pusto, tak samotnie, wszystko wydawało się tak opuszczonem i zapomnianem, że wprost nieprawdopodobnie wyglądała myśl, aby w tym zakątku mógł się ktoś wogóle znajdować. Zachodzili tutaj tylko chyba zablakani turyści lub pasterze, poszukujący tłustej paszy dla swoich stad. Cały zamek znajdował się w stanie zupełnej dewastacji, jedynie tylko ta wieża jakimś cudem ocalała wśród ogólnego zniszczenia.

Dwie wielkie wskazówki były pokryte rdzą. Większa część godzin oznaczonych wbrew zwyczajowi w cyfrach rzymskich, zatarła się. Mchy wyrastały w pośród szczelin rozłupanych kamieni obmurowania. W głębi pod osłoną małej okragłej niszki, dzwonek oczekiwał na uderzenie młotka.

Stary zegar był martwy — serce jego przestało bić. Liljana odniosła wrażenie, że czas tutaj zatrzymał się od wieków, że zawisł na tych wskazówkach nieruchomych, że zmartwiał w tym młotku, który już nie uderzał więcej, że oniemiał w głębiach tego starego dzwonu.

Młoda dziewczyna spostrzegła marmurową tabliczkę, na której zaledwie można było odczytać mocno zatarte już słowa: „in robore fortuna“.

„In robore fortuna“ wiecznie ta sama dewiza, a zatem przypuszczenia Liljany, oparte były na słuszności. Nakaz wyryty na medalu miałby być istotnie ważny? Zatem rzeczywiście w obliczu tego oniemiałego, martwego zegara, miało się odbyć jakieś tajemnicze spotkanie.

Liljana zapanowała nad swoim wzruszeniem i z uśmiechem wyrzekła sama do siebie:

— Osobliwe to rendez-vous, na które przychodzi sama.

Nie wierzyła bowiem, aby ktoś z tych, którzy byli wzywani przyszedł. Prawdopodobnie łańcuch

tradycji przerwał się w innych rodzinach, rozprysnął się na szczątki, jak o tem świadczyły słowa pielgrzymów, spotkanych w drodze.

— Nikt nie przyjdzie — powtórzyła. — Już 35 minut po 11-tej, a zatem.

Nie dokończyła. O słuch jej odbił się jakiś odgłos, jakby głuchych, rytmicznych uderzeń. Zaczęła nasłuchiwać. Po chwili skonstutowała, że były to uderzenia kopyt końskich, o twarde, skaliste podłoże. Ktoś jechał na koniu, zbliżając się ku niej z każdą chwilą i nagle ukazał się jeździec. Był to mężczyzna w eleganckiem, sportowem ubraniu, szykownych sztylpach, o twarzy żywej, wesolej, z której spoglądały czarne oczy. Było coś w jego rysach, w wyrazie twarzy, w całej postaci, co przypominało Francuza.

Zobaczywszy Liljanę, zatrzymał konia i zawołał na niego po francusku.

— Eh, arette!

Jeździec zeskoczył ze swego wierzchowca, przywiązał konia do drzewa i podszedł ku młodej dziewczynie. Spoglądał na nią z tak wyraźnem zainteresowaniem i podziwem, że nie ulegało wątpliwości, iż składa hołd urodzie nieznanjomej.

Liljana zawahała się przed chwilą pod jakim imieniem ma się mu przedstawić, czy jako hrabianka, córka lorda Pornwala, czy jako Liljana, dyrektorka cyrku, tancerka na linie. Uroczysty moment wymagał raczej ceremonjalnej prezentacji z uwzględnieniem wszystkich tytułów. Z drugiej jednak strony, ekscentryczna toaleta i zbyt krótka spódniczka nie harmonizowały z hrabiowsko-lordowską pompą. Wobec tego Liljana zadecydowała, że „tancerka na linie“ — wystarczy.

Wszystkie te refleksje, których cały komizm dobrze odczuwała, wywołały uśmiech na jej ustach. Przybyły młody człowiek uśmiechnął się również. Oboje jednocześnie otwarli usta, aby przemówić i przedstawić się sobie wzajemnie, gdy nagle nowy przybysz zahamował im słowa na języku.

Jakiś piechur gramolił się ścieżką, wiodącą ku zameczysku, był to człowiek o twarzy bladej, wygolonej. Jedno ramię miał na temblaku, o wiele za obszerną kurtkę i czapkę rosyjskiego żołnierza. Na widok wieży zegarowej, zatrzymał się jak wryty. A zobaczywszy Liljanę i jej towarzysza, uśmiechnął się tak szeroko, że usta rozciągnęły się mu od ucha do ucha, poczem zdjął czapkę, odkrywając czaszkę kompletnie ogoloną.

Tymczasem dał się słyszeć w pewnej odległości warkot motoru i wkrótce ukazał się motocykl, podskakujący komicznie na nierównym terenie. Motocyklista zatrzymał się również przed wieżą z zegarem. Był to młody człowiek, dobrze zbudowany, w przyzwoitym kostjumie podróżnym, o twarzy sympatycznej, zdradzającej pochodzenie anglosaskie. Unięruchomiwszy swój motocykl, skierował się ku Liljanie z zegarkiem w ręku, jakby chciał jej powiedzieć:

— Zechce pani łaskawie zanotować, że się nie spóźniłem.

Nie zdążył jednak wypowiedzieć tego, co zamierzał, ponieważ przeszkodziło mu przybycie jeszcze dwóch osób.

Ukazał się drugi jeździec, który zatrzymał wielką zdrożoną klacz, wymawiając przytem włoskie słowa:

— Piano, piano!

Piate indywiduum przybyło na osle. Ten ostatni przybysz zdawał się być najbardziej zdumionym, albowiem ujrawszy zebranych, skamieniał po prostu.

— Czy to możliwe — wyszeptał — czy to możliwe? A więc przybyli, to wszystko nie jest tylko bajką...

Był to już starszy mężczyzna, mogący liczyć około lat 60, ubrany był w surdut, w czarny słomkowy kapelusz, twarz jego okalały siwiejące faworyty, a oczy przysłonięte były okularami. Pod pa-

chą trzymał starą tekę skórzaną i ciągle powtarzał z najgłębszym zdumieniem:

— Przybyli! Przybyli na to spotkanie, to nie do wiary...

Liljana dotychczas milczała, ale coraz silniej odczuwała potrzebę słów i wyjaśnień, twarz jej nabrała wyrazu uroczystej powagi, oczy błyszczały wzruszeniem. Pojawienie się każdej z tych osobistości wywierało na nią taki wpływ, jak gdyby była świadkiem cudu. Podobnie jak ów jegomość z teka, wyszeptała:

— Czyż to możliwe? Przybyli na schadzke...

Spojrzała na zegarek, stwierdzając, że właśnie jest południe.

— Posłuchajcie — rzekła — posłuchajcie, dzwony biją na Anioł Pański, to w kościele, we wsi.

Wszyscy odkryli głowy, słuchając rytmicznych dźwięków dzwonu. Zdawało się, że oczekują, iż w tej chwili stary zegar pocznie bić godzinę dwunastą, wiążąc niec terażniejszości z nicią godzin dawno ubiegłych.

Liljana padła na kolana. Wzruszenie jej było tak wielkie, że łzy popłynęły jej z oczu.

Rozdział XI.

Testament pradziadka.

Były to łyzy radości, łyzy, przynoszące ulgę naprężonym od tyłu dni nerwom. Ten płacz uspakajał ją i duszę przepelniał jakąś wielką słodyczą.

Ale pięciu mężczyzn zaskoczonych tym wybuchem płaczu, nie wiedziało co począć i co mówić.

— Ależ proszę pani, co się pani stało?

Wydali się tak zdumionymi, tak wystraszonymi, mieli przytem tak komiczne miny, że Liljana, u której przejście od wzruszenia do wesołości, było zawsze bardzo szybkim, przestała nagle płakać, a zaczęła się serdecznie śmiać. Zerwała się nagle i ulegając impulsowi swojej żywiołowej natury, nie licząc się z żadnymi konwenansami, zaczęła wyko-

nywać jakiś fantastyczny taniec, wcale się nie troszcząc o to, czy robi wrażenie hrabianki, czy też tancerki na linie.

Im silniej ta niespodziana produkcja choreograficzna potęgowała zdumienie jej towarzyszy, tem Liljana czuła się weselszą. Fandango, gig, matelot, wszystko to odtańczyła w przeciągu minuty, przy pomocy palców udając castaniety, akompanijując sobie piosenkami francuskimi i angielskimi, a przede wszystkim wybuchami świeżego, młodzieńczego śmiechu, budzącego echo w skalistych wąwozach.

— No, czegoż się tak patrzycie wszyscy, ilu was tu jest — rzekła, zwracając się do mężczyzn. — Ruszcie się, bo wyglądacie zupełnie, jakby pięć skamieniałych mumij. No, trochę życia, to ja was o to proszę, ja, Liljana, tancerka na linie i córka lorda Pornwal. Panie notariuszu — zwróciła się do mężczyzny w surducie, który przybył na ośle, — niech się pan trochę rozweseli, zapewniam pana, że niema żadnego powodu do smutku.

Podbiegła do poczciwca, który tymczasem już zsiadł ze swego kłapouchego wierzchowca i potrząsając jego ręką, mówiła:

— Pan jest notariuszem, nieprawdaż? Notariuszem, który ma wykonać pewne rozporządzenia testamentu? Ależ tak, wszystko to jest o wiele prostsze, aniżeli się wydaje. Nieprawdaż, zaraz się wszystko wyjaśni, jest pan notariuszem?

— Istotnie — wyjąkał jegomość w surducie. — Jestem Simons, notariusz z Cambridge.

— Z Cambridge? — Doskonale, wszystko w porządku, a chodzi tutaj, nieprawdaż, o złoty medal, który każdy z nas otrzymał jako wezwanie na tę schadzke?

— Tak, tak — potwierdzał coraz bardziej oszumlony — złoty medal.. schadzka...

— 12 lipca 1925.

— Tak jest, 1925.

— **W** południe!

— Tak jest, w południe.

Chciał spojrzeć na zegarek, ale mu przeszkodziła.

— To zbyteczne, panie Simons, słyszeliśmy przecież, jak dzwoniło na Anioł Pański. Stawił się pan punktualnie, my także. Wszystko według przepisu. Każdy ma swój medal złoty przy sobie, zaraz je panu pokażą.

Liljana pociągnęła pana Simmonsa w stronę wieży z zegarem i oświadczyła mężczyznom, którzy spoglądali na nią z nieukrywanem zdziwieniem.

— Oto jest notariusz, pan Simmons. Vous comprenez? Nie rozumie pan? O, ja mówię po francusku i po włosku także i nawet po jawańsku.

Czterech z pośród przybyszów zaprotestowało, albowiem wszyscy rozumieli i mówili po angielsku.

— No to doskonale — rzekła — tem łatwiej będziemy się mogli porozumiewać.

— Przedstawiam panom pana notariusza Simmonsa, który przewodniczyć będzie naszemu zebraniu jako reprezentant nieboszczyka. Nie rozumiecie tego? Jakież to zabawne, wszystko wydaje mi się tak jasne, chociaż jest tak dziwne. Jest to najpiękniejsza przygoda mojego życia i najbardziej przytem wzruszająca. Pomyślcie tylko, wszyscy jesteśmy z tej samej rodziny, zatem czemś w rodzaju kuzynów. Mamy tedy prawo zachowywać się swobodnie i wesoło, jak to zwykle bywa wśród krewnych, którzy się po długim niewidzeniu spotkają. A przytem... tak, nie mylę się, wszyscy czterej odznaczeni krzyżami waleczności, a zatem wszyscy biliście się pod sztandarami koalicji w czasie wojny. Walczyliście przeciwko wspólnemu wrogowi.

Dziewczyna wszystkim uścisnęła serdecznie ręce po kolei, obdarzając każdego pełnem sympatji spojrzeniem. Ponieważ Amerykanin i Włoch odpowiedzieli jej z tą samą żywością serdecznością, więc nagle popchnięta jakimś niewytłumaczonym,

a nieodpartem uczuciem, pochyliła się i ucałowała każdego z nich w policzek.

— Kochany kuzynku z Ameryki i ty, drogi kuzynku włoski, pozdrawiam was serdecznie na mojej ziemi ojczystej. I was dwóch także witam serdecznie, no, więc teraz już porozumieliśmy się. Jesteśmy szczerymi przyjaciółmi.

Wszystko to odbywało się na wesoło, wśród wybuchów śmiechu i wesołych okrzyków. Cała ta gromadka zachowywała się istotnie, jak rodzina, która się odnajduje i wyraża swą uciechę z powodu niespodziewanego spotkania.

Pierwsze lody zostały przełamane. Zdawało się, że ci wszyscy oddawna i dobrze się znają.

— Wszakże znamy się od tylu lat, od wieków — wykrzyknęła ze śmiechem Liljana, klaszcząc w ręce.

Wszyscy młodzi ludzie cisnęli się wokół niej, ciągał ich nie tylko jej wdzięk i żywiołowy temperament, ale zdumiewała ich swem bystrem, inteligentnym spojrzeniem, przenikającym mroki tej ciemnej, tajemniczej historii, która ich tutaj wszystkich razem sprowadziła z różnych stron świata. Każdy chciał już się podobać młodej dziewczynie i każdy cieszył się tem przekonaniem, że istotnie się jej podoba.

Liljana usadowiła ich rzędem, jakby dla odbycia przeglądu.

— A teraz po kolei moi przyjaciele. Proszę mi wybaczyć mistrzu Simmons, że to ja pierwsza występuję z apelem i sprawdzam ich pełnomocnictwa. No, a zatem numer pierwszy. Panie Yankesie, jak się pan nazywa?

— Fred Norris, z Chicago.

— Fredzie Norris z Chicago, czyś pan otrzymał od swego ojca złoty medal?

— Od mojej matki, proszę pani, bo ojciec mój już oddawna nie żyje.

— Od kogo dostała go pańska matka?

— Od swego ojca.

— A ten, również otrzymał go od ojca — nieprawdaż?

— Istotnie, tak jest, piękna pani, a raczej piękna kuzynko. Pochodzimy bowiem z rodziny, która z Anglii wyemigrowała do Nowego Świata, a tradycja rodzinna przekazywała z pokolenia na pokolenie ów medal złoty, o którego istnieniu nie wiedziało nigdy więcej, ponad dwie osoby.

— A cóż, pańskim zdaniem, oznacza ta tradycja?

— Dokładnie tego nie wiem. Matka moja mówiła mi, że ten złoty medal oznacza prawo nasze przy podziale jakiegoś skarbu. Nie zdaje mi się jednak, ażeby istotnie była przekonana o realności tego legendarnego skarbu. Wręczając mi medal, śmiała się i wysłała mnie za ocean, raczej przez ciekawość.

— Niech mi pan pokaże pański medal — Fredzie Norris.

Amerykanin wyjął z kieszeni kamizelki swój medal. Był on bliźniaczo podobnym do tego, który posiadała Liljana. Te same napisy, ta sama wielkość, ta sama barwa wytartego złota. Liljana pokazała medal notariuszowi, poczem oddała go młodemu Amerykaninowi i dalej prowadziła indagację.

— Numer dwa. Francuz — nieprawdaż?

— Tak jest. Jakób Rimbaud z Bordeaux.

— Proszę nam powiedzieć francuski kuzynku, Jakóbie Rimbaud, co pan wie o medalu?

Młody Francuz odpowiedział angielszczyzną o cudzoziemskim akcencie:

— Niewiele wiem więcej o tem, aniżeli ten kuzyn z Ameryki. Jako małe dziecko utraciłem rodziców, a ten złoty medal wręczył mi cztery dni temu mój opiekun, brat mego ojca. Oświadczył mi, że według tego, co mu przed śmiercią wyznał jego ojciec, chodzi tutaj o jakiś spadek. Zdaniem jego, nie można tej całej historii traktować serjo, ale

jednak powinienem usłuchać ostatniej woli swego ojca.

— Tak jest. Należy być posłusznym tradycji rodzinnej, Jakóbie Rimbaud z Bordeaux. Proszę mi pokazać medal. Tak jest, dobrze, wszystko w porządku. Teraz numer trzeci — Rosjanin, nieprawdaż?

Mężczyzna w czapce rosyjskiego żołdaka rozumiał co do niego mówiono, ale sam nie mówił ani słowa po angielsku. Szerokim uśmiechem, charakterystycznym dla niego, bo rozciągającym mu usta od ucha do ucha, przedstawił papier wątpliwej czystości, na którym wypisane były następujące słowa: „Iwanow z petersburskiej gubernji, brał udział w wojnie światowej, a potem służył u Wrangla“.

— A medal — zapytała Liljana? — Doskonale. W porządku, no a teraz medal numeru czwartego, pańskie nazwisko signore Italiano?

— Giovanni Marchesini, z Neapolu — odparł młody Włoch i pokazał swój złoty krążek. — Medal ten znalazłem na zwłokach swojego ojca, który zginął nad Piawą. Nie wiedziałem, co ma oznaczać, bo ojciec nigdy mi o tym medalu nie wspominał.

— A jednak przybyłeś pan?

— Właściwie nie miałem wcale tego zamiaru, ale skoro nadszedł dzień oznaczony na medalu, pomyślałem sobie: cóż mi to właściwie szkodzi? ostatecznie zobaczę.

— Tak — rzekła Liljana — pan tak samo, jak i wszyscy inni, poddałeś się nakazowi naszego wspólnego przodka. Kim był on i dlaczego wydał ten nakaz — tego nikt z nas nie wie. Tutaj obecny pan notariusz Simmons, ma nam to wyjaśnić. A zatem mistrzu Simmons — wszystko w porządku. Mamy wszyscy medale, uprawniające do przybycia, obecnie możemy od pana zażądać wyjaśnień.

— Jakie wyjaśnienia pani ma na myśli? — zapytał notariusz, który wydawał się trochę oszoł-

miony temi wszystkimi niespodziankami. — Ja sam nie wiem zbyt wiele.

— Jakto, pan nie wie? A cóż znaczy w takim razie ta teczka skórzana pod pachą? I dlaczego pan odbył dosyć daleką przecież podróż z Cambridge do Rochevilu? Niechże pan otworzy swoją tekę i przeczyta nam dokumenty, które ona napewno zawiera.

— Sądzi pani, że tak uczynić należy?

— Oczywiście, że tak sędzę. Przecież my wszyscy pięcioro, ci panowie i ja, spełniliśmy nasz obowiązek, przybywając tutaj i stwierdzając naszą identyczność. A teraz niech pan pełni swoją powinność. Zamieniamy się wszyscy w słuch.

Swoboda i wesołość młodej dziewczyny wywoływała taką atmosferę serdeczności, że nawet notariusz odczuwał na sobie dobroczynny jej wpływ. Sprawa tak pozornie zawikłana, zdawała się dobiegać jednak pożądanego rozwiązania. Wszystkie toczyło się po linii wytkniętej przez Liljanę.

— Ależ tak... — rzekł notariusz — ależ tak, nic innego nie pozostaje do zrobienia, muszę państwu zakomunikować wszystko, co wiem... proszę mi wybaczyć... ale ta cała historia jest taka dziwna...

Ochłonawszy trochę ze swego oszołomienia, odzyskał całą powagę, jaka przystoi notariuszowi. Ofiarowano mu miejsce honorowe na kamiennej ławce. Usiadł, a wszyscy otoczyli go kołem.

Stosownie do instrukcji Liljany otworzył swoją tekę z pełną godności miną człowieka, który przyzwyczajony jest do tego, że wszystkie oczy skierowane są na niego i że każdy chwyta pilnie słuchem jego słowa. Nie dając się dłużej prosić, rozpoczął przemówienie przygotowane widocznie na wypadek, gdyby wbrew wszelkiej logice jednakowoż ktoś przybył na oznaczone zebranie.

— Wstęp mój będzie krótki — zaczął notariusz — ponieważ chciałbym jak najspieszniej dojść do samego przedmiotu, stanowiącego podstawę dzisiejszego zebrania. 14 lat temu w dniu, w którym ob-

jąłem w Cambridge kancelarję notarialną, mój poprzednik, wtajemniczywszy mnie w różne bardziej skomplikowane sprawy — wykrzyknął:

— Ach, byłbym zapomniał! To zresztą nic ważnego, ale w każdym razie widzi pan, drogi kolego, oto są najstarsze akta w naszym biurze. Niewiele tego jest, bo tylko jeden list w zapieczętowanej lakiem kopercie. Do tego listu przynależną jest mała kartka, którą chcę panom odczytać:

„Posłannictwo powierzone opiece p. Barby i jego następców ma być otwarte w dniu 12 lipca 1925 roku w południe na dziedzińcu zamku Rochevill przed wieżą zegarową i ma być odczytane w obecności wszystkich właścicieli wybitego przeze mnie złotego medalu.

— Oto wszystko. Mój poprzednik nie otrzymał żadnych więcej wyjaśnień od dawnego notariusza, po którym przejął biuro. Mógł mnie tylko tyle pouczyć, że ze starych aktów parafjalnych wynikało, że ów notariusz Barby żył na początku XVIII. w. W każdym razie pewną było rzeczą, że prawie od 200 lat list powierzony opiece p. Barby i jego następców spoczywał na dnie szuflady, a nikt dotychczas nie zbadał jego tajemnicy. Okazuje się, że to na mnie spada obowiązek zdjęcia tej pieczęci.

Notariusz przerwał na krótką chwilę i obserwował twarze swych słuchaczy. Wszystkie oczy dosłownie zawisły na jego wargach. Pan Simmons, zadowolony z wrażenia jakie wywołało na obecnych jego przemówienie, dotknął ręką swej teki i ciągnął dalej:

— Niejednokrotnie myśl moja zatrzymywała się na tym przedmiocie, mimowoli brała mnie ciekawość, aby się dowiedzieć co też ten list zawiera. Podróż, którą odbyłem do parafji Rochevill nie dostarczyła mi żadnych wskazówek, pomimo że przetrząsnąłem całe archiwum. Nadszedł wreszcie termin. Przedewszystkiem zasiągnąłem porady prezesa trybunału cywilnego. Jeżeli list ów ta-

jemniczy wyrażał czyjaś ostatnią wolę, zawartą w postanowieniach testamentu, to testament według obowiązujących u nas ustaw winien być otwartym w obecności tego urzędnika. On jednak sądził inaczej. Prezes uważał, że chodzi tutaj poprostu o jakąś fantazję chimerycznej jednostki i że mogą sobie robić co mi się podoba.

— Naznaczają panu schadzkę na 12 godzinę 12 lipca 1925 — rzekł prezes żartobliwie. — A zatem mistrzu Simmons niech pan rozpieczętuje owo tajemnicze pismo, a potem powiadomi mnie pan, jaki cała rzecz miała przebieg. I obiecuję panu, że nie będę się śmiał z pana, skoro pan powróci z niczem.

— Możecie sobie tedy wyobrazić, że wsiadałem do pociągu w usposobieniu wielce sceptycznym. Potem wynająłem sobie we wsi osła, aby się dostać do ruin. Łatwo zrozumiecie moje zdziwienie, kiedy przekonałem się, że nie przybyłem sam na rendez-vous, ale jest was tu więcej, aniżeli się spodziewać było można.

— Czterej młodzi ludzie a wraz z nimi Liljana śmieli się z całego serca.

Młody Włoch Giovanni Marchesini rzekł:

— Widzę, że cała sprawa staje się poważną.

Jakób Rimbaud z Bordeaux dodał:

— Być może, że historia legendarnego skarbu nie jest tak absurdalna.

— List, który nam pan notariusz odczyta wszystko wyjaśni — oświadczyła Liljana.

Nadeszła chwila decydująca. Żywy krąg wokół osoby notariusza zacieśnił się. Wesolość przycichła nieco. Na twarzach odmalował się wyraz jakiejś uroczystej powagi. Notariusz okazał pismo z pięcioma pieczęciami.

— Pieczęcie są nietknięte — zauważył Simmons. Można nawet odcyfrować trzy słowa łacińskie.

— In robore fortuna — rzekła Liljana.

— Jakże to pani odgadła? — zadziwił się notariusz.

— Ależ to bardzo prosta rzecz, panie notariuszu. Słowa tej samej dewizy wyryte są na każdym egzemplarzu medalu i odczytałam je niedawno napół zatarte na tarczy zegara.

— Istotnie — potwierdził notariusz — istnieje jakiś niezaprzeczalny związek pomiędzy poszczególnymi częściami tej historii i to właśnie, pomimo całej fantastyczności nadaje jej charakter autentyczności.

— Niechże pan otwiera — niechże pan otwiera mistrzu Simmons — nagliła zniecierpliwiona Liljana.

— Trzy pieczęcie pękły. Ukazał się wielki arkusz pożółkłego papieru złożonego we czworo. Arkusz ten pokryty był wielkim, nieregularnym piśmem.

— Zaczynam czytanie — szepnął notariusz.

— Na miłość Boską nie trać pan ani sekundy — wykrzyknęła Liljana.

Notariusz wyjął drugą parę szkieł, zasadził je na nos i zaczął czytać.

„Pisane dnia 12 lipca 1725 r.“

— Dwa wieki — westchnął notariusz i powtórzył znowu:

„Pisane dnia 12 lipca 1725 r. ostatniego dnia mojego życia, odczytane ma być 12 lipca 1925 r. pierwszego dnia zmartwychwstania mego.

Pan notariusz przerwał czytanie. Wszyscy obecni popatrzyli po sobie ze zdumieniem. Fred Norris z Chicago oświadczył:

— Autor tego listu był chyba szalony.

— Słowo zmartwychwstanie jest może użyte w sensie symbolicznym. Dalszy ciąg pouczy nas może zatem.

„Dzieci moje!“

Notariusz przerwał znowu i rzekł:

— Dzieci moje! — to on do was wszystkich się zwraca.

— Ach, mistrzu drogi — zawołała Liljana —

blagam pana, nie przerywaj pan więcej żadnemi uwagami.

— A jednak...

— Ależ nie, nie, mistrzu Simmons, wszelkie komentarze są zbyteczne. My chcemy jak najprędzej dowiedzieć się wszystkiego. Nieprawdaż panowie?

Czterej młodzi ludzie żywo potwierdzili.

Notariusz zaczął tedy czytać dalej, przerywając sobie co jakiś czas, z powodu trudności w tekście.

— „Dzieci moje! Pewnego wieczora słynny pisarz, którego nazwisko zapewne i wam, prawnuki moje, znane jeszcze będzie — ujął mnie pod ramię, gdyśmy wspólnie opuszczali dom lorda Pembroke i rzekł:

— Lordzie, czy nie zachciałby mi pan wyjaśnić tego punktu, co do którego zachowuje pan tajemnicze milczenie? Skąd pochodzi ta rana na pańskiej lewej dłoni? Co znaczy ten czwarty palec ucięty przy samej nasadzie? Niektórzy przypuszczają, że palec ten straciłeś pan przy swoich doświadczeniach w laboratorium, bo przecież, jak panu wiadomo, uchodzi pan za alchemika i mówią nawet, że w ukrytych murach swego zamku w Rocheville pracujesz nad sporządzaniem eliksiru długowieczności?

— Już nie pracuję nad tem — odparłem — bo już go sporządziłem.

— Istotnie?

— Jak najpewniej. I jeżeli pan pozwoli ofiarować sobie małą fjołkę, to bezlitosne Parki będą musiały czekać do chwili, gdy pan ukończy sto lat.

— Przyjmuję z wdzięcznem sercem — odparł mój towarzysz, śmiejąc się, — ale pod warunkiem, że pan, lordzie dotrzyma mi towarzystwa? Jesteśmy w tym samym wieku, więc możemy sobie pozwolić jeszcze czterdzieści latek na tym świecie.

— Dla mnie tak długie życie nie przedstawia żadnej wartości. Poco miałbym się błąkać tyle lat na świecie, gdzie nic nowego nie może wprowadzić mnie w zdumienie, gdzie jeden dzień jest podobny

do drugiego? Ja pragnę czego innego. Chcę zmartwychwstać za wiek lub dwa wieki, chcę zobaczyć moje praprawnuki i przekonać się co też ludzie po naszej śmierci zrobili tutaj na ziemi. Bezwątpienia muszą przecież nastąpić jakieś wielkie zmiany, zarówno w formach politycznych, jak w świecie towarzyskim i w nauce. I to właśnie chcę poznać i poznam.

— Świetnie, świetnie, doskonale, lordzie — wykrzyknął znakomity pisarz, który całą sprawę traktował wybitnie na wesoło — brawo — i to jakiś inny, cudowny eliksir dostarczy panu tej możliwości zmartwychwstania?

— Tak jest, zupełnie inny eliksir — potwierdziłem — przywiozłem go z mojej podróży po Indjach, gdzie przepędziłem, jak panu wiadomo, dziesięć lat mojej młodości, zapoznałem się tam z kapłanami tego kraju cudów i czarów, skąd przyszły do nas wszystkie wierzenia religijne i oni to wtajemniczyli mnie w kilka swoich wielkich sekretów.

— A dlaczegoż tylko w niektóre? Dlaczegoż nie wtajemniczyli pana we wszystko — zapytał mój towarzysz z pewną ironją.

— Odmówili mi wtajemniczenia w sposoby porozumiewania się z zaświatami i również nie chcieli mi powierzyć sekretu zmartwychwstania.

— A jednak pan twierdzi, lordzie, że pan go posiadał?

— Zrabowałem im tę tajemnicę i wówczas, aby mnie ukarać skazali mnie na tortury, kazali mi wyrwać wszystkie palce. Po wyrwaniu pierwszego palca zaofiarowano mi przebaczenie pod warunkiem, że oddam im skradziony flakonik. Chcąc się uratować, przystałem pozornie i wskazałem miejsce, w którym ukryłem flaszkę, poprzednio jednak byłem na tyle przezornym, że wymieniłem jej zawartość a prawdziwy eliksir zmartwychwstania przelałem do innej flaszkki.

— A zatem za cenę jednego z pańskich palców,

kupiłeś pan, lordzie, rodzaj nieśmiertelności? I zamierza pan oczywiście uczynić z tego użytek?

— Oczywiście. Skoro tylko uporządkuję swoje sprawy pieniężne, co może się stać za jakieś dwa lata.

— A kiedyż zamierza pan zmartwychwstać?

— W roku 1925.

— Słynny pisarz, żegnając mnie ze śmiechem, obiecał mi, że w pamiętnikach swoich wspomni o naszej rozmowie, jako o fackie, świadczącym o mej niezwykle żywej imaginacji. Mówił o imaginacji, ale uważał mnie za szaleńca, to było dla mnie widocznem...“

Notariusz odetchnął w tym momencie głęboko i pytającym spojrzeniem przesunął po twarzach obecnych.

Giovanni Marchesini z Neapolu potrzasał głową śmiejąc się. Rosjanin w szerokim uśmiechu pokazywał swoje białe zęby, Amerykanin i Francuz zdawali się doskonale bawić.

— Good joke — zaśmiał się Fred Norris z Chicago.

— Une excellente farce — chichotał młody Francuz.

Liljana nic nie mówiła, spoglądała tylko przed siebie zamyślonemi oczyma.

Notariusz czytał dalej:

„Nie miał on racji, gdy śmiał się ze mnie. To nie była tylko gra mojej wyobraźni, ani pomysł szaleńca. Wielcy kapłani z Indyj wiedzą o wielu rzeczach, których my nie znamy i których może nigdy znać nie będziemy. Mnie przypadek uczynił panem jednego z ich najcudowniejszych sekretów. Nadeszła godzina, aby z tej wiadomości skorzystać. Powziąłem postanowienie. Ubiegłego roku małżonka moja opuściła ten ziemski świat, pozostawiając mnie na pastwę gorzkiej tęsknoty. Moi czterej synowie szukają przygód zagranicą na polach bitew i próbują szczęścia w handlu. Ja zostałem sam, mamże dalej pędzić dni starości

bezużytecznej i nudnej? Nie, wszystko gotowe do odjazdu i do — powrotu. Moi starzy służący, wierny Robert i jego żona wtajemniczeni w moje projekty, przysięgli mi posłuszeństwo. Żegnaj się tedy z mojem stuleciem.

— Dzieci mych dzieci, dowiedźcie się tedy o wypadkach, jakie rozegrać się mają w zamku Rocheville. O godzinie drugiej popołudniu zapadną w sen letargiczny, lekarz, którego sprowadzi Robert, skonstatuje, że serce moje już nie bije. Będę nieboszczykiem w przekonaniu ludzi, a moi służący zamkną mnie w trumnie, która już jest przygotowana.

— Skoro noc zapadnie, Robert i jego żona wyjmą ciało moje z trumny i poniosą je do ruin wieżycy, która była najstarszą siedzibą panów na Rocheville, potem zamkną trumnę, którą wypełnią kamieniami.

Prawnik, który jest administratorem moich posiadłości, a zarazem wykonawcą mojej ostatniej woli, znajdzie dokładne instrukcje z poleceniem zawiadomienia o mojej śmierci mych czterech synów i rozdzielenia pomiędzy nich, na równe cztery części, spadku. Poza tem każdemu z nich ma przez specjalnego posłańca wręczyć nowiutką sztukę złota, na której kazałem wyrzeć moją dewizę „In robore fortunae“ oraz datę 12 lipca 1925, która to data ma oznaczać dzień mego zmartwychwstania.

Ten złoty medal ma być przekazywany z pokoleni na pokolenie, przyczem nie wolno, aby więcej ponad dwie osoby, znały tajemnicę. Wykonawca mej ostatniej woli przechowa to oto pismo zapieczętowane pięciu pieczęciami i które również będzie przekazywane z pokolenia na pokolenie, aż do dnia oznaczonego.

— Dzieci moje, gdy czytać będziecie ten list, dwunasta godzina południa wybije w dniu 12 lipca 1925 roku. Zbierzcie się przed wieżą zegarową mego zamku o kilkaset kroków oddaloną od starej wieżycy, gdzie ja spać będę od dwóch stu-

leci. Wybrałem ją sobie dlatego na miejsce mego dwóchsetletniego spoczynku, ponieważ przewidywałem, że rewolucje mogą zniszczyć gmach mieszkalny, ale oszczędzą to, co i za moich czasów było już tylko ruiną i zwaliskiem. Pójdziecie tedy aleją dębową, której drzewa sadził mój ojciec. Dojdziecie do tej wieży, która z pewnością przedstawiać się będzie podobnie, jak się przedstawia dzisiaj. Zatrzymacie się pod łukiem, gdzie niegdyś wznosił się most zwodzony i jedno z was, licząc na lewo, popchnie trzeci kamień u góry, podczas, gdy drugie, licząc na prawo również popchnie trzeci kamień u góry. Pod tem podwójnem popchnięciem, które musi być wykonane w tej samej chwili, mur się otworzy i ujrzycie wejście, wiodące do schodów tajemnych. Pójdziecie po tych schodach i przejdziecie po 32 stopniach, potem zobaczycie małe, masywne drzwi, w których tkwił klucz. Klucza tego nie zdoła się obrócić inaczej w zamku, jak tylko przy pomocy równoczesnego naciśnięcia trzech sprężyn. Wejdziecie w ten sposób do komnaty, w której za kotarą znajduje się łożo. Odsuniecie tę kotarę i zobaczycie mnie śpiącego w łożu.

Nie zdziwcie się moje dzieci, jeżeli wydam się wam młodszym, aniżeli na portrecie, który ubiegłego roku malował mistrz Bistler, malarz królewski. Portret ten wisi u wezglowia mego łoża. Przypuszczam, że dwa wieki odpoczynku, w czasie którego nawet serce moje zaledwie bić będzie, dwa wieki snu spokojnego, zetrą z twarzy mej zmarszczki i powrócą świeżość i młodość mym rysom. To nie starca zgrzybiałego zobaczycie przed sobą.

Dzieci moje, flakonik będzie leżał na stolku, stojącym obok łoża, zawinięty w kawałek materji, oblanej woskiem. Natychmiast złamiecie tę pieczęć, podczas gdy jedno z was końcem noża rozsunie moje zęby, drugie wleje mi eliksir do ust, ale nie kropla po kropli, tylko wąskim strumyczkiem płynu, który winien spłynąć głęboko do gar-

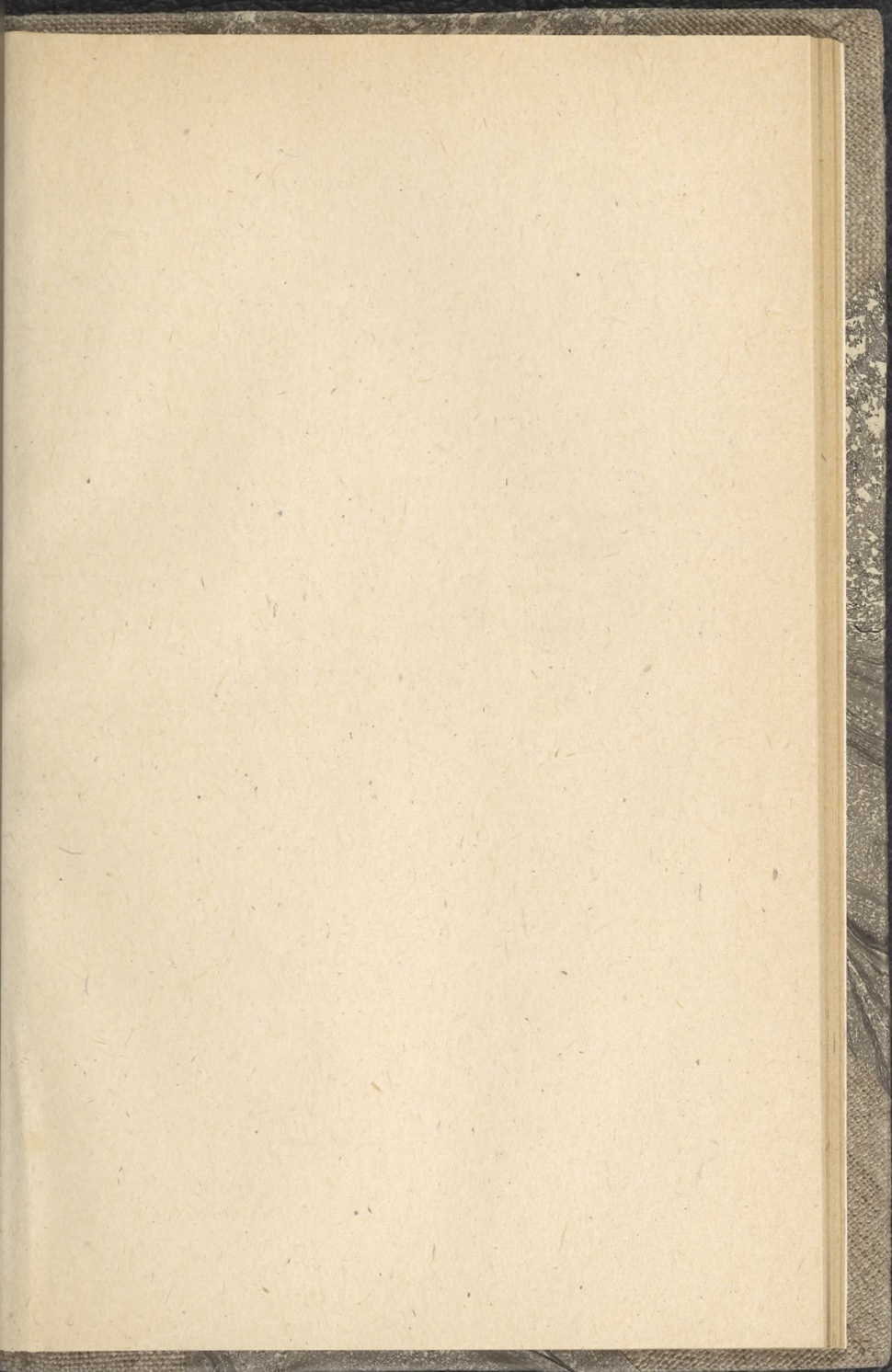
dia. Kilka minut upłynie, zanim życie zacznie powracać powoli. Serce zacznie bić coraz wyraźniej, oddech wzniesie pierś i zamknięte powieki podniosą się.

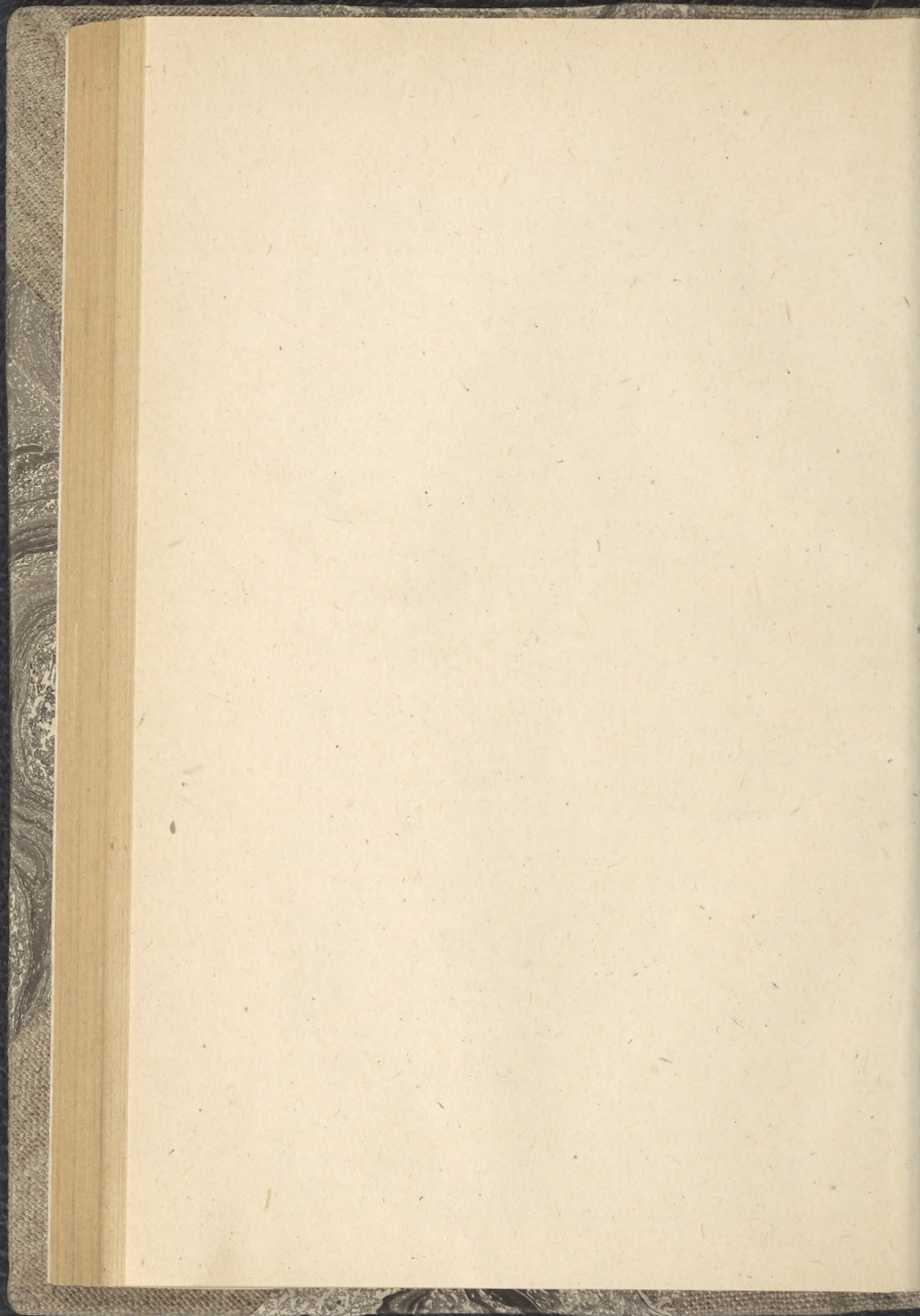
Może dobrze byłoby dzieci moje, gdybyście mówili między sobą pocichu i nie oświetlali mnie jakimś zbyt raziącym światłem, aby uszu mych i oczu nie obrazić jakimś zanadto nagłym wrażeniem. Być może, że z początku będę słyszał i widział niezupełnie dokładnie, ponieważ zmysły moje ulegną osłabieniu; tego nie wiem. Przewiduję długi okres oszołomienia, kiedy umysł mój będzie zwolna powracał do przytomności, tak jak to zresztą do pewnego stopnia zawsze bywa po przebudzeniu się z głębokiego snu.

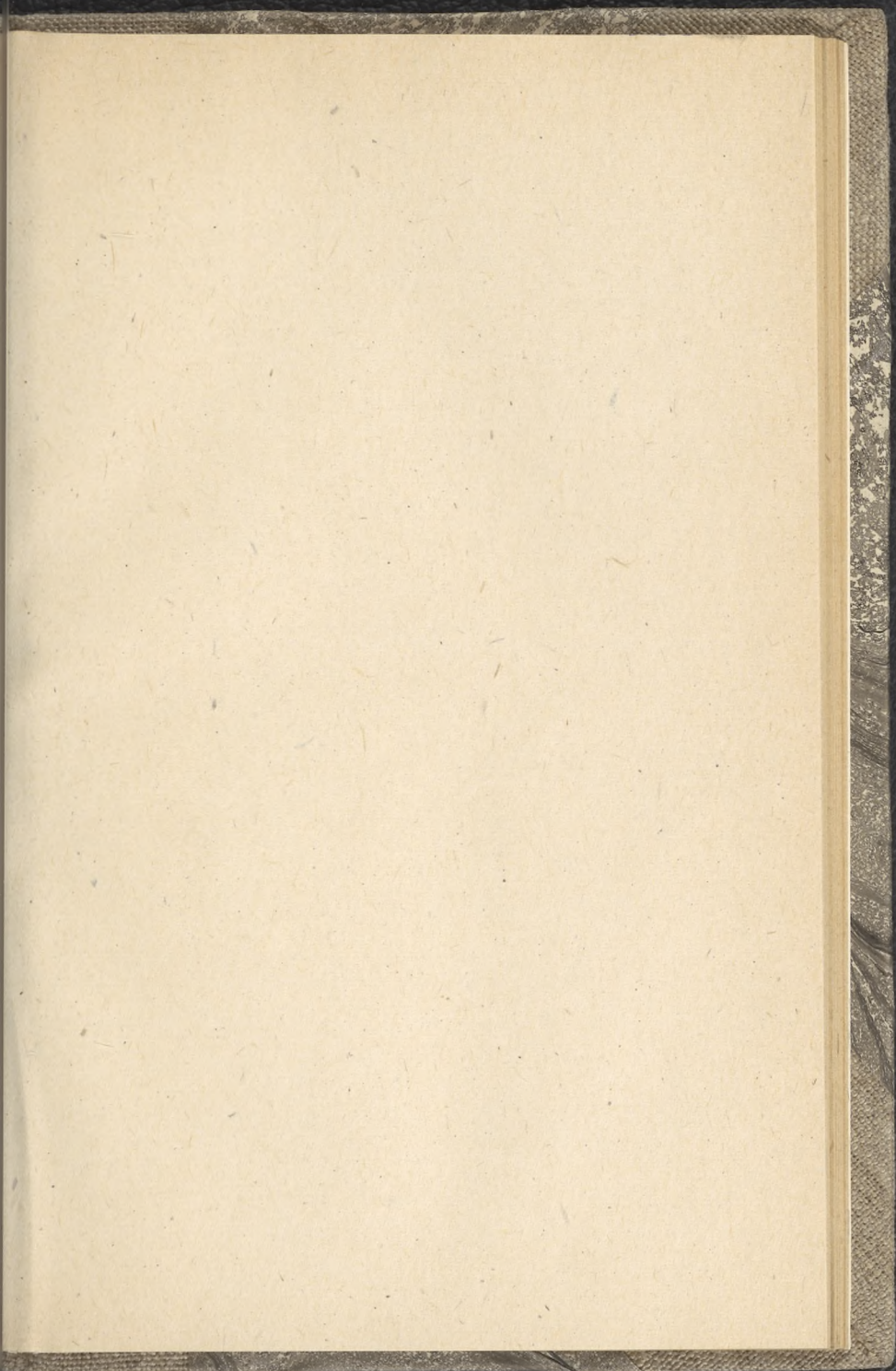
— Nie obawiajcie się drogie moje dzieci, abym się wam miał stać ciężarem. W tajemnicy przed najbliższą nawet swoją rodziną, ukryłem przywiezione z Indyj, cztery djamenty niezwyklej wielkości. Te cztery djamenty z Golkondy ukryłem w miejscu tak trudnem do odnalezienia, że posiadam wszelką pewność, że nikt ich stamtąd w ciągu tych dwóch wieków nie zabierze. Wartość tych czterech djamentów wystarczającą będzie z pewnością, aby mi zapewnić życie odpowiednie memu stanowisku i pochodzeniu.

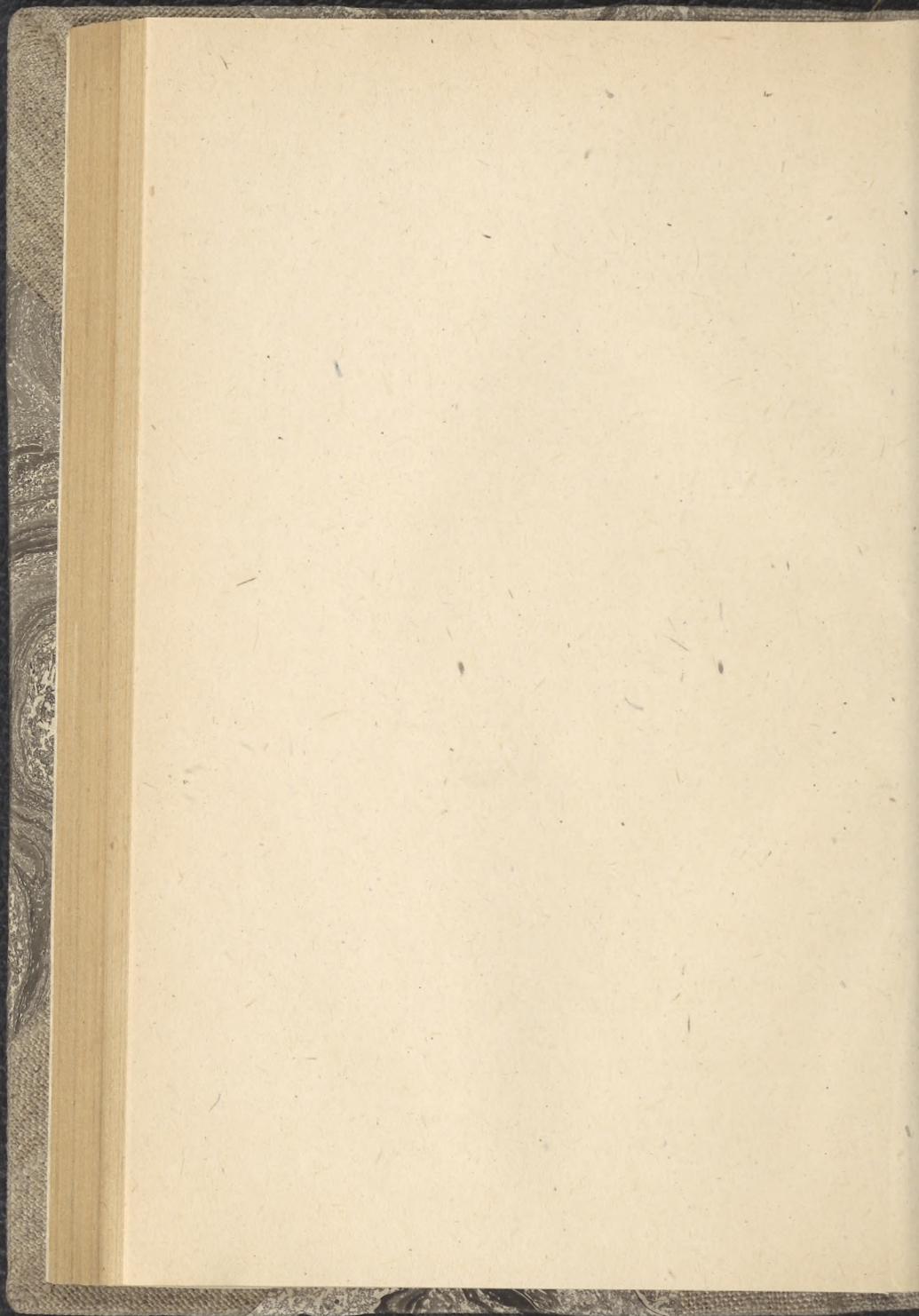
Ponieważ staram się przewidzieć wszystkie możliwe ewentualności i przychodzi mi na myśl, że osłabionej mojej pamięci może wymknąć się wspomnienie o tej tajemniczej kryjówce, więc postanowiłem oznaczyć to miejsce kilku linjami na papierze, ukrytym w wewnętrznej kopercie. Koperka ta jest oznaczona słowem „Kodycył“.

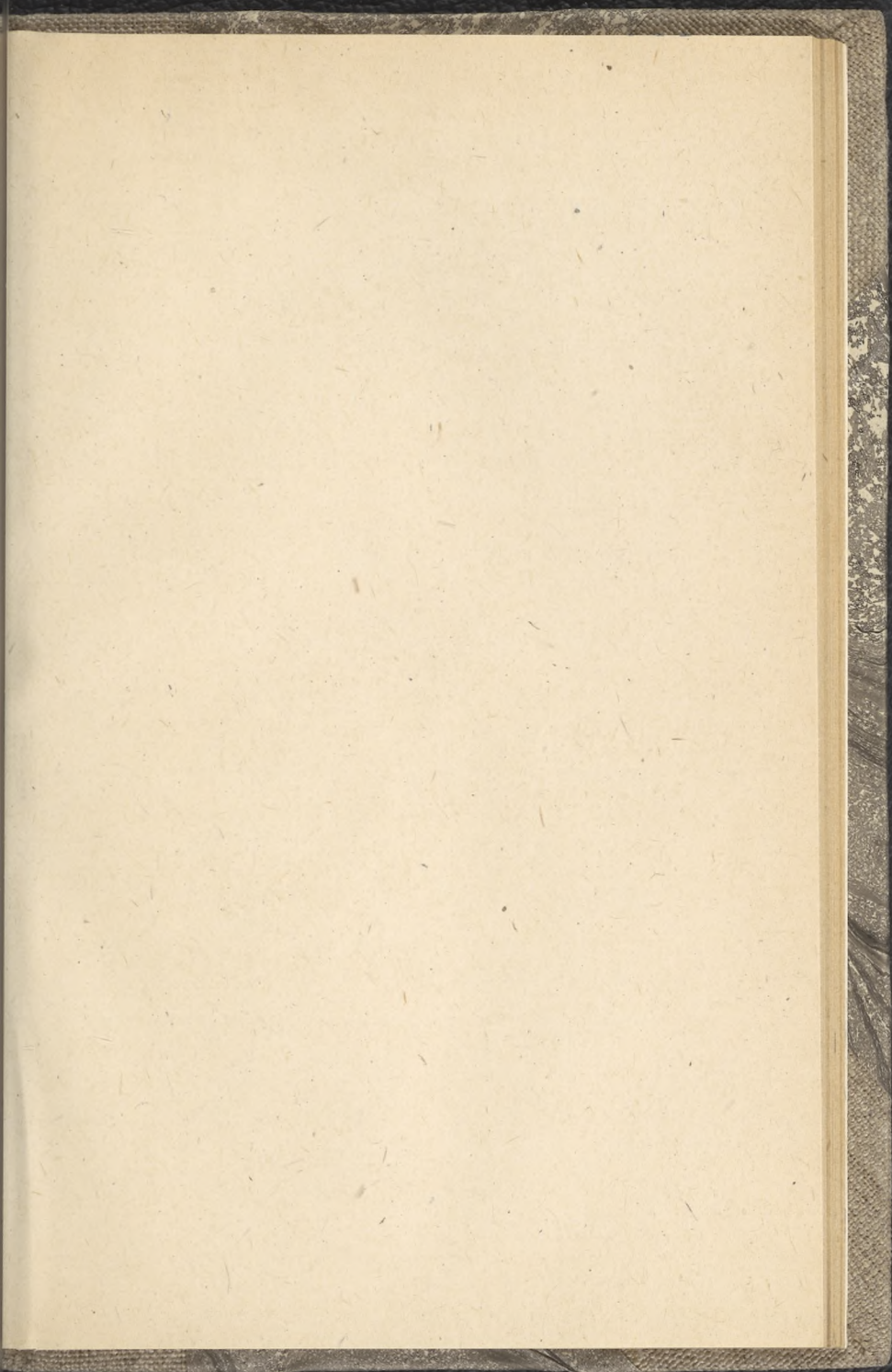
O kodycyłu tym nie wspomniałem ani słowem nawet mojemu Robertowi, ani jego żonie. Liczyłem się z tem, że gdyby, powodując się zrozumiąłą słabością ludzką, zwierzyli się dzieciom z historii mego uspienia i przyszłego zmartwychwstania, to jednak nie będą mogli zdradzić ich kryjówki owych czterech wspaniałych djamentów, których pięk-

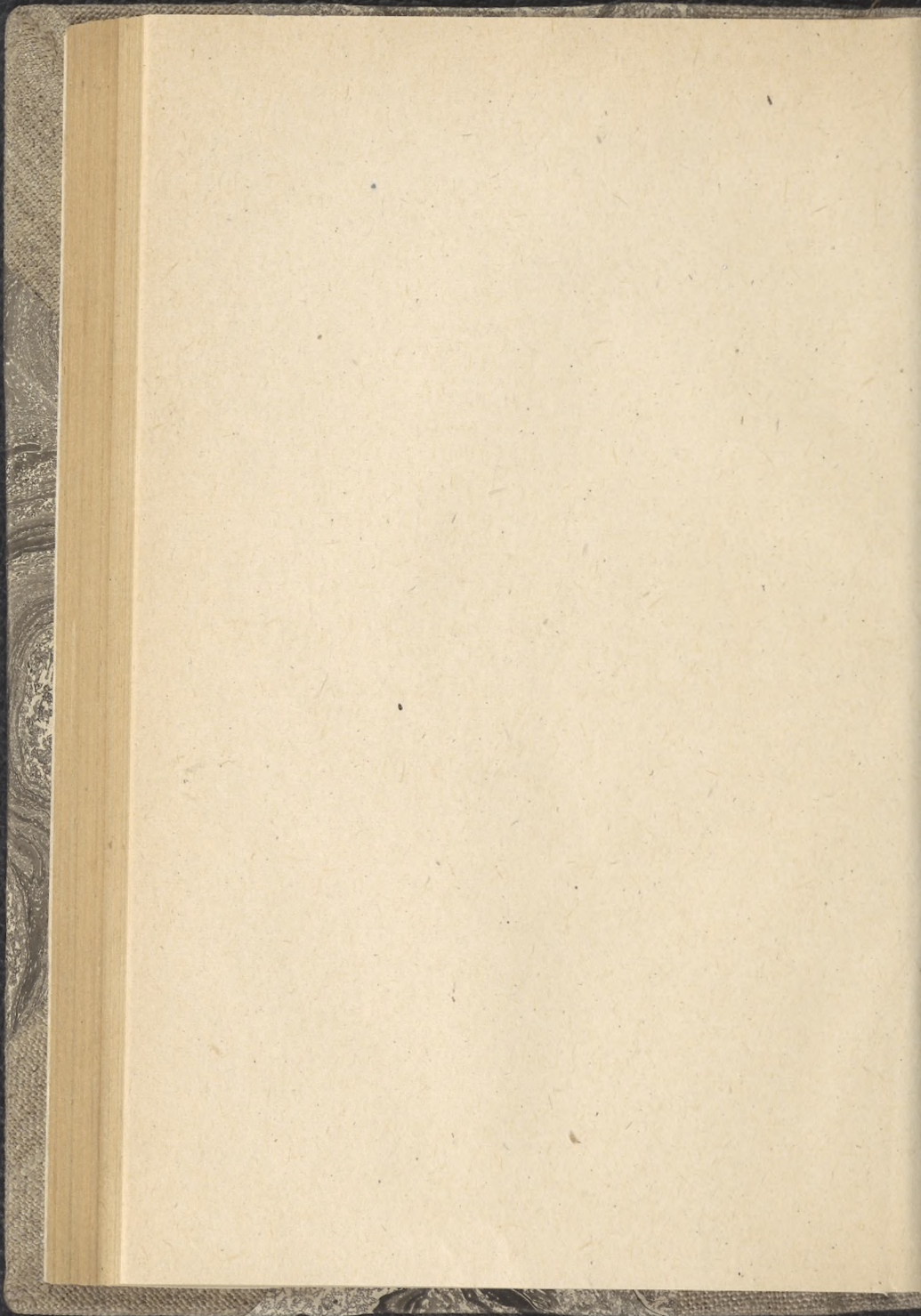


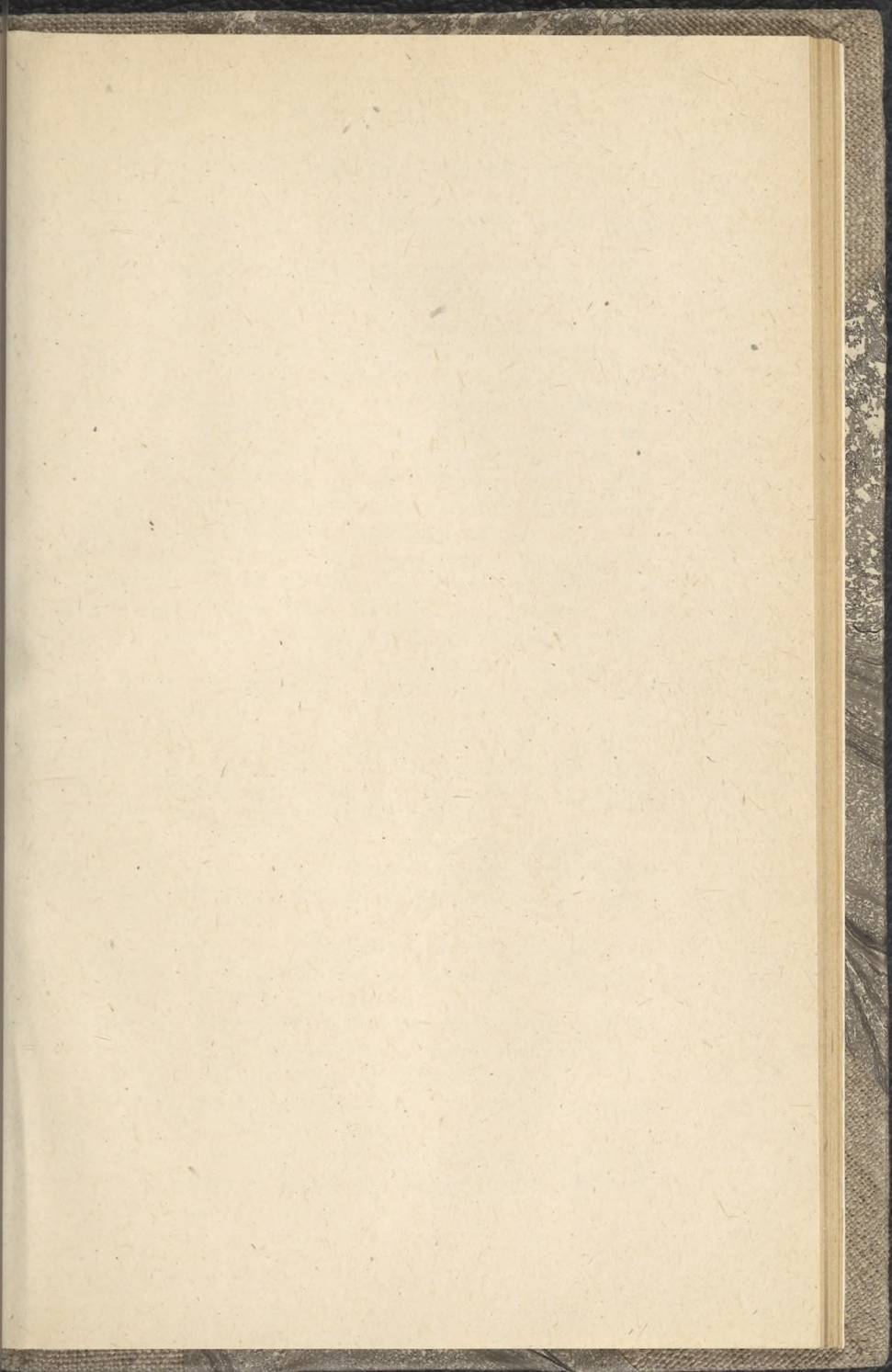


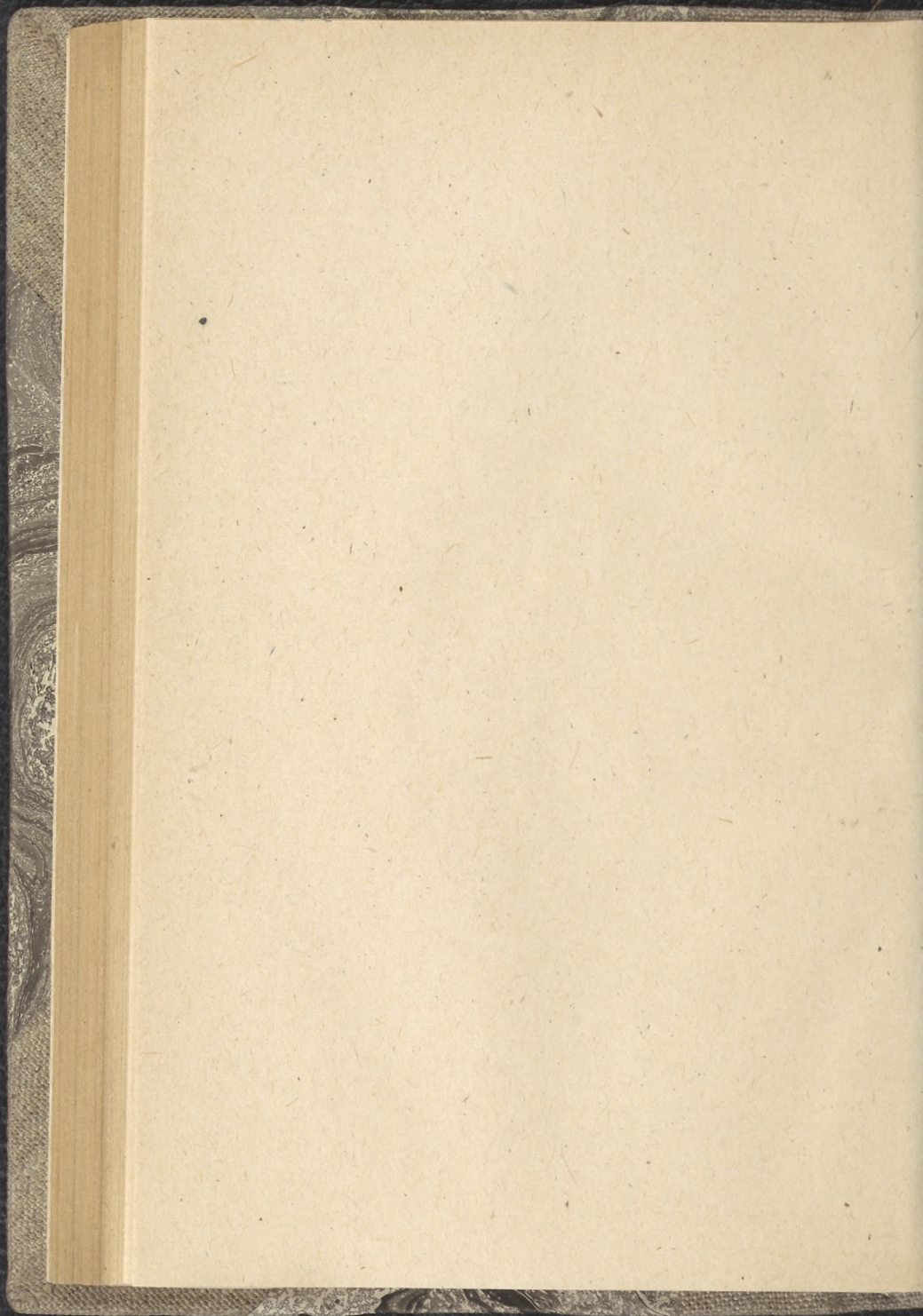












Oświecono alkową blaskiem lampek elektrycznych.

W głębi stało łóżko a na niem leżał jakiś mężczyzna.

Pomimo wszelkich przygotowań, pomimo zapowiedzi testamentu, widok ten był czemś tak niespodziewanem, czemś tak wstrząsającym, że Liljana na chwilę osłabła i wypuściła z ręki kotarę.

Fred Norris silnie zmieszany podniósł kotarę i począł pierwszy iść ku temu leżącemu człowiekowi, w ten sposób, jak gdyby chciał nim wstrząsnąć i nagle go obudzić. Inni podążali za nim.

Młody Jankes zatrzymał się tuż przy łóżku i zniechęcony z wyciągniętem przed siebie ramieniem. Zbrakło mu odwagi w ostatniej chwili.

Na szerokiem łóżku leżał mężczyzna, wyglądający mniej więcej na lat 60, ale dziwna bladość, polegająca na doszczętnem odbarwieniu skóry, pod którą nie płynęła ani kropla krwi, miała w sobie coś, co umykało się przed wszelkiem określeniem wieku. Twarz kompletnie wygolona, bez brwi, bez rzęs. Nozdrza były prawie przejrzyste, jak to się nieraz widuje u zmarłych na gruźlicę, ludzi. Żadnego ciała, tylko czaszka, kości, obciążone skórą policzki, zamknięte powieki, wysokie czoło przedłużające się w najdokładniejszą łysinę.

— Palec, czwarty palec — szepnęła Liljana.

Czwartego palca lewej dłoni istotnie brakowało. Ucięty był tuż przy nasadzie, stosownie do zapowiedzi testamentu.

Leżący mężczyzna przybrany był w kostjum ze swej epoki, miał kamizelkę z czarnego jedwabiu, haftowaną i krótkie spodnie.

Pończochy jego były z bardzo delikatnej wełny. Wszystko to było zużyte, napół zjedzone przez robaki. Na nogach nie miał żadnego obuwia.

— On już nie żyje napewno, — szepnął cichym głosem jeden z młodych ludzi.

Aby się o tem upewnić, należało się pochylić i ucho przyłożyć do piersi w okolicy serca. Mimo-

woli jednak każdy odnosił wrażenie, że przy naj-
leższym dotknięciu, ten kształt człowieka rozpad-
nie się w proch i zniknie bez śladu, tak jak widmo.

Wogóle tego rodzaju eksperyment, czyż nie był
już sam w sobie bluźnierstwem, profanacją śmier-
ci? Badać trupa, wątpić o majestacie śmierci, nikt
nie mógł się na to zdecydować.

Ciałem Liljany wstrząsały dreszcze. Jej kobiece
nerwy miały za dużo wstrząsających wrażeń. Prze-
rażony notariusz zaczął błagać:

— Chodźmy stąd, to nie nasza rzecz, to jest ja-
kaś sprawa szatańska...

Ale Fred Norris wpadł na dobry pomysł.

Wyjął z kieszeni małe lusterko i przyłożył je do
warg leżącego.

Po chwili zwierciadełko powlokło się leciutką
mgłą.

— Oh — szepnął Amerykanin — zdaje mi się,
że on żyje!

— Żyje, żyje — wyszeptali wszyscy w silnem
wzruszeniu.

Notariusz musiał aż przysiąc na brzegu łóżka,
ponieważ nogi uginały się pod nim. Powtarzał on
ustawicznie:

— To sprawa szatańska, sprawa szatańska... my
nie mamy prawa...

Zgromadzeni spadkobiercy lorda spoglądali po
sobie z niepokojem. Myśl, że ten nieboszczyk żyje,
wydawała się im czemś niesłychanie potwornem.

Przekonani byli przedtem, że trupa zaszuszonego
mają przed sobą a jednak teraz nie mogli zaprze-
czyć świadectwu własnych oczu.

Liljana szepnęła:

— Patrzcie, patrzcie, jego pierś podnosi się i opa-
da. Zaledwie, że to dostrzec można. Ale jednak on
żyje...

Zaprotestowano chórem.

— Nie, to wprost niepojęte. Czem możnaby
wytlumaczyć tego rodzaju fenomen?

— Nie wiem, — wyrzekła — może to jest jakiś rodzaj letargu, jakiś sen hypnotyczny..

— Sen, który trwa dwieście lat?

— Nie wiem... nie nie rozumiem.

— A zatem?

— A zatem działać należy.

— Ale co robić?

— Trzeba zrobić to, co nakazuje testament. Wskazówki są dokładne. Naszym obowiązkiem jest wypełnić je bez namysłu i jak najdokładniej.

— Więc co?

— Spróbujmy go obudzić przy pomocy tego eliksiru, o którym wspomina testament.

— Oto eliksir — rzekł Giovanni Marchesini, biorąc ze stojącego przy łożu stołka jakiś przedmiot, obsyty materją. Z woreczka tego wydobył mały flakonik staroświeckiego kształtu. Podał go Liljanie, która nie namyślając się długo, odłamała szyjkę flakonika.

— Czy któryś z was ma przy sobie nóż — zapytała. — Dziękuję, kuzynie Norris. Postarajcie się podważyć zęby końcem ostrza, tak jak to zaznaczone jest w liście.

Zachowywali się w ten sposób, jakby się zachowywał lekarz w obecności chorego, któremu nie wie jak dopomóc, ale stara się postępować według ścisłych przepisów. Trzeba robić co należy, a przyszłość pokaże, co z tego wyniknie. Fred Norris z trudem wypełniał swoje zadanie. Wargi zaciskały się a górne zęby, zczerniałe i zepsute, tak mocno były zwarte z zębami dolnymi, że koniec noża nie mógł sobie utorować drogi. Trzeba było podważać zęby z dołu ku górze, aby rozsunąć zwarte szczęki.

— Nie poruszać się teraz — komenderowała Liljana, rękę z flakonikiem przechyliła do ust leżącego. Kilka kropli płynu, który barwą i zapachem przypominał likier chartreuse upadło z pomiędzy warg, a potem wąski strumyczek popłynął z flakonika, który wkrótce się opróżnił.

— Skończone — rzekła Liljana.

Usiłowała zapanować nad sobą i uśmiechnąć się, ale jakoś nie mogła. Szepnęła tylko:

— Musimy poczekać, skutek nie może być natchmiastowy.

Wymawiając te słowa, Liljana myślała:

— A zatem, ja istotnie przypuszczam, że ten człowiek obudzi się, a raczej zmartwychwstanie, bo taki sen, to przecież nie innego, jak śmierć.

— Nie, nie, my wszyscy chyba jesteśmy ofiarami zbiorowej halucynacji. Lusterko nie zaszło wego nieboszczyka, wydawała się im nowym cumgią, serce nie bije, nie, po tysiąc razy nie, — człowiek, który raz umarł, już nie zmartwychwstaje!

— Oto przeszło już trzy minuty — rzekł Giovanni Marchesini.

I z zegarkiem w rękę liczył. Przeszło pięć minut, potem jeszcze pięć minut.

To oczekiwanie było wprost niezrozumiałem ze strony tych sześciu osób, które nie wierzyły w to absolutnie, aby fakt zapowiedziany testamentem mógł stać się rzeczywistością, a jednak zdumiewały się w obliczu rzeczy niezaprzeczalnych, a jednak tak fantastycznych, że wydawały się wręcz nieprawdopodobnymi.

— Piętnaście minut — wyrzekł młody Włoch.

Upłynęło jeszcze kilka sekund, nagle wszyscy zarżeli. Głuchy wykrzyk wyrwał się ze wszystkich ust. Blade powieki trupa zadrżały.

Fenomen ten powtórzył się po chwili i to tak wyraźnie, tak widocznie, że niepodobna było wątpić o rzeczywistości.

W tej samej chwili dał się zauważyć ruch rąk. Lekko poruszyły się palce obu dłoni.

— Oh, — wyszeptał zmieszany do najwyższego stopnia notariusz — on żyje, żyje!

Rozdział XIII.

Wskrzeszenie Łazarza.

Liljana patrzyła nie tracąc najlżejszego poruszenia z oczu. Młodzi jej towarzysze, tak samo jak ona trwali bez ruchu ze zmarszczonymi nerwowem wyteżeniem brwiami.

Młody Włoch przeżegnał się znakiem krzyża świętego.

— Żyje — powtórzył cicho mister Simmons — i patrzy na nas.

Dziwne to było spojrzenie, nieruchome i zdające się niczego nie widzieć. Było to spojrzenie nowonarodzonego dziecka, w którym nie malowała się żadna myśl. Wzrok ten błędny, bezświadomy, umykał przed światłem lampek i zdawało się, że za chwilę zagaśnie znowu w mrokach nowego snu.

Natomiast życie wstępowało w całe ciało, jak gdyby krew zaczęła krążyć normalnie pod naciśnięciem serca, które biło znowu. Ramiona i dłonie wykonywały logiczne ruchy.

Potem nagle nogi zesunęły się w dół łóżka. Górna połowa ciała wyprostowała się. Po kilku daremnych próbach mężczyźni owemu udało się wreszcie usiąść.

Spojrzeni mu teraz prosto w twarz, a ponieważ jeden z młodych ludzi podniósł wysoko lampkę, aby jej światło nie oślepiło zmartwychwstałego nieboszczyka, więc lampa ta rzucała teraz blask na zawieszony na ścianie alkowy ponad łóżkiem portret, o którym wspominał ostatni list lorda.

Mogli tedy skonstatować, że portret wiszący na ścianie był istotnie wizerunkiem człowieka, który oto teraz przed nimi zmartwychwstawał z wiekowego snu. To samo czoło wysokie, olbrzymie, te same oczy schowane w głębi orbit, te same wystające kości policzkowe, ta sama koścista dolna szczęka, te same uszy odstające.

Ale wbrew zapowiedzi listu, mężczyźni leżący

na łożu postarzał się mocno i wychudł, ponieważ portret przedstawiał szlachcica wcale dobrze wyglądającego i o niezłej tuszy.

Zmartwychwstały dwa razy próbował wstać, ale bezskutecznie. Był zanadto osłabiony, aby się mógł utrzymać na nogach. Oddychał również z widocznym trudem, może dlatego, że odzwyczaił się od oddychania, a może dlatego, że brakło mu powietrza?

Liljana dostrzegła dwie deski przybite do ściany i pokazała na nie palcem Amerykaninowi i Włochowi, chcąc im w ten sposób dać do zrozumienia, że mają deski oderwać. Nieme to polecenie zrozumieli, oderwali deski, z wielką łatwością, ponieważ przybite były zupełnie lekko i wówczas ukazało się małe, okrągłe okienko o średnicy, nie przenoszącej trzdziestu kilku centymetrów. Prąd świeżego powietrza wdarł się do alkowy i dostał się do płuc obudzonego mężczyzny, który zdawał się jeszcze ciągle trwać w stanie bezświadomości. Obracał on się z boku na bok, otwierając usta, jak ryba wyjęta z wody i wdychając pełnemi płucami powietrze.

Wszystkie przytoczone powyżej wypadki odbywały się z wielką powolnością. Ci, którzy je ze zdumieniem obserwowali, mieli wrażenie, że asystują przy tajemniczych misterjach zmartwychwstania, w jego różnych fazach, chociaż jeszcze i obecnie nie mogli temu uwierzyć, co widzieli na własne oczy.

Każda minuta uzyskana z życia przez tego żydem, przekraczającą siłę i zakres ich wyobraźni. Podświadomie każdy żywił nadzieję, że stanie się coś niespodziewanego, co rzecz i wypadki zepchnie na miejsce naturalne i zniszczy jednym swojej dotknięciem ten gmach fantastycznych wydarzeń.

Liljana uderzyła z niecierpliwością nogą o podłogę, jak gdyby buntowała się przeciwko samej sobie i pragnęła się wyrwać z tego mimowolnego osłupienia.

Odwróciła oczy od fascynującego zjawiska. Na pięknej twarzy młodej dziewczyny malował się taki wysiłek myśli, takie nateżenie woli, że i towarzysze jej oderwali wzrok od zmartwychwstałego mężczyzny.

Oczy Liljany szukały czegoś. Błękitne źrenice pociemniały. Zdawało się, że widzą: one więcej, aniżeli oczy zwyczajne, że chwytają na gorącym uczynku prawdę w jakichś oddalonych regionach.

Po upływie jakichś dwóch minut szepnęła:

— Spróbujmy.

Podeszła znowu do łóżka zdecydowana już. Jedną rzecz była już obecnie zupełnie pewną i oczywistą, i niepodobna było o niej wątpić: ten człowiek żył. Należało tedy z nim postępować, jak z istotą żyjącą, która ma na to uszy, by słyszeć i usta poto, by mówić, i która rozróżnia przedmioty i osoby ją otaczające.

Ten człowiek miał przecież swe imię i nazwisko. Wszystkie okoliczności wskazywały obecnie na to, że obecność tego człowieka w tej zamkniętej komnacie była rezultatem udanego eksperymentu, którego nikt nie ma prawa odrzucać a priori, chociażby eksperyment ten wydawał się jak najbardziej niezwykłym.

Dlaczegóż tedy nie zapytać jego samego?

Liljana usiadła na łożu, wzięła zimne, chude dłonie zmartwychwstałego w swoje ręce i rzekła poważnie a uroczyście:

— Przybyliśmy na wezwanie... oto jesteśmy ci, dla których złoty medal...

Przerwała. Słowa nie łatwo przechodziły jej przez usta. Wydawało się jej, że to co mówi, jest absurdalnym, niesłychanym dziecinnym, absolutnie niedorzecznym i że tamci wszyscy słuchając tego doznają takiego samego wrażenia. Kosztem wielkiego wysiłku woli mówiła dalej:

— W naszych rodzinach złoty medal przechodził z ręki do ręki, aż dostał się do nas. Oto przez dwa wieki tradycja przetrwała, aby wasza wola...

Nie mogła dalej już mówić w tych pompatycznych słowach. Jakiś inny, wewnętrzny głos szeptał w niej:

— Boże, przecież to wszystko idjotyczne, co ja mówię!

Tymczasem dłoń mężczyzny rozgrzewała się przy zetknięciu z jej ręką. Twarz przybierała taki wyraz, jak gdyby słyszał szmer słów, i jak gdyby zaczynał rozumieć, że do niego są te słowa skierowane.

Nagle Liljana zrezygnowawszy z układania uroczystych frazesów, odezwała się z pełną prostotą:

— Czyście głodni? Chcecie pić, jeść? Prosimy o odpowiedź. Co mamy czynić? Ja, i moi przyjaciele postaramy się.

Starzec oświetlony blaskiem lampy, trwał z ustami otwartymi, o obwisłej dolnej wardze, spoglądał nieprzytomnie i głupio bez jakiegokolwiek wyrazu.

Liljana przywołała notariusza i rzekła mu:

— Mistrzu Simmons, czy pan nie sądzi, że powinniśmy mu podać drugą kopertę, zawierającą kodycył. Być może, że jego pamięć i świadomość obudzi się na widok tego pisma, które zresztą jest jego własnością i które stosownie do brzmienia testamentu, mamy mu zwrócić.

Notariusz był tego samego zdania, podał kopertę Liljanie, która wyciągnęła rękę ku starcowi, mówiąc:

— Oto wskazówki spisane, celem odnalezienia djamentów. Nikt z nas nie zna tych wskazówek. Oto one.

Wyciągnęła rękę. Widocznem stawało się, że starzec usiłował odpowiedzieć jej analogicznym ruchem. Liljana przysunęła bliżej kopertę, palce bezsilnej dłoni mężczyzny otwarły się, aby ją ująć.

— Wszakże rozumiecie to lordzie, nieprawdaż? — rzekła. — Należy rozpieczętować to pismo. Ono zawiera tajemnicę kryjówki djamentów. To jest ta-

jemnica niesłychanie ważna, wszakże te djamenty, to wielki majątek.

Urwała znowu, jak gdyby nagle uderzyła ją jakaś myśl, jakaś obserwacja nieprzewidziana.

Teraz odezwał się Fred Norris:

— To jest pewnem, że on zrozumiał. Gdy otworzy kopertę i przeczyta własne pismo, przeszłość odżyje w jego pamięci. Możemy mu wręczyć tę kopertę.

Francuz Rimbaud poparł Yankesa.

— Tak jest, możemy mu tę kopertę oddać, przecież ta tajemnica jest jego własnością.

A jednak wbrew tym wskazówkom, Liljana nie dopełniała aktu oddania koperty. Przyglądała się ona starcowi z niesłychaną uwagą. Wzięła potem lampkę, nachyliła się, z bliska przyjrzała się ręce okaleczonej, a potem ku największemu zdumieniu wszystkich wybuchnęła śmiechem.

Zgięta we dwoje, skrzyżowawszy ramiona na piersi, śmiała się do rozpuku. A ten śmiech był tak młody, tak dźwięczny, tak świeży i tak zaraźliwy, że młodzi ludzie zaczęli się również śmiać z kolei. Tylko notariusz zgorzony taką niezrozumiałą a niestosowną wesołością, protestował podrażnionym głosem:

— Doprawdy, że jestem zdumiony: przecież w tem wszystkiem niema nic wesołego, znajdujemy się tutaj w obliczu zjawiska niezwyklego.

Te jego słowa wzmogły jeszcze wesołość Liljany, która dusząc się formalnie z śmiechu, wyrzekła:

— Tak, tak... zjawisko niezwykle, eud, ach, mój Boże, jakież to jest zabawne i jak to dobrze pośmiać się tak trochę z tego. Już za długo powstrzymywałam się od śmiechu. Byłam pełną powagi, niepokoju, ale jednak teraz muszą się wyśmiać za wszystkie czasy, oh, jakież to jest kapitalne, jakie zabawne...!

Notariusz oburzony wprost mruknął:

— Nie wiem, co w tem zabawnego, że lord zmartwychwstał.

Wesołość Liljany nie znała swych granic. Zano-
siła się od śmiechu, tak że łzy płynęły jej z oczu.

— Lord, zmartwychwstały lord, Łazarz z Ro-
cheville. Ależ czyż wyście nic nie zauważyli, czy-
ście nic nie widzieli?

— Widziałem lusterko, które zachodziło mgłą,
widziałem oczy, które się otwierały.

— Tak, tak, zgoda, no, a co więcej?

— Jakto co więcej?

— No, w ustach?

— W ustach?

— Niechno pan podejdzie bliżej.

— Cóż tam takiego znowu?

— Oto...

— No, niechżeż pani na miłość boską powie raz
o co chodzi.

— Ten jegomość ma w ustach fałszywy ząb!

Notarjusz powtórzył zwolna i z namysłem:

— Fałszywy ząb?

— Tak jest, wstawiony ząb, złoty ząb!

— No i cóż z tego?

— No jakto, czy pana to nie dziwi, iż dwieście
lat temu, wstawiano już złote zęby? Zdaje mi się,
że to jest jednak wynalazek nowoczesny, bo prze-
cież lord po śmierci nie mógł sobie wstawić złot-
tego zęba.

Liljana przestała się już śmiać, ale uśmiechała
się ciągle, najwidoczniej szczerze rozbawiona. Oczy-
wiście czterej młodzieńcy, otaczający ją uśmiechali
się również a na łożu starzec leżał ciągle z wy-
razem osłupienia na twarzy i prowadził dalej swo-
je ćwiczenia w oddychaniu.

Notarjusz pociągnął swych towarzyszy ku so-
bie i szepnął:

— A zatem... sądzi pani, że to jest jakaś misty-
fikacja?

— Mocno się tego obawiam.

— No, a lord?

— Lord nie ma nic do czynienia w całej tej sprawie, — rzekła. — Przygoda lorda zakończyła się w dniu 12 lipca 1725 roku, kiedy połknął on miksturę, mającą mu zapewnić zmartwychwstanie a w rzeczywistości kładącą kres jego życiu. Po lordzie nie pozostało nic, oprócz garstki prochu, zmieszanego z pyłem, pokrywającym podłogę tej komnaty i listu autentycznego, a wielce interesującego, który odczytał nam pan notariusz oraz kilku wspólnych djamentów, w jakiejś kryjówce schowanych. No i odzieży, którą miał na sobie w ostatniej godzinie, kiedy się kazał zamknąć w tym oto grobowcu.

— I cóż ta odzież?

— Ten oto jegomość przywłaszczył ją sobie, o ile nie kupił innej, albowiem szaty lorda musiały być w stanie mocno oplakany.

— Ale jakżeż ten człowiek mógł się tutaj dostać? Okno za małe, a przytem zabite deskami, więc jakimże sposobem...?

— Zapewne tą samą drogą, jaką i my dostaliśmy się tutaj.

— Niepodobna, niechże pani pomyśli o tych wszystkich przeszkodach, o tych wszystkich trudnościach. O tej ścianie, którą trzeba było zburzyć po drodze.

— A jakąż mamy pewność, że już ktoś inny przed nami nie wykrył tajemnego przejścia? Że gipsowa ścianka, nie została uprzednio zburzoną a potem zrekonstruowaną, że nikt drzwi tej komnaty nie otwierał przed nami?

— Ależ ten człowiek musiałby wiedzieć o tajemnicy lorda, o sekrecie ruchomych kamieni i t. d.

— A dlaczegóżby nie mógł wiedzieć? A może lord zostawił kopję swego listu, może bruljon? Albo nie, aha, już mam. Wiem gdzie się kryje prawda, wszakże sam lord przewidział, że jego służący Robert, może się wygadać, względnie pozostawić na piśmie opis tych wypadków. Prawdopodobnie stary sługa nie omieszkał przed śmiercią zanoto-

wać niezwyklej wydarzeń poprzedzających śmierć jego pana, i to pismo przechowało się, aż do dni naszych.

— To tylko gołosłowne przypuszczenie.

— Przypuszczenie to jednak wielce prawdopodobne, panie notariuszu, ze względu na to, że oprócz nas tutaj zgromadzonych, istnieją jeszcze inne osoby i inne rodziny, do których historia lorda Rocheville dotarła w całości lub we fragmentach. Dowodem tego jest fakt, że walczyć musiałam o medal, zrabowany memu ojcu.

— Chcąc wykryć ten schowek, chcąc wydrzeć tajemnicę, musiał być obecnym na zebraniu spadkobierców lorda. I dlatego to dzisiaj, w dniu 12 lipca 1925 roku, odgrywa, po miesiącach a może całych latach przygotowania, rolę zmarłego lorda.

— Niebezpieczna rola. Prawie niemożliwa do odgrywania.

— Możliwa, dla dobrego aktora na kilka godzin, a to wystarczy. Pocóż zresztą kilka godzin? Przecież po upływie dziesięciu minut już byliśmy zdecydowani wręczyć mu tę drugą kopertę, zawierającą klucz Sezamu, prawdopodobnie o to mu właśnie chodziło. Musiał wiedzieć o istnieniu kodycylla, wyjaśniającego zagadkę djamentów i o mało co, a byłoby mu się udało. Już mu podawałam kopertę. Jeszcze sekunda a miałby ją w ręku, a potem mógłby nam powiedzieć: „bądźcie zdrowi“, albo nie powiedział tylko dać nura coprędeż.

Rimbaud zapytał:

— Dlaczego mu pani nie oddała tej koperty, czy pani się domyślała?

— Nie mogę powiedzieć, abym się domyślała, ale nie dowierzałam. Podając mu kopertę, chciałam przedewszystkiem dokonać eksperymentu. Niejasne moje podejrzenia wzmocniły każdy najbliższy gest oznaczający chęć odebrania pisma i właśnie zauważyłam, że ręka jego drży z niecierpliwości. Przypadek dopomógł mi i rozwiązał moje wątpliwości, dostrzegłam złoty ząb w ustach.

Wszystko to było tak ściśle sprecyzowane, tak się łączyło logicznie, że trudno było przeczyć.

Fred Norris oświadczył:

— Kuzynka tak to wszystko dokładnie przedstawia, jakby była obecna przy tej całej historii.

Słowa Liljany wywarły silne wrażenie. Mówiła ona dalej:

— Rodzina hrabiów Barnton, rodzina Pornwallow i rodzina Doberty, były głównymi ogniskami, podtrzymującymi tradycję, a wokół tego snuły się dramaty, oplatały kradzieże, zbrodnie, morderstwo, obłąd, wir namiętności i przemocy.

— A jednak — zauważył Norris — niema tutaj nikogo oprócz nas. A co robią tamci?

— Czekają. Oczekują daty, która im jest nieznana. Czekają, aż medal złoty wpadnie im sam w ręce. Widziałam przed kościołem w Rocheville starego człowieka i robotnicę, którzy oczekują cudu. Widziałam dwoje biedaków obłąkanych, którzy przybyli na oznaczone rendez-vous i którzy czekają nad brzegiem wody. Osiem dni temu wydałam w ręce sprawiedliwości niebezpiecznego bandytę, nazwiskiem Erwing, pozostającego w dalekim związku pokrewieństwa z moją rodziną, który mordował, aby przywłaszczyć sobie medal. Czy uwierzycie mi teraz, kiedy wam powtórzę, że mamy przed sobą oszusta?

Giovanni z niedowierzaniem zapytał:

— A więc ten człowiek przybyłby tutaj, aby odegrać tę samą rolę, którą lord Rochevill miał nadzieję odegrać po dwustu latach?

— Tak jest, niezawodnie.

— Ależ jaki cel jego?

— Oczywiście, że zdobycie djamentów.

— Skoro wiedział, że djamenty istnieją, mógł je przecież i tak odszukać i przywłaszczyć sobie.

— Wierzcie mi, że szukał i to napewno, na próżno jednak. No nowy dowód, że ten człowiek znał tylko relacje służącego lorda, ponieważ słu-

żący nie został wtajemniczony przez swego pana co do miejsca kryjówki djamentów.

— A zatem — rzekł Włoch — rzekomo zmartwychwstały lord odegrał poprostu komedję przed nami.

— Co za bystrość obserwacji, jaka niesłychana logika — zauważył z podziwem Francuz.

A Norris dorzucił:

— I co za niezwykła intuicja.

Liljana na te komplementy nie odpowiadała swoim zwykłym uśmiechem. Zdawało się, że wypadki przybierały obrót raczej dla niej nieprzyjemny, jakgdyby przeczuwała, że to jest zapowiedź innych wydarzeń, których się już z góry obawiała. Ale co się mogło zdarzyć? Czego się obawiała?

Przez chwilę panowała zupełna cisza. Nagle notariusz wykrzyknął:

— A ja jednak sądzę, że pani się myli. Jestem nieco odmiennego zdania, aniżeli panna Liljana.

Notariusz Simmons należał do tych ludzi, którzy zwykli się czepiać kurczowo myśli, którą przez długi czas odrzucali.

Zmartwychwstanie lorda po dwustu latach, wydało mu się nagle nienaruszalnym dogmatem, którego powinien bronić.

Powtórzył tedy:

— Jestem innego zdania. Nagromadziła pani szereg hipotez bez należytego uzasadnienia. Nie, ten człowiek nie jest oszustem. Są pewne dowody, które przemawiają na jego korzyść, a pani je pomija.

— O jakich dowodach pan mówi — zapytała młoda dziewczyna?

— A jego portret? Przecież to podobieństwo jest niezaprzeczone.

— A któż panu powiedział, że to jest portret lorda, a nie tego właśnie człowieka? W ten sposób właśnie. bardzo łatwo jest upodobnić się do kogoś.

— Ale te staroświeckie ramy, to płótno, które stanowczo pochodzi z owej epoki?

— Przypuśćmy, że ramy pozostały te same, przypuśćmy, że stare płótno poprostu zamalowano, aby w ten sposób zrobić na niem portret fałszywego lorda?

— A ucięty palec? — wykrzyknął triumfująco notariusz.

— Palec, ucina się poprostu.

Notariusz zaczął się unosić.

— O nie, po tysiąc razy nie, nikt przecież się nie okaleczy w ten sposób, choćby go nie wiem jakie oczekiwały zyski. Nie, nie, pani system rozumowania nie wytrzymuje rewizji. Jak pani to sobie wyobraża, aby ten człowiek obciął sobie sam palec? Proszę mu uważnie spojrzeć w twarz, to człowiek niezdolny do tego. W tych rysach wyraźnie maluje się słabość charakteru, tchórzostwo.

Ten argument uderzył Liljanę. Rzucił on światło na to, co dotychczas jeszcze było dla niej ciemnem w całej tej sytuacji. Z błyskawiczną szybkością wyciągnęła odpowiednie wnioski.

— Ma pan rację, panie notariuszu — przyznała — tak człowiek, jak ten oto, niezdolny jest okaleczyć się.

— A zatem?...

— A zatem, to ktoś inny wyręczył go w tym wypadku.

— Ktoś inny uciąłby mu palec? Wspólnik jego?

— Więcej, aniżeli wspólnik, bo przywódca. To nie w mózgu tego człowieka powstał ten cały projekt. To nie on jest reżyserem tej przedziwnej komedji. To tylko poprostu narzędzie w rękach rafinowanego łotra, to jakiś zwykły lajdaczyna, na którego padł wybór z powodu jego wychudłej fizjonomji. Ten, który trzyma nici w swem ręku, jest dotychczas niewidzialnym i jego to właśnie obawiać się należy.

Notariusz zadrżał.

— Tak pani mówi, jakby go pani знаła.

Liljana przez chwilę nie odpowiadała, a potem odparła z wolna:

— Być może, że go znam. Jeżeli instynkt mój nie myli mnie, to inicjatorem i przywódcą tego całego spisku byłby ten człowiek, którego wydałam władzom, ten sam Erwing, o którym wspominałam przed chwilą. Chociaż on sam jest w więzieniu, pouczeni przez niego wspólnicy prowadzili dalej zaczęte dzieło i usiłują rzecz doprowadzić do końca. Tak, tak, — dorzuciła — przypuszczać należy, że Erwing wszystko zarządził. Wszakże od szeregu lat śledzi on za biegiem rzeczy, a tego rodzaju machinacja odpowiadałaby zupełnie jego umysłowi, pełnemu chytrności i podstępności. Nie dowierzajmy mu, on nawet w więzieniu może być niebezpiecznym przeciwnikiem.

— Niebezpiecznym, niebezpiecznym — powtórzył notariusz, który chciał się koniecznie pocieszyć — nie rozumiem doprawdy, coby nam grozić mogło, zresztą sprawa cała dobiega końca. Chodzi tylko o ten schowek, w którym ukryte są dokumenty. Otwórzmy tedy kodycyll a mój obowiązek będzie już skończony.

— Nie o to chodzi, czy pański obowiązek już skończony, panie notariuszu — rzekła Liljana głosem, w którego dźwięku przebijało się zamyślenie — chodzi o to, aby uniknąć niebezpieczeństwa, którego nazwać dobrze nie umiem, ale które przewiduję coraz wyraźniej. Jakże to jest niebezpieczeństwo — z której strony grozi? Nie wiem, ale ono wisi nad nami.

— Ależ to okropne — jęknął notariusz — więc jak się bronić? Co robić?

— Co robić?

Liljana zwróciła się ku alkowiemu.

Tajemniczy mężczyzna nie ruszał się już. Jego tors i głowa pogrążone były w mroku.

— Weźmy go na indagację. Rozumiecie przecież, że on tutaj nie przyszedł sam jeden. Powierzono mu najtrudniejsze stanowisko, ale inni, zau-

fani Erwinga czuwają. Ukryci za kulisami czekają epilogu komedji. Szpiegują nas, może podsłuchują. Wypytajmy go. Może zdołamy się od niego dowiedzieć, co tamci zamierzają w razie, gdyby rzecz się nie udała.

— Nie będzie chciał powiedzieć.

— Sądzę jednak, że tak. Mamy go przecież w swoich rękach. Będzie to tedy leżało w jego interesie, aby sobie zdołał okupić przebaczenie. To jeden z tych ludzi, którzy zawsze są po stronie mocniejszej. Popatrzcie na niego.

Mężczyzna trwał ciągle bez ruchu, a jednak pozycja jego nie wydawała się naturalną. W postawie półsiedzącej, pochylony, musiał stracić równowagę.

— Norris, Marchesini — komenderowała Liljana — oświećcie mu twarz!

W jednej chwili dwie lampki elektryczne rzuciły blask.

Upłynęło kilka sekund.

— Ach! — krzyknęła Liljana, która pierwsza zrozumiała, co się tu stało straszego.

Człowiek ten nie żył już, a w piersi jego tkwił sztylet o hebanowej rękojeści. Krew płynęła strumieniem. Za chwilę ciało zasztyletowanego zważyło się całym ciężarem na łóżko.

Rozdział XIV.

Czwarty medal.

Pomimo całej tragiczności tego niespodziewanego wypadku, nie wywołał on u tych, którzy byli jego świadkami, ani wzburzenia, ani zamieszania. Nikt nie krzyknął nawet. Coś tłumilo ich przerażenie, dusiło głos w gardle i hamowało ruchy. Wykonanie tego morderstwa było poprostu niezrozumiałem.

Niepodobny do pojęcia cud znartwychwstania lorda, przetwarzał się w cud śmierci, równie trudny do zrozumienia.

Poprostu zdawało się, że to śmierć sama przeszła

przez próg i ugodziła tego człowieka, ponieważ nikt z żywych do komnaty tej nie wchodził. Tak, jakby śmierć wymierzyła cios niewidzialną ręką, a potem odeszła, pozostawiając w ranie broń morderczą.

Tylko duch mógł przejść tędy, tylko duch mógł zabić.

— Norris — podjęła Liljana, która prędzej od towarzyszy odzyskała zimną krew — na schodach niema nikogo, nieprawdaż? Marchesini, wszakże okno jest zbyt wąskie, aby ktoś się mógł wślizgnąć tedy? Rimbaud i Iwanow zbadajcie mury alkowy.

Sama ona pochyliła się i podniosła sztylet. Ciałem zamordowanego nie wstrząsały już żadne drgawki — leżał nieruchomy trup.

Dokładne zbadanie sztyletu i odzieży nieboszczyka nie naprowadziło na żaden ślad.

Amerykaniń i Włoch zdali raport ze swojej misji. Schody? — puste. Okno? — za wąskie.

Obaj zaczęli pomagać Rosjaninowi i Francuzowi w opukiwaniu murów. Liljana rzekła wreszcie:

— Niema żadnego wejścia? Niepodobna, aby ktoś przeszedł tędy.

— A zatem — wyjąkał notariusz, który przysiadł na stolku, ponieważ nogi uginały się pod nim — a zatem?

Pytanie to wymawiał w ten sposób, że wyczuć można było skrucbę i upokorzenie. Widocznie notariusz czynił sobie srogie wyrzuty, że nie przyjął odrazu z pełnem zaufaniem wszystkich wyjaśnień Liljany, a obecnie poprzysięgał sobie, że zaaprobuje z góry wszystko, co ona powie.

Młoda dziewczyna, która przepowiedziała tak dokładnie grożące im niebezpieczeństwo, i która wyjaśniła niezwykłą przenikliwością wszystkie ciemne punkty tej tajemniczej historii, wydała mu się nagle istotą wyższą, która się nie myli i mylić nie może, i dlatego wydała się mu ona jakąś ochroną przeciwko atakom, które jeszcze nastąpić mogły.

Liljana miała niejasne poczucie, że prawda krąży tuż koło niej i że za chwilę zobaczy to, co dotych-

czas rysowało się w mglistych kształtach. Jedna tylko rzecz miała ją potem zadziwić nieskończenie: że odrazu nie odgadła, kto się ukrywał w tych mrokach. Zdawało się, że lękała się odgadnąć, że odwracała myśl od niebezpieczeństwa, o którym ostrzegała ją przenikliwość.

Przez to wahanie, przez tę walkę wewnętrzną straciła kilka minut. Zmarnotrawiła czas na niepotrzebne słowa.

— Mistrzu Simmons — rzekła — mamy tu przed sobą trupa, byliśmy świadkami zbrodni. Należy tedy powiadomić władze, a jednak sędzę, że mogliśmy to opóźnić o dzień, dwa.

— Opóźnić! — zawołał. — Na to się nie zgodzę. To są formalności, które nie znoszą opóźnienia.

— Nie dostanie się pan do Rocheville.

— Dlaczegożby nie?

— Albowiem ta banda, która w naszych oczach potrafiła usunąć współnika, mogącego im być w danej chwili niewygodnym, z pewnością dobrze strzeże drogi.

— Sądzi pani... — wybełkotał notariusz.

— Właśnie tak sędzę.

Odpowiadała z pewnem wahaniem. W tym momencie cierpiała silnie. Należała bowiem do tych istot, dla których niepewność jest męczarnią. Miała to wrażenie, że brakuje jej jakiegoś zasadniczego ogniwa w rozpoznaniu prawdy. Pomimo, że tym zebrany mężczyznom wydawała się wyrocznią, sama zdawała sobie z tego sprawę, że to nie ona kieruje wypadkami. Ciężyla nad nią ręka wroga, który niewidzialny przeprowadzał systematycznie swoją wolę i kto wie, może ją samą, Liljanę, za narzędzie używał?

— Ależ to okropne! — lamentował notariusz. — Przecież ja nie mogę tutaj wiekować. Moja praca mnie wzywa, ja mam żonę, dzieci...

— A to niech pan odjeżdża, panie notariuszu. Ale przedtem proszę nam wręczyć kopertę z kodycy-

lem, którą panu oddalam. Otworzymy to pismo w pańskiej obecności.

— A czy państwo jesteście do tego uprawnieni?

— Jakto, cóż za wątpliwości? Przecież list markiza jest wyraźny i jasny: „Na wypadek, gdyby los mnie zdradził, gdybyście nie odnaleźli moich śladów, sami otworzycie kopertę, a znając skrytkę, obejmiecie djamenty w posiadanie“. — To jest tak jasne, że jaśniejsze już być nie może. A ponieważ my wiemy, że lord nie żyje, stanowczo nie żyje, i ponieważ mamy prawo objąć w posiadanie cztery indyjskie djamenty, które należą do nas pięciorga...

Liljana urwała nagle. Słowa, które wymówiła dziwnie zabrzmiały w jej uchu. Ta sprzeczność dziwna, cztery djamenty i pięciu właścicieli... Fakt ten zastanowił wszystkich, a nawet uderzył swoją osobliwością, notariusza.

— Prawda, prawda — rzekł Simmons — przecież was jest pięcioro... a lord wspomina tylko o czterech synach.

— A zatem? — zapytał Norris.

— Powtarzam — rzekł notariusz, że lord wspomina tylko o czterech synach, którym przekazał tylko cztery medale, cztery...

— Może wspomina o czterech a pozostawił w istocie pięć — rzucił przypuszczenie Amerykanin i spojrzał pytająco na Liljanę.

Młoda dziewczyna milczała i dopiero po dłuższej chwili rzekła w zamyśleniu:

— O ile oczywiście piąty egzemplarz, zupełnie podobny, nie został sfabrykowany na wzór tamtych i następnie oddany jednemu z nas wskutek jakiejś podstępnej machinacji.

— Ale jak to stwierdzić?

— Porównajmy nasze medale — zaproponowała. — Może zauważymy coś szczególnego.

Amerykanin pierwszy pokazał swój medal nie przedstawiający nic szczególnego, nie takiego, co by pozwalało wątpić, że jest to jeden z oryginalnych egzemplarzy, wybitych na rozkaz lorda i przez

niego samego skontrolowany. Tak samo medale Włocha, Rosjanina i Francuza wydały się najkompletniej autentycznymi. Notariusz, który dokładnie oglądał wszystkie cztery medale, z kolei wyciągnął rękę ku Liljanie.

Liljana sięgnęła ręką do małego woreczka skórzanego, zawieszzonego na jej szyi. Rozwiązała sznurek i spojrzała zdumiona: woreczek był pusty.

Potrząsnęła, obróciła woreczek w rękę. Pusty.

Głuchym głosem wyrzekła:

— Nie mam już, nie mam.

Pełne zdumienia milczenie było odpowiedzią na te słowa. Wreszcie notariusz zaryzykował zapytanie:

— Więc pani chyba zgubiła?

— Ależ nie — odparła — nie mogłam zgubić. Byłabym zgubiła także i woreczek. Medal ukryty był w tym woreczku.

— A zatem — zapytał notariusz — jak pani wyjaśni?

Giovanni Marchesini przerwał mu nieco ostrym tonem:

— Pani nie potrzebuje nic wyjaśniać, bo przecież pan nie przypuszcza chyba...

— Ależ bez wątpienia, — rzekł pan Simmons — że nikt z nas nie przypuszcza, że pani przybyła tutaj, nie mając po temu prawa. Zamiast czterech medali było pięć, a panna Liljana swój medal gdzieś zagubiła.

Liljana powtórzyła z naciskiem:

— Nie zgubiłam i jeżeli medal zniknął z tego woreczka...

Liljana chciała powiedzieć:

— ...jeżeli medal zniknął z woreczka, to znaczy, że mi go skradziono.

Nie dokończyła zdania. Serce ścisnęło się jej nagle, nieopisaną trwogą. Liljana zrozumiała sens tego oskarżenia i problem wyłonił się przed nią w całej swojej prostocie z jedynym możliwym rozwiązaniem.

— Cztery złote medale są na swoim miejscu. Mój medal, który miałam napewno, zniknął. A zatem jeden z tych czterech mężczyzn jest złodziejem.

Ten fakt niezaprzeczalny napenił ją niespodzianą pewnością. Trzeba było nadludzkiego wysiłku, aby się powstrzymać od wypowiedzenia tego przekonania. Nie należało się zdradzać zawczasie, nie można było płoszyć sprawcę kradzieży, dopóki Liljana sama nie wytknęła sobie dokładnego planu działania. Udając tedy, że akceptuje przypuszczenie notariusza, szepnęła:

— Istotnie, pan chyba ma rację, panie Simmons, zgubiłam ten medal. Ale w jaki sposób? Nie mogę sobie doprawdy wytłumaczyć, jakim sposobem mogłam go zgubić i kiedy?

Mówiła cicho, głosem zdradzającym roztargnienie. Pod lokami ciemnych włosów na czole jej ukazywały się cieniutkie zmarszczki, powstałe wskutek nateżenia myśli. Notariusz i czterej młodzi cudzoziemcy zamienili między sobą kilka zdań, na które wszakże młoda dziewczyna nie zwróciła żadnej uwagi. Potem umilkli i przez długą chwilę panowała cisza. Lampki elektryczne pogaszono. Wąski snop światła z okna padał wprost na Liljanę. Młoda dziewczyna była blada, tak blada, że sama zdawała sobie z tego sprawę i ukryła twarz w dłoniach.

Poprzez przymknięte powieki widziała ona przed sobą mglisty jeszcze obraz czegoś strasznego. Trwała jednak ciągle w milczeniu i bezruchu w czasie, gdy w umyśle jej przesuwały się wszystkie wstrząsające zapytania i odpowiedzi, wszystkie niezbite argumenty i dowody.

Przypomniła sobie noc poprzednią, przepędzoną we wsi, kiedy wóz jej o mało co nie padł ofiarą pożaru. Kto podpalił i z jakich pobudek? Czyż wykluczonym był fakt, że jeden z tych ludzi, którzy przybyli na ratunek, korzystając z zamie-

szania przetrząsnął posłanie dyrektorki cyrku i wyjął z woreczka medal?

Złodziej, posiadając medal, powrócił spiesznie do ruin zamku i rozmieścił oddział swoich współpracowników, ukrywając ich w różnych zakątkach, które musiały mu być dobrze znanymi. Prawdopodobnie przed premierą w dniu 12 lipca 1925, urządzono próbę generalną z opryskiem, któremu powierzono rolę uspiętego lorda... Obiecano mu sowitą nagrodę, w razie powodzenia, grożono w razie oporu lub klęski.

A w południe, rabuś medalu, spokojnie zjawił się przed wieżą zegarową, tak jak wszyscy inni, pokazując swój medal, najzupełniej autentyczny i asystował przy lekturze testamentu.

Potem przyszła kolej na pochód do wieży i zmartwychwstanie lorda. Jeszcze chwila, a Liljana byłaby wręczyła rzekomemu zmartwychwstałemu pradiadkowi kodycył i cel byłby osiągnięty.

— On jest tutaj — myślała z rozpaczą Liljana — uciekł z więzienia, on jest tutaj. Zdemaskowany współpracownik zdradziłby go i wydał nam, więc go zabił. Tylko on sam potrafi działać tak pewnie i tak okrutnie, on jest tutaj. Pozbył się swojej brody i swoich szkieł, zgolił sobie włosy na głowie, rękę zawiesił na temblaku, przebrał się za rosyjskiego żołnierza, zmienił chód i ruchy, nie wymawiał cały czas ani jednego słowa, przez co utrudniał poznanie go. Ale to jest napewno Erwing. Obecnie oczyszcza jego utkwione są we mnie. On się waha, zadaje sobie pytanie, czym się domyśliła jego obecności w tem przebraniu... czy może jeszcze grać komedję? A może też on zdemaskuje się z kolei i z rewolwerem w ręku zechce nas zmusić do wydania kodycyła, to znaczy djamentów.

Liljana nie wiedziała co począć. Gdyby na jej miejscu był mężczyzna podobnego do niej usposobienia, to napewno rozstrzygnąłby kwestję z miejsca, rzucając się odrazu na nieprzyjaciela. Ale kobieta?

Przedewszystkiem nogi uginały się pod nią. Odczuwała trwogę; nietylko o siebie się bała, ale o tamtych trzech młodzieńców, których Erwing mógł zabić strzałami z rewolweru.

Odsłoniła twarz i zobaczyła, że wszyscy czterej utworzywszy koło, czekają. I Erwing jest wśród nich. Czują na sobie jego pełne okrucieństwa spojrzenie, śledzący najlżejszy jej ruch i usiłujący przeniknąć jej intencje. Postąpiła kilka kroków ku drzwiom. Chodziło jej o to, aby się dostać do tych drzwi, zatarasować drogę nieprzyjacielowi, spojrzeć mu twarzą w twarz i stanąć pomiędzy nim a tymi trzema młodymi. Przyciśnięty do ściany, bez możliwości ucieczki, mniej miał szans pomyślniej walki z trzema młodymi, silnymi i odważnymi mężczyznami.

Postąpiła jeszcze kilka kroków, prawie niedostrzegalnie, potem jeszcze krok, trzy metry dzieliło ją jeszcze od drzwi.

Odezwała się w ten sposób, jak gdyby myśl o zaginionym medalu, nie przestawała jej zajmować.

— Musiałam go zgubić wczoraj, wyjmowałam go z woreczka i zapomniałam widocznie włożyć z powrotem.

Nagle skoczyła ku drzwiom. Zapóźno. W tej samej chwili, kiedy się gotowała do skoku, Erwing, uprzedzając ją, zajął stanowisko przed drzwiami i wyciągnął przed siebie ręce, uzbrojone w dwa rewolwery.

Scena ta rozegrała się w milczeniu, bez jednego słowa. Nie trzeba było jednak żadnych słów, aby obecni mężczyźni zrozumieli, że mają przed sobą mordercę fałszywego lorda. W pierwszej chwili instynktownie cofnęli się w tył, ale potem rzucili się naprzód, gotowi do walki.

Liljana zdołała ich zatrzymać w chwili, kiedy Erwing miał strzelić. Zastąpiła ich własnym ciałem, przekonana, że bandyta nie pociągnie za cyngiel.

Istotnie nie strzelił, lecz mierzył prosto w jej ser-

ce. Młodzi ludzie byli unieruchomieni, a on, lewą ręką, z której jednak nie wypuszczał drugiego rewolweru, szukał zamku w drzwiach.

— Ależ niech nas pani puści — krzyknął Amerykanin.

— Jeżeli postacie krokiem naprzód, on mnie zabije — oświadczyła Liljana.

Tamten nie mówił ani słowa. Uchylił drzwi poza sobą, przycisnął się do ściany i nagle wyskoczył. Trzej młodzieńcy rzucili się ku niemu niby brylanty spuszczone z łańcucha, ale zatrzymała ich zapora ciężkich drzwi.

Rozdział XV.

Kapitan Pery porwany.

Przez jakieś dwie minuty po ucieczce Erwinga, panowało zamieszanie. Amerykanin i Francuz na próżno usiłowali otworzyć stary zamek, którego mechanizm wskutek zardzewienia źle funkcjonował. Wściekli, zrozpaczeni, że wróg wymknął się im z rąk, przeszkadzali jeden drugiemu i wysiłki ich nie prowadziły do niczego.

Włoch, również silnie podniecony, wołał:

— A dajcież spokój, co wy wtrabiacie, przecież to Erwing, nieprawdaż kuzynko? To ten człowiek, o którym pani mówiła? To on zamordował swojego współnika i ukradł pani medal? Santa Maria, spieszcie się.

Liljana usiłowała przemówić im do rozumu i uspokoić ich nieco.

— Poczekajmy błagam was. Zastanówmy się. Należy zebrać myśli... Przecież to szaleństwo działać tak na chybił trafił.

Ale oni nie słuchali jej i gdy tylko drzwi otwarto, wszyscy trzej rzucili się na schody, pomimo, że młoda dziewczyna wołała za nimi.

— Błagam was, uważajcie! Oni tam są na dole,

czyhają na was! W tej chwili przeraźliwy gwizd wstrząsnął powietrzem.

Liljana pobiegła do okienka. Nie mogła jednak nie stamtąd zobaczyć i pytała sama siebie z rozpaczą.

— Co to ma znaczyć? Przecież nie wzywa swoich współników, bo są teraz przy nim. Więc jakież cel tego sygnału?

I ona zamierzała odejść z kolei, gdy nagle poczuła, że ktoś ją chwyta za suknię. To notariusz, który w chwili zdemaskowania się Erwinga wtulił się w najciemniejszy kąt, błagał ją teraz drżącym głosem.

— Przecież pani nie pozostawi mnie tutaj samego z tym trupem. A potem, ten bandyta z rewolwerami może powrócić i jego współnicy.

Błagał ją już prawie na klęczkach. Podniosła go.

— Nie mamy czasu do stracenia; trzeba dać pomoc naszym przyjaciółom.

— Pomoc? — zapytał. — Przecież oni silniejsi od nas.

Liljana ciągnęła go za rękę, jakby prowadziła dziecko. Utykając, zeszli do połowy schodów. Notariusz jęczał i popłakiwał a Liljana szeptała.

— Co znaczył ten sygnał? W jakim celu go dawano?

— Myśl coraz jaśniej koncentrowała się w jej mózgu. Przypomniła sobie czterech chłopców pozostawionych tam w wozie. I ta myśl o nich tak ją opanowała, że prawie zapomniała o swym towarzyszku.

— Co tam takiego się dzieje — wyjąkał Simmons, — to odgłosy jakiejś walki.

— Nic nie słyszę — rzekła Liljana.

Wyjrzała przez otwór w murze i zobaczyła przyczepioną do ściany sznurową drabinkę.

— To dobrze — rzekła sobie. — Widocznie Erwing posługiwał się tem wyjściem. Na wypadek niebezpieczeństwa można się ratować.

Ratunek ten wydawał się mniej łatwym notariuszowi, który zaczął znowu jęczeć.

— Nigdy w życiu, tędy miałbym schodzić?

— A cóż to wielkiego. Załedwie 10 m, 2 piętra.

— Ależ to poprośtu samobójstwo.

— Woli pan nóż bandyty. Przypominam panu, że Erwing dąży do jednego celu: do zdobycia kodycyłu, a ten ma pan przy sobie.

Przerażony notariusz zgodził się na ten ryzykowny sposób ucieczki pod warunkiem jednakowoż, że Liljana zejdzie pierwsza, aby się upewnić, czy drabina jest w dość dobrym stanie i czy nie brakuje żadnego stopnia.

Liljana jednak mało się troszczyła o stopnie. Uchwyciwszy się drabinki rękami, zesunęła się po niej zręcznie w dół. Potem, przytrzymując drabinkę, starała się ją uczynić możliwie pewną. Niemniej notariusz do przebycia tej stosunkowo krótkiej drogi zużył olbrzymią ilość energii i odwagi. Jeszcze parę minut a byłby zemdłał. Pot spływał mu wielkimi kroplami po twarzy.

— Teraz słyhać — rzekła Liljana.

Notariusz wprawdzie nic nie słyszał, ale zaczął biec naprzód, utykając jednak co chwila i zużywając resztki tchu.

— Ścigają nas. Atak jest nieunikniony.

Boczna ścieżka zarośnięta krzewami doprowadziła ich do głównej dróżki. Wokół było pusto, poza nimi również nie było nikogo.

— A hultaje, łajdacy! Skoro tylko dojdziemy do pierwszych domów, natychmiast wyszłę kogoś do najbliższego posterunku żandarmerji. Potem zmobilizuję wieśniaków ze strzelbami, z kosami, cepami, z czem tam popadnie, a jaki jest pani plan?

— Nie mam dotychczas żadnego planu?

— Jakto, pani nie miałaby planu?

— Nie — odparła — działałam tak trochę na los szczęścia, lękam się.

— A, więc i pani?

— Ale ja się nie o siebie lękam.

— A o kogo?

— O moje dzieci.

Notarjusz krzyknął zdziwiony:

— Co? Pani ma już dzieci?

— Pozostałam je w oberży.

— A ileż pani ma tych dzieci?

— Czworo.

Mister Simmons oniemiał poprostu, i dopiero po chwili ochłonawszy ze zdumienia zapytał:

— Czworo dzieci? A od jak dawna pani jest zamężna?

— Wcale nie jestem zamężna — odparła swobodnie Liljana, nie zwracając uwagi na nieopisane zdumienie pocziwego notarjusza. — Muszę je zabezpieczyć, na szczęście Wil nie jest wcale głupi.

— Któż to Wil?

— To najstarszy z tych smarkaczy. Bardzo sprytny chłopak.

Notarjusz zrezygnował już z tego, aby cośkolwiek mógł zrozumieć, zresztą w tej chwili obchodziło go tylko to, czy spotka się z tamtymi, zanim przyjdzie im przesuwać się przez wąski przesmyk djabelski.

— Biegnijmy, biegnijmy — wołał, chociaż zadyszka zmuszała go do coraz większego zwolnienia kroku. — A teraz proszę pani, niech pani weźmie tę drugą kopertę. Dlaczegożbym to ja miał nosić przy sobie tak niebezpieczny dokument, który zresztą mnie właściwie nie obchodzi.

Odebrała od niego kopertę i ukryła w swym woreczku. Wkrótce znaleźli się przed wieżą zegarową.

Notarjusz, który posuwał się naprzód już z wielkim trudem, spocony i zziąjany, wydał okrzyk radości, widząc że jego osiołek szczypie trawę najspokojniej w świecie, obok niego pasły się oba konie. Motocykl pozostawał również na dawnym miejscu.

— Pani wybacz.

Notarjusz wdrapał się na swego kłapouchego wierzchowca. Osioł zaczął od tego, że zamiast iść

naprzód, cofał się w tył. Wprowadziło to pocziwego notariusza w takie zdenerwowanie, że zaczął okładać głowę i grzbiet osła pięścią oraz kijem. Osioł zdecydował się nagle poddać jego woli i ruszył naprzód jak strzała.

Liljana zawołała za nim:

— Proszę uważać, mistrzu Simmons, współnicy, Erwinga są uprzedzeni!

Notariusz dosłyszał, obrócił się nagle twarzą ku Liljanie i gwałtem usiłował zatrzymać rozpędzone zwierzę. Ale osioł nie dał się już pohamować w biegu i za chwilę Liljana zobaczyła notariusza na osle już w znacznym oddaleniu.

Szła tedy dalej sama z coraz większym niepokojem w sercu. Nie miała żadnych wątpliwości. Ów gwizd Erwinga był sygnałem dla jego współników rozmieszczonych w różnych punktach skalistego cypla.

— W każdym razie — myślała Liljana — jeżeli ja nie zdołam przejść, to przedostanie się pan Simmons, który powiadomi i ostrzeże Wila.

Miała przed sobą morze bardzo spokojne i silnie szafirowe. Wąska ścieżka wiodąca ku wybrzeżu, zacierając się chwilami. Dwa razy Liljana ujrzała w dali sylwetkę notariusza na osle.

W chwili, kiedy sama zbliżała się już do linji drzew, dał się słyszeć strzał i w powietrze wzbił się obłok dymu.

Ozwały się krzyki, wołania a potem znowu zapanała cisza.

Liljana przyspieszyła kroku, chcąc dać pomoc notariuszowi, który zapewne padł ofiarą zamachu. Ale po upływie kilku minut musiała co tehu uciekać ze ścieżki, aby nie zostać stratowaną przez osła, który pędził w szalonym galopie, dźwigając na swym grzbiecie jeźdźca, trzymającego go kurczowo obiema rękami za szyję.

Mister Simmons, którego głowa zwiślała z drugiej strony, nawet jej nie zauważył.

Liljana postanowiła za wszelką cenę wy dostać

się z cyplu, albowiem tylko ona sama mogła powiadomić Wila o tem, co się stało. Nagle spostrzegła na zakręcie sylwetki dwóch mężczyzn, idących wprost na jej spotkanie. Byli to wspólnicy Ervinga. Zatarasowali oni drogę notariuszowi a obecnie czyhali na nią. Liljana szybko rzuciła się w bok, przylgnęła całym ciałem do wilgotnej ziemi i przykryła się płaszczem z opadłych liści.

Tamci dwaj przeszli bez słowa. Słyszała ciężki odgłos ich kroków. Szli oni w stronę ruin, a kiedy odważyła się unieść głowę, zniknęli już. Liljana nie widząc przed sobą żadnych więcej przeszkód, ruszyła w dalszą drogę. Skonstatowała, że barona Doberty i jego starej przyjaciółki nie było już nad brzegiem owej kałuży, spokojnie zesła w dół ścieżką i wkrótce ujrzała przed sobą budynek oberży. Zanim jeszcze zbliżyła się do gospody, zaczęła nawoływać:

— Wil, Wil!

Złe przeczucia potęgowały się w jej duszy. Na wołanie jej nikt nie odpowiedział. Przeszła przez sad koło stodoły nie spotykając nikogo, a wreszcie otworzyła drzwi swojego wozu.

I tam pusto zupełnie. Pozostały tylko sprzęty, ale nie było żadnej żywej istoty.

— Wil, Wil! — zawołała.

Znowu żadnej odpowiedzi. Pobiegnęła tedy do oberży i tym razem weszła do wnętrza.

W małej salce z ladą, na której stały napoje, nie było nikogo. Znaczyły się jednak ślady jakiejś walki. Stoły i ławy były poprzewracane. Na stole stała butelka napoczęta i trzy kubki do połowy wypełnione trunkiem.

Liljana zawołała:

— Pani gospodyni!

Zdawało się jej, że słyszy jakiś jęk i zbliżyła się do lady. Za ladą przywiązana do nogi stołu leżała oberżystka zgięta we dwoje. Ręce i nogi miała związane a usta zakneblowane chustką.

— Czy pani ranna? — zapytała Liljana, wyjmując jej z ust knebel.

— Nie, nie.

— A chłopcy? — zapytała młoda dziewczyna głosem nieco drżącym.

— Nic się im z tego nie stało.

— Gdzie oni są?

— Na wybrzeżu, zdaje mi się.

— Czy wszyscy?

— Brakuje tylko tego najmniejszego.

— Kapitana Pery?

— Zdaje mi się, że się tak nazywa.

— Boże wielki, cóż się z nim stało?! Porwano go? Kto go porwał?

— Porwało go dwóch obcych mężczyzn, którzy weszli tutaj i zażądali czegoś do picia. Mały bawił się koło mnie płatając mi się pod nogami. Starsi chłopcy znajdowali się gdzieś w głębi sadu, poza stodołami i nie było ich nawet słyhać. I nagle jeden z tych obcych chwycił mnie za gardło a drugi porwał na ręce malca. „Ani słowa“ — powiedzieli mi, — „bo inaczej zadusimy cię jak szczenię, gdzie tamci chłopcy?“ — wpadło mi na myśl odpowiedzieć, że poszli na ryby i znajdują się prawdopodobnie gdzieś wśród skał nad morzem. „Czy ty prawdę mówisz stara?“ — zapytali — „jeżeli kłamiesz, przypłacisz to życiem, przysięgnij!“

— „Przysięgam!“

— A ty smyku, odpowiadaj, gdzie są twoi bracia?“

— Oh, proszę pani, jaki strach mnie ogarnął, mały płakał, ale powtórzył to samo wiedząc, że to nieprawda.

— „Oni łapią ryby tam wśród skał“.

— Potem przywiązali mnie, wcisnęli mi do ust chustkę i powiedzieli:

— „Pozostaniesz tutaj, a my powrócimy jeszcze, a jeżelibyśmy cię tutaj nie znaleźli, to strzeż się starucho!“

— Odeszli unosząc ze sobą chłopca, którego jeden zawiązał w swój surdut, oto wszystko.

Liljana bardzo blada słuchała pilnie wchłaniając poprostu każde słowo. Zapytała wreszcie:

— A Wil?

— Wrócił może w pół godziny potem, być może, że chciał zabrać tego małego, znaleźli mnie i opowiedziałam mu całą historję.

— Ach — zawołał ze łzami w oczach. — Co matczka na to powie?

— Chciał przeciąć krępujące moje więzy, ale nie zgodziłam się, obawiając się, że bandyci powrócą. Wówczas odszedł zabrawszy ze sobą starą strzelbę bez naboju, okropnego grata, który był jeszcze własnością mojego nieboszczyka ojca.

— Ale dokądże poszedł? — zapytała Liljana.

— Doprawdy, że nie wiem.

— I jak to dawno temu?

— Już dobra godzina.

— Dobra godzina? — wyszeptwała Liljana.

Tym razem oberżystka zgodziła się na przecięcie jej więzów. Skoro się tylko z nich wyswobodziła odparła Liljanie, chcącej ją posłać do urzędu telegraficznego:

— Do urzędu telegraficznego? Sześć kilometrów? Skądże jaby tam tyle sił znalazła? Najlepiej byłoby gdyby pani sama wzięła nogi za pas i pobiegła tam.

Tej rady Liljana jednakowoż nie zamierzała posłuchać. Przedewszystkiem musiała powrócić do ruin, aby tam podjąć walkę. Nie wdając się w dalsze dyskusje z oberżystką skierowała swe kroki znowu w stronę zameczyska.

A zatem atak przez nią przewidziany istotnie nastąpił, ale o godzinę wcześniej, to znaczy jeszcze przed owym sygnałem.

Porwanie małego Pery stanowiło snąc integralną część planu Erwinga. Liljana rozumiała dobrze motywy tego porwania. W podjętej walce chodziło nie tylko o djamenty, ale o inną jeszcze zdobycz,

której Erwing pożądał równie gwałtownie. Prócz tego Pery w jego rękach był koskonałym zakładnikiem. Cokolwiekby się stało. Liljana zmuszoną będzie go błagać o łaskę. Dla ocalenia malca przed pewną śmiercią lub torturą nie cofnie się przed żadnem poświęceniem.

— Ach, potwór — wyszeptała Liljana — nie omylił się, trzyma mnie w swej mocy.

Zadrżała na myśl o niebezpieczeństwie grożącym małemu.

W drodze Liljana nie spotkała nikogo i bez żadnej przeszkody dostała się na skalistą platformę cyplu.

W tej chwili posłyszała odgłos detonacji. Ktoś strzelił w ruinach.

— Do kogo to strzelano? Czyżby do notariusza? Albo może do jednego z trzech młodych ludzi?

— Ach — pomyślała pełna trwogi — może nie powinnam była porzucić swych trzech przyjaciół? Razem w czwórkę mogliśmy się bronić. A tymczasem teraz jesteśmy rozłączeni i przez to bezsilni wobec wspólnego wroga.

W momencie, gdy Liljana weszła w pierścień starych murów, panowała tam zupełna niezamącona cisza. Jedyne tylko odzywały się ptaszęta.

— To okropne — szepnęła Liljana — co to ma znaczyć? Czyżby wszystko było skończone? A może jeszcze nie się nie zaczęło i przeciwnicy wzajemnie na siebie czyhają? Z jednej strony moi trzej kuzynkowie, z drugiej Erwing ze swymi współnikami. Spiesznie podążyła w kierunku wieży zegarowej. Tam stwierdziła, że dwa konie przywiązane, a obok nich osioł pasą się jak najspokojniej. Grzbiet osła lśnił cały od potu.

— Co się stało z notariuszem? Czy zdołał przyłączyć się do grupy młodych cudzoziemców? Może jego wierzchowiec uparty zrzucił go na ziemię i przez to oddał w ręce nieprzyjaciela?

I tak mnóstwo pytań nasuwało się Liljanie —

pytań, na które niepodobna było dać stanowczej odpowiedzi.

Liljana nie była płochliwą, ale obecnie całą wrażliwością odczuwała bliskość niebezpieczeństwa. To poczucie nie powstrzymywało jej jednak w dążeniu do celu. Postanowiła szukać dopóty, dopóki nie odnajdzie swoich przyjaciół i małego Pery. W myśl tego planu skierowała swe kroki ku starej wieży, w której lord miał oczekiwać na swe nieudane zmartwychwstanie.

Samotność i bezwzględna cisza coraz więcej ją przygnębiały. Liljana nagle zaczęło się zdawać, że jednak nie jest sama, że ktoś ją szpieguje, że ktoś śledzi jej kroki, że lada chwila wpadnie w zastawioną przez niewidzialnych wrogów pułapkę.

Wrażenie to było tak silne, że Liljana, która dobrze знаła swoją naturę i wiedziała, że przecucia jej najeczęściej sprawdzają się, uznała wreszcie swoje podświadome przypuszczenia za pewnik.

Upłynęły dwie minuty. Nic nie zdawało się wskazywać na obecność wrogów, których Liljana przeczuwała nerwami. Ale logika wypadków nakazywała, by oni tam byli. Należało tedy tak postępować, jakby istotnie się tam znajdowali. Wiedzioma jakimś instynktem wyjęła swój woreczek, wzięła kopertę i zmięła ją w dłoni na kulkę papieru.

Potem postąpiła jeszcze kilka kroków naprzód. Nagle coś zważyło się poza nią z olbrzymim hałasem. To spuszczone stary most zwodzony zamykając jej w ten sposób odwrót.

Rozdział XVI.

Ostatnie ćwierć minuty.

Liljana nawet nie odwróciła głowy. Wiedziała już, że ją uwięziono.

— Nie myliłam się — przemknęła jej przez mózg myśl — to oni są zwycięzcami, ale co się stało z tamtymi?

Na prawo otwierało się przed nią wnętrze klatki

schodowej. Może mogłaby uciec tamtędy przy pomocy owej drabinki sznurowej? Jakież byłby cel jednak? Wszakże fakt, że Pery był porwany zmuszał ją by walczyła do końca, pomimo że walka zdawała się nie mieć żadnych szans zwycięstwa. Ażeby ocalić chłopca należało rzucić się na arenę w krąg dzikich drapieżnych bestyj.

Szła dalej. Pomimo, że była sama, bez przyjaciół, czuła się spokojną. Idąc, opuściła rękę wzdłuż swojej sukni i mała kulka papieru potoczyła się po ziemi i zniknęła wśród kamyczków i pyłu drogi.

Nagle, jakby z pod ziemi, wyrosło przed nią dwóch mężczyzn, mierzących do niej z rewolweru.

— Ani kroku dalej, żadnego ruchu!

Wzruszyła ramionami.

Jeden z napastników powtórzył twardym głosem:

— Najmniejszego ruchu, bo strzelam!

Spojrzała na nich uważnie. Byli to dwaj ludzie o tępych fizjognomjach w ubraniu marynarskiem. Zdawało się jej, że rozpoznaje te dwa indywidualia, które towarzyszyły Erwingowi na fermie Doberty.

Spokojnym głosem odezwała się:

— Gdzie dziecko? Coście zrobili z chłopcem? Bo to wyście go porwali, nieprawdaż?

Brutalnie pochwycili ją za ramiona. Jeden z nich groził jej rewolwerem, a drugi zaczął przetrząsać odzienie. Ale nagle wstrzymali się, bo głos rozkazujący rzekł:

— Zostawcie ją, ja się nią zajmę!

Człowiekiem, który wymówił te słowa, był sam Erwing.

Pomimo, że tkwił jeszcze w swem przebraniu rosyjskiego żołnierza, ale nie przypominał już absolutnie potulnego Iwanowa. To był ten dawny Erwing o wyzywającym i złym wyrazie twarzy, stąpający pewnie i stanowczo. Ponieważ zgolił włosy, więc uwidoczniło to przyplaszczony, małpi kształt jego czaszki.

Chwilę trwał bez słowa. Czy napawał się swym tryumfem? Możliwyby rzec raczej, że odczuwał ja-

kieś zakłopotanie wobec swej ofiary albo przynajmniej, że wahał się przed rozpoczęciem ataku.

Przechadzał się tam i z powrotem z założonymi po napoleońsku za plecy rękami, zatrzymywał się, znowu zaczynał przemierzać teren wielkimi krokami wreszcie przystanął przed Liljaną i zapytał:

— Nie masz broni przy sobie?

— Żadnej — odparła.

Rozkazał swoim pomocnikom odejść, a potem zaczął znowu spacerować bez słowa.

Liljana śledziła go uważnie, szukając na tej twarzy czegoś ludzkiego, czegoś, coby dawało jakiś punkt zaczepienia. Nie mogła jednak tam nie dojrzeć oprócz podłości i chytryści. Musiała tedy liczyć tylko na samą siebie. Nie jej nie mogło pomóc, oprócz własnego sprytu i przenikliwości.

Spojrzenia Liljany i Erwinga skrzyżowały się. Erwing zaczął pierwszy:

— Ah, jakaś ty dzisiaj śliczna, szelmutko! Podobasz mi się. Szkoda, że mnie tak nienawidzisz.

Podszedł ku niej bliżej.

— Bo to nienawiść, nieprawdaż Liljanko?

Cofnęła się o krok wstecz. Erwing zmarszczył brwi.

— Ach tak, wiem, twój ojciec... no, ale twój ojciec był chory, nie żyłby i tak. A zresztą, tak prawdę mówiąc, to właściwie nie ja go zabiłem.

— Tak, jak pan nie zabił swojego współnika, tego fałszywego lorda?

Erwing zachichotał:

— Nie mówmy o tym głupcu, nie warto wspominać nawet o nim. Był to tchórz i w dodatku taki niewdzięcznik, że gotów był mnie zdradzić. Jak się tego zresztą spytnie domyśliłaś. Bo twojej przenikliwości nie nie ujdzie. Rozwiązanie najtrudniejszych problemów jest dla ciebie igraszka. Ja przecież, rozporządzając raportem owego starego slugi, którego — jak się zdaje — jestem potomkiem, potrzebowalem całych lat, na odgadnięcie tego. czego ty się domyśliłaś w przeciągu kilkunastu mi-

nut. I żadnego wahania, ani jednej pomyłki. Przegładnęłaś moją grę, jak gdybyś miała moje karty w rękę. A co mnie najwięcej dziwi, to twoja zimna krew w tej chwili, albowiem moja mała, ty wiesz dobrze o co chodzi?

— Wiem.

— Jakto, i jeszcze nie na klęczkach przede mną— krzyknął. — Zaprawdę, oczekiwałem, że błagać mnie będziesz, że będziesz się włożyć u moich nóg. A tymczasem ty patrzysz mi prosto w twarz, jak gdybyś mnie prowokować chciała?

— Nie prowokuję, słucham.

— A zatem możemy przystąpić do uregulowania naszych rachunków. Mamy dwa rachunki: pierwsze konto Liljany — uśmiechnął się lekko — ale o tem nie będziemy mówili jeszcze, zostawimy sobie to na koniec. No, a teraz konto djamentów. Byłbym już w tej chwili właścicielem, gdybyś ty nie przejęła nieodzownego dokumentu. Notariusz Simmons, kiedy mu przyłożono rewolwer do skroni, wyznał, że ci oddał drugą kopertę. Masz mi ją wręczyć natychmiast, bo jeżeli nie...

— Jeżeli nie?

— To tem gorzej dla twojego małego kapitana.

Liljana zapanowała na tyle nad sobą, że nawet nie zadrżała.

Oczywiście, rozumiała dobrze sytuację i zdawała sobie sprawę z faktu, że obecna walka toczyła się w daleko gorszych warunkach, niż wówczas w posiadłości dziadka Roberta.

Tam mogła oczekiwać pomocy, tutaj — żadnego ratunku z zewnątrz.

Wszystko jedno, niech będzie co chce, w walce z takim człowiekiem, jak Erwing nie wolno okazać słabości. Zwycięstwo osiągnie ten, kto do końca zachowa zimną krew i zdoła uchwycić moment, w którym będzie mógł zapanować nad swoim przeciwnikiem.

— Trzeba wytrwać do końca — myślała — do

końca, nie do ostatniego kwadransa, ale do ostatniej ćwierci ostatniej minuty.

Spojrzała spokojnie i pogardliwie w twarz swemu wrogowi i wyrzekła tonem, który brzmiał raczej rozkazująco:

— Uwięziono tutaj małą istotę, która cierpi, przedewszystkiem nakazuję panu uwolnić tego chłopca.

— O, o! — zawołał zdziwiony Erwing — panienka rozkazuje, a jakimże to prawem?

— Prawem, jakie nadaje mi pewność, że wkrótce będzie pan musiał mi być posłusznym.

— A któż mnie do tego zmusi?

— Moi trzech przyjaciele: Norris, Marchesini i Rimbaud.

— Rzeczywiście, rzeczywiście — rzekł. — Ci panowie to są silni chłopcy, wyćwiczeni sportowo, masz rację, że liczysz na tych nieustraszonych zuchów.

Skinął na Liljanę, aby szła za nim. Poprowadził ją ku trzem małym salkom, które dawniej były celami więziennymi. W każdej z tych celek leżał jeden z młodych cudzoziemców, związany tak silnie postronkami, że przypominał mumję. Trzech mężczyzn uzbrojonych w karabiny pilnowało więźniów. W czwartej celce leżały zwłoki fałszywego lorda, w piątej znajdowali się notariusz Simmons i mały Pery. Dziecko zawinięte było szczelnie w kołdrę. Z ponad kawałka materji, kryjącego dolną część twarzy, biedne oczęta pełne łez uśmiechały się do Liljany.

Młoda dziewczyna z trudem stłumiła łkania, które ją dusiły w gardle. Nie rzuciła żadnego przekleństwa, nie obsypała sprawcę tego niecnego czynu żadnymi wymówkami, ani obelgami.

— No i cóż — roześmiał się Erwing — co myślisz o twoich obrońcach? A jakie jest twoje zdanie o mnie i moim oddziałku? Trzech towarzyszy pilnuje więźniów, dwaj inni pozostali na posterunku i pilnują, żeby się ktoś niepowołany nie zbli-

żył. Mogę być spokojny, co? Doprawdy nie rozumiem, moja piękna panienko, dlaczego ich opuściłaś? Gdybyś przy nich pozostała, to kto wie, jakby się rzecz obróciła, ale tak... to wyłowilem tych głupców jednego po drugim. Bronili się wprawdzie, ale nie podołali. Najwięcej kłopotu miałem z zacnym panem notarjuszem, któremu musiałem przestrześcić kulą kapelusz, aby go skłonić do zejścia z drzewa, na które udało mu się wydrapać. Co się tyczy małego, to muszę mu przyznać, że to istny anioł łagodności. A zatem widzisz, moja mała, wszyscy twoi pomocnicy są unieszkodliwieni. Zmuszona jesteś tedy liczyć tylko na samą siebie, a to trochę mało.

— To zupełnie dosyć — rzekła — albowiem sekret djamentów zależy tylko odemnie, a zatem rozwiąże pan więzy moich przyjaciół i uwolni dziecko.

— A z jakiegoż to powodu?

— Z tego prostego powodu, że ja panu za to oddam kopertę lorda Rocheville.

Spojrzał na nią uważnie.

— Wiesz, że ta propozycja warta zastanowienia. A zatem naprawdę miałabyś się wyrzec djamentów?

— Tak jest.

— Więc daj mi tę kopertę.

— Przetnij najprzód więzy.

Nagły poryw gniewu wstrząsnął Erwingiem.

— Daj mi natychmiast tę kopertę, ja jestem panem sytuacji.

— Nie — odparła spokojnie.

— Chcę, nakazuję, żebyś mi oddała kopertę!

— Nie oddam — odparła ze wzrastającą siłą.

Nagłym ruchem ręki pochwycił woreczek przypięty szpilką do stanika.

— A — zawołał tryumfująco — notarjusz mi wyznał, że kopertę schowałaś do tego woreczka, tak jak medal i oto mam go już w ręku.

Ale woreczek był pusty.

Bandyta rozczarowany, szalejący wściekłym gniewem, potrząsnął pięścią przed twarzą Liljany.

— Ah, więc to tak, chciałaś mnie wziąć na kawał, gdybym się zgodził uwolnić twoich przyjaciół, byłbym pozostał z pustymi rękami. Dostyc tych żartów, natychmiast oddaj kopertę!

— Nie mam — podarłam ją.

— Kłamiesz! Nikt nie drze tak cennego dokumentu! Nie pozbawia się dobrowolnie posiadania takiego sekretu!

— Podarłam, wprzód zobaczywszy co tam napisane. Przetnij więzy moich przyjaciół, a zdradzę ci ten sekret.

— Kłamiesz, kłamiesz! — zawył. — Natychmiast mi oddaj kopertę! Czy sądzisz, że pozwolę dłużej drwić ze siebie? Mam już tego dosyć. Po raz ostatni powiadam ci, oddaj mi kopertę!

— Nie — odparła stanowczo.

Erwing przyskoczył jak ryś do jednej z celek, rozwinął malec z kołdry, chwycił go ręką za kark i zaczął balansować nim w powietrzu.

— Oddaj mi kopertę — wrzasnął — albo temu bachorowi rozbiję łeb o ścianę!

Wstrętną była jego twarz w tej chwili. Jakiś dziki wyraz zniekształcał jego rysy.

Liljana podniosła rękę, dając w ten sposób znak, że się zgadza.

Położył dziecko na ziemi i podszedł ku niej. Po twarzy spływały mu grube krople potu.

— Oddaj mi kopertę — rozkazał.

— Tam, pod sklepieniem u wejścia, na prawo, mała kulka papieru na ziemi wśród kamyków.

Erwing zawołał jednego ze swych współników i powtórzył mu tę wskazówkę. Tamten pobiegł w oznaczonym kierunku. Wkrótce potem wysłaniec powrócił, Erwing zwrócił się żywo ku niemu:

— No i cóż?

— Oto jest.

— Pewny jesteś? No, nareszcie, prawdziwe zwycięstwo.

Erwing prostował zmiętą kopertę. Obracał ją w rękę delikatnie, jak coś najbardziej cennego.

Koperty nie otwarto, pieczęcie nie były naruszone, a zatem nikt nie znał owej wielkiej tajemnicy, której panem miał się on stać za chwilę.

Mimowoli skryształizował tę myśl głośno w słowach:

— Nikt... nikt, prócz mnie...

Złamał pieczęć koperty. W koperce znajdowała się kartka papieru, złożona we dwoje, na której widniały trzy, czy cztery wiersze pisma.

Erwing przeczytał i zrobił zdziwioną minę.

— O, o! — rzekł — a to heca... teraz rozumiem, że nic nie znalazłem, ani żaden z tych, którzy również szukali. Ten stary warjat miał rację. Kryjówka jest nie do znalezienia.

Zaczął znowu w mileczeniu przemierzać teren szerokimi krokami, jak człowiek, który waży jakąś decyzję. Potem zawrócił i rzekł do trzech swoich pomocników, wskazując ręką na więźniów:

— Nie mogą uciec, nieprawdaż? Czy postronki dość mocne? Więc możecie teraz iść na wybrzeże i przygotować wszystko do odjazdu.

Na twarzach pomocników Erwinga odmalowała się wahanie.

— No, czego się wahacie? — zapytał wódz.

Jeden z nich zaryzykował pytanie:

— Ale cóż będzie ze skarbem?

Liljana zauważyła wrogi wyraz ich twarzy; bez wątplenia, nie ufali oni swemu przywódcy i nie mieli ochoty zostawić go samego przed ostatecznym podziałem łupu.

— Skarb! — krzyknął Erwing — no i cóż? Czy wam się zdaje, że go polknę? Idjoci! Swoją część dostaniecie, skoro wam to przyrzekłem i to wcale dobrą część.

Usiłował oddalić ich czempredzej, pragnął bowiem pozostać sam.

— No prędko, nie tracić czasu! Ah, byłbym zapomniiał, zawołajcie tamtych dwóch i weźcie ze so-

bę trupa tego lorda. Wrzucicie ciało do morza. No, jeszczeście tu?

Wspólnicy byli zbici z tropu. Nie mieli ochoty, stanowczo nie mieli ochoty odejść, ale przywódca ich wywierał na nich magnetyczny wpływ, więc z pomrukiem niechętnym usłuchali jego rozkazu.

— Szósta, — rzekł Erwing, spoglądając na zegarek — o siódmej połączę się z wami tak, abyśmy mogli odjechać jeszcze przed zupełnym zmrokiem. Niech tam wszystko będzie gotowe, doprowadźcie kabinę do porządku. Będziemy może mieli jednego pasażera więcej.

Spojrzał wymownie na Liljanę i rzekł:

— Pasażera, lub raczej pasażerkę. Nieprawdąż Liljano?

Nie odpowiedziała nic, pozornie ciągle równie obojętna, w istocie jednak serce jej przygniatąło coraz silniejsza trwoga. Rozstrzygający moment zbliżał się.

Trzymał w ręku kopertę i pismo lorda. Raz jeszcze rozwinął kartkę, przeczytał i zaklął.

— Nadzwyczajnie — wyszeptał, — pierwsza klasa, to zupełnie tak, jakby na dnie piekła. Ach ten lord, co to był za człowiek.

Wyjął z kieszeni zapalniczkę benzynową, zaświecił, przybliżył kartkę do płomienia. Papier zaczął się palić. Od tego płomienia Erwing z afektowaną noszolancją zapalił sobie papierosa.

Obrócił się następnie ku więźniom, a kiedy z dokumentu ich została tylko garstka popiołu, którą rozwiał wiatr, rzekł:

— Popatrzcie no moi młodzi piękni panowie. Oto wszystko co się wam może dostać z sekretu waszego dziadka. Garstka popiołu. Skończone. Zaiste musicie wyznać, iż trochę zamało mieliście sprytu. Trochę więcej sprytu przy waszym tupecie, byłoby wam zrobiło niezłe. A tak nie zdołaliście ani dla siebie zachować skarbu, który się wam prawem dziedzictwa należał, ani obronić waszej pięknej kuzynki, w której zadurzyliście się wszyscy po uszy.

Przecież sześcioro nas tam było. Wystarczyłoby, aby jeden z was wziął mnie za kołnierz. Nie byłbym się mógł obronić, a tymczasem moi panowie co za klęska. Tem gorzej dla was i tem gorzej dla nich.

Pokazał im swój rewolwer.

— Sądzę, że nie będę zmuszony go używać? A zresztą zauważyliście chyba, że przy najlżejszym ruchu sznury zaciskają się mocniej wokół waszych gardziołek. Jeżeli zaczniecie się szarpać to się po prostu udusicie. Zatem dowidzenia. Bawcie się jak możecie. A teraz kuzynko Liljano zajmę się tobą. Pójdź ze mną postaramy się dojść do porozumienia.

Wszelki opór był daremny. Liljana w milczeniu szła za swoim prześladowcą. Zatrzymali się wreszcie w cieniu starej, napół rozwalonej kolumnady.

— Tutaj możemy porozmawiać spokojnie. Twój adoratorzy nie mogą ani widzieć, ani słyszeć. O, nawet jest ławeczka, siadaj, proszę cię bardzo.

Nie usiadła, lecz skrzyżowała ręce na piersi i głowę trzymała prosto.

— To nasze trzecie spotkanie Liljano. Za pierwszym razem na tarasie w zamku Cornvey odrzuciłaś moje propozycje. Wydawałem ci się wówczas mało godnym uwagi awanturnikiem, którego pragnęłaś zgnębić. Plan twój był wcale dobry, usuwając najniebezpieczniejszego współzawodnika jednocześnie zawróciłaś głowę młodemu Doberty, odszukałaś medal i wybrałaś się w podróż po złote runo. Przyznaję ci, że działałaś cały czas z niezwykłą przenikliwością, bystro i inteligentnie, tylko, że Erwing jest przeciwnikiem, którego nie tak łatwo usunąć. Ucieczka, fikcyjny pożar, odebranie medalu, zdobycie kodycyła, wszystko to następowało kolejno po sobie. I oto obecnie cztery, wspaniałe djamenty należą do mnie, do mnie wyłącznie.

Bez względu na to, czy mieć je będę w rękach jutro, czy za tydzień, czy za rok, są one moją wyłączną własnością. Jestem więc obecnie bardzo bogaty,

wobec czego nie mi już nie przeszkadza, abym został przyzwyczajonym, uczciwym człowiekiem. Zwłaszcza, jeżeli Liljana zgodzi się dobrowolnie przyjąć miejsce pasażerki na moim stateczku. Czekam słowa odpowiedzi. Tak, czy nie.

Bez słowa wzruszyła ramionami.

— Wiedziałem czego się mam spodziewać — rzekł. — Chciałem jednak spróbować, zanim wezmę się do ostatecznych środków.

Oczekiwał na efekt tej pogróżki. Liljana ani drgnęła.

— Jak ty umiesz udawać spokój — wyrzekł tonem, w którym przebijało trochę zdenerwowania — a jednak zdajesz sobie dobrze sprawę z sytuacji.

— Zdaję sobie sprawę jak najdokładniej.

— Jesteśmy sami. Moimi zakładnikami są twój mały Pery i tamci trzej, których skinieniem palca mogę pozbawić życia. Jakże więc możesz być tak spokojną?

— Jestem spokojną, ponieważ wiem, że jesteś zgubiony.

— Czego też ty nie mówisz — roześmiał się.

— Jesteś nieodwołalnie zgubiony, nędzniku!

— I dlaczegoż to proszę?

— Przed godziną, skoro skonstatowałam, że Pery został porwany posłałam moich trzech chłopców do okolicznych wsi, aby natychmiast sprowadzili pomoc.

Erwing zaśmiał się szyderezo.

Zanim ta pomoc nadejdzie, ja będę już daleko.

— Jestem tego pewną, że przybędą.

— Być może, ale już zapóźno moja mała. Gdybym miał najlżejsze wątpliwości, kazałbym cię uprowadzić moim ludziom.

— Pańskim ludziom? o, nie.

— A cóżby mi przeszkodziło?

— Bo się ich boisz, pomimo, że usiłujesz się z tem nie zdradzić. Oni podejrzewają, że ich przywódca został tutaj dlatego, by zagarnąć dla siebie dżamenty. Mogłabym w nich znaleźć raczej sojuszniki.

ków. Nawet tak zuchwały bandyta, jak ten, którego mam przed sobą, nie ośmieliłby się tego zaryzykować.

— A zatem?

— A zatem mogę być zupełnie spokojna.

Potrząsnął głową i głosem zduszonym wyrzekł:

— Kłamstwo moja mała, komedja, bledsza jesteś od trupa, bo ty wiesz dobrze, jak się sytuacja przedstawia. To, że za godzinę może przybyć dla ciebie odsiecz, albo, że moi ludzie zdradzą mnie wkońcu, nie zmienia niczego w obecnym stanie rzeczy. Nie o to chodzi co będzie za godzinę, ale o to co jest teraz. A wszakże nie wątpisz Liljano, że stanie się teraz to, co się musi stać.

Podszedł ku niej bliżej jeszcze o kilka kroków.

— Od pierwszej chwili zadużyłem się w tobie jak głupiec. Tancerka na linie, akrobatka, hrabianka, złodziejka, awanturka, podoba mi się to wszystko. Dla kobiet miałem zawsze pogardę i żadną poważnie nie zajmowałem się w życiu. Ty jedna pociągasz mnie a zarazem budzisz we mnie trwogę. Czy to jest miłość, czy nienawiść? Raczej nienawiść. Jakaś choroba, od której muszę się zwolnić.

Stał tuż przy niej, pożerając ją swemi zębami, płonącami gorączką oczyma. Ręce jego bładziły wokół ramion młodej dziewczyny, gotowe każdej chwili wpić się niby szpony drapieżnego ptaka. Aby ująć jego uścisku, cofnęła się wstecz i przycisnęła plecami do muru.

— Dostyć tych żartów Liljano, dosyć tych czarów cygańskich. Zar twoich warg oto lekarstwo na moją chorobę. Potem odejdę, mogę cię już więcej nie widzieć, ale dopiero potem, zrozumiałaś.

Tak silnie przygniół jej ramiona, że zachwiała się. Usiłowała jednakowoż nie stracić zimnej krwi i zachować swoją obojętnie-pogardliwą minę.

— Rozumiesz, rozumiesz — bełkotał mężczyzna, gniotąc jej ramiona w brutalnym uścisku — niema

dla ciebie uciezki. Zemszczę się dzisiaj a zarazem wyzwolę się od ciebie.

Oblewał ją żarem swego oddechu, mówiąc jednocześnie z szyderczą radością:

— Widzę twogę w twoich oczach Liljano. Jakież piękne są w tej chwili twoje oczy. To prawdziwa nagroda zwycięzcy. Liljano, kocham cię. Zapomnieć miałbym o tobie? Co za szaleństwo! Jeżeli chcę całować twoje usta, to dlatego, aby cię jeszcze silniej kochać, abyś i ty mnie pokochała. Abyś poszła za mną jako moja niewolnica, moja królowa.

Chciał przycisnąć ją do swej piersi. Liljana próbowała wyrwać się. To go wprowadziło w szal wściekłości.

— O, nie, moja mała, porzuć myśl o oporze. Daj mi twe usta natychmiast, słyszysz! Jeżeli się będziesz opierała, tamten smarkacz przyplaci to życiem.

Liljana znajdowała się u kresu swych sił i energii. Nogi uginały się pod nią. Cała jej istota wzdrygała się ze wstretu. Próbowała odepchnąć bandytę, drżąc jednocześnie; aby Erwing nie uczynił jakiej krzywdy dziecku.

Dziewczyna czuła, że słabnie. Jeszcze chwila, a Erwing osiągnąłby swój cel.

Nagle widok niespodziewany uderzył oczy Liljany. Poza plecami Erwinga, w odległości kilku metrów coś się poruszało, coś przesunęło się przez otwór w murze. Była to lufa karabinu.

I wtedy Liljana przypomniała sobie, że Wil z oberży zabrał stary, bezużyteczny karabin bez naboju.

Nie wykonała żadnego ruchu, któryby mógł zwrócić uwagę Erwinga. Zrozumiała bowiem jak najdokładniej podstęp Wila. Chłopak groził, ale groźby swej wykonać nie mógł. Chodziło więc, iżby sam Erwing ujrzał nagle niebezpieczeństwo, które mu rzekomo grozi.

Liljana roześmiała się głośno. Jej śmiech tak

zaskoczył Erwinga, że osłupiał na chwilę ze zdumienia.

— Co się stało — zapytał, z czego ty się śmiejesz?

— Śmieję się ciągle z tego samego, że jesteś zgubiony.

— Naprawdę, co też ty mówisz najlepszego.

— Tak jest — oświadczyła — przecież już to raz powiedziałam i nie myliłam się.

— Zwarzjowałeś chyba?

— Bynajmniej, sytuacja jest ta sama co wtedy na fermie. Moi trzej chłopcy przyprowadzili pomoc i ta pomoc nadeszła. Lufy karabinów są ku tobie skierowane.

— Kłamiesz, to niemożliwe.

— A zatem obróć głowę a zobaczysz ich karabiny skierowane prosto w twoją pierś. Wystarczy jedno słowo moje a strzał padnie. No, obróć się.

Nie chciał wierzyć, nie chciał usłuchać a jednak obrócił głowę. Było to zaiste ostatnie ćwierć minuty.

Liljana odzyskała już całą swą energję i głosem osoby panującej nad sytuacją rozkazała:

— Ręce do góry, nędzniku albo zastrzele cię jak psa. Ręce do góry. No, strzelajcie tam. Ręce do góry.

Erwing ujrzał wymierzoną ku niemu lufę karabinu i podniósł ręce w górę.

Z błyskawiczną szybkością Liljana rzuciła się ku niemu, wyrwała mu z kieszeni marynarki rewolwer i mierząc mu prosto w skroń, wyrzekła spokojnie a pogardliwie:

— Widzisz idjoto — mówiłam ci przecież, że jesteś zgubiony.

Cała ta scena nie trwała dłużej, niż minutę. A jednak wystarczyło to, aby z gruntu odmienić sytuację. Zwyciężeni teraz tryumfowali. Liljana musiała działać szybko, wiedziała bowiem dobrze z kim ma do czynienia. Zdawała sobie z tego sprawę, że Erwinga na dłuższy dystans niepodobna oszukać

Nakazującym tonem, jak gdyby miała do rozporządzenia całą armję albo przynajmniej jakiś pluton żołnierzy, zakomenderowała:

— Niech jeden z was zostanie tutaj z karabinem gotowym do strzału, a inni niech natychmiast uwolnią więźniów. No, sprawcie się galopem. To na lewo od wejścia. Tymi innymi byli Kastor i Poluks, albowiem innymi pomocnikami Wil nie mógł rozporządzać. On sam pozostał na posterunku, celując ciągle do Erwinga z karabinu z r. 1870.

— Już doszli, wchodzą, szukają, może już znaleźli, rozwiązują sznury, śledziła myślą chłopców Liljana.

Powoli jednak skamieniałe z przerażenia rysy twarzy Erwinga rozprężyły się. Przyjrzał się on dokładnie lufie karabinu, posłyszał tupot dziecinnych nóg, tak bardzo różny od hałasu, jaki uczyniłby oddział dorosłych mężczyzn. Liljana zrozumiała, że Erwing przejrzał podstęp i zlekka się, aby jej nie uszedł zanim tamci powrócą.

Erwing opuścił nagle ramiona, zgrzytając zębami z wściekłości.

— Wzięłaś mnie na kawał — zawołał. — To twój smarkacze a karabin jest kawałkiem starego żelazki. Ty masz tupet i bezczelność.

— Ale mam także teraz i rewolwer.

— No dajmy temu spokój. Taka jak ty kobieta zabija dla własnej obrony, ale nie dla przyjemności morderstwa. Chcesz mnie wydać w ręce sprawiedliwości i cóż ci z tego przyjdzie? Czy ci to przywróci twoje djamenty? A ja przysięgam, że raczej dam sobie wyrwać język, aniżeli miałbym zdradzić ten sekret. Brylanty są moje, wezmę je kiedy mi się spodoba.

— Jeden krok jeszcze a strzele. —

— Wygrałaś partję — zgadzam się i odchodzę. Wytężył słuch.

— Słyszę głosy chłopców, znaleźli już Norrisa i jego towarzyszy. Zanim ich rozwiążą ja będę już daleko, Dowidzenia, zobaczymy się jeszcze.

— Nie.

— Owszem, mojem będzie ostatnie słowo. Naprzód djamenty, sprawy sercowe potem. Popelnilem błąd, mieszając te dwie rzeczy.

— Liljana potrzęsła przecząco głową. Nie będziesz miał tych djamentów. Powtarzam ci, jesteś zgubiony.

— Zgubiony, a to dlaczego?

— Już ja wiem dlaczego.

Miał właśnie coś odpowiedzieć ale postyszał jakiś głos tak blisko, że nie tracąc czasu dał susa i w jednej chwili zniknął.

Liljana skierowała przeciwko niemu rewolwer gotowa wystrzelić, ale po chwili opuściła broń i szepnęła:

— Nie, nie mogę, a zresztą poco, wszak mój ojciec i tak będzie pomszczony.

Poszła przywitać swych przyjaciół. Pierwszy podbiegł ku niej Norris.

— Gdzie on? — zawołał.

— Uciekł.

— Jakto, miała pani rewolwer i pozwoliła mu pani uciec?

Za Norrisem podążali tamci dwaj.

— Uciekł — zawołał Włoch, — ale jak, któredy?

Norris wyjął broń z ręki dziewczyny.

— Nie miała pani odwagi zabić — prawda?

— Tak, brakło mi odwagi.

— Ach, taki lotr, morderca, my się z nim nie będziemy bawić napewno, przysięgam pani. Za mną, przyjaciela.

Liljana zagroziła im drogę.

— Zapominacie o współnikach. Jest ich przecie pięciu, czy sześciu, a wszyscy są uzbrojeni w karabiny.

— W magazynie mego rewolweru jest siedm kul — zawołał Amerykanin.

— Wstrzymajcie się — błagam was — wołała Liljana, obawiając się nierównej walki. Zresztą to już zapóźno, oni pewnie odjechali

— Wkrótce się o tem przekonamy.
Trzej młodzi ludzie rozpoczęli pościg. Liljana chętnie towarzyszyłaby im, ale Pery czepiał się jej spódnicy i szlochał.

— Mateczko, mateczko, nie odchodź, ja się tak boję.

Wzięła dziecko na kolana i zaczęła pocieszać.

— Nie płacz, mój mały, biedny kapitanie, to się już skończyło. Ten brzydki zły człowiek nie powróci. Czyś podziękował Wilowi i twoim dwom braciszkom Kastorowi i Polluksowi?

— Gdyby nie oni, coby się z nami stało?

Serdecznie uścisnęła trzech chłopców.

— Ach, Wilu, cóż za wspaniały pomysł był z tym karabinem. Widzę, że ty naprawdę masz głowę na karku. Ach, moi chłopcy! moi drodzy chłopcy!

Obejmowała i całowała jednego po drugim, śmiejąc się rozkosznie i podśpiewując. Jakże pięknym wydawało jej się teraz życie, kiedy znikło groźne widmo straszego wroga.

Nagle Liljana przypomniała sobie coś.

— A notariusz? Zapomniałam o nim zupełnie.

Biedny notariusz leżał jeszcze w swoim przegodnym więzieniu, związany jak baran.

— Wilu, prędko rozetnij jego więzy. Wielki Boże, on zemdłał. No, no, mistrzu Simmons, niech pan przyjdzie do siebie, bo inaczej to zostawimy pana tutaj.

— Chcecie mnie zostawić? — krzyknął notariusz, który nagle odzyskał przytomność. — Nie zrobicie tego, wszakże nieprzyjaciel...

— Nieprzyjaciel uciekł, panie notariuszu.

— Może powrócić każdej chwili. To są jacyś okropni ludzie. Popatrzcie jak mi przedziurawili kapelusz.

— Ale nie zabili pana.

— Na szczęście nie, ale mam straszne bóle zewnętrzne i wewnętrzne.

— To przejdzie, panie notariuszu. Jutro nie będzie pan pamiętał nawet o tych dolegliwościach.

Zapewniam pana. Wilu, powierzam ci pana Simons, wymasuj go trochę to mu dobrze zrobi.

Liljana szybko odeszła, pragnąc odszukać swych trzech młodych przyjaciół. Wiedziała, że ich pogon, którą rozpoczęli bez obmyślanego uprzednio planu naraża ich na ponowne niebezpieczeństwo niewoli.

Na szczęście żaden z tych trzech nie wiedział, gdzie się znajduje statek Erwinga. Lawirując pomiędzy skałami wkrótce stracili orientację wśród labiryntu krzyżujących się ścieżek, tak, że w końcu znowu powrócili do zamku, gdzie spotkali się z Liljaną.

Liljana, lepiej się od nich orjentująca nie błędziła, ale prosto podała ścieżką, na której znalazły się ślady bandy.

Nagle młody Włoch, który szedł na czele, zawołał:

— Widzę ich, tam na wybrzeżu, ale co oni tam u diabła robią?

Norris nadbiegł już z rewolwerem w ręce.

— I ja ich tam widzę. Biegnijmy. Będziemy bliżej nich.

Liljana powstrzymała swych towarzyszy.

— Zabraniam wam ruszać się z miejsca. To byłoby szaleństwem.

— Mam przecież rewolwer — zawołał Norris.

— A oni mają karabiny. A zresztą jesteśmy tam zupełnie zbyteczni. Ten dramat rozgrywa się bez nas.

— Jaki dramat?

— Patrzcie.

Wielka barka balansowała na wodzie u wybrzeża. Kobieta i pięciu mężczyzn pochylali się nad jakimś bezwładnym ciałem, które przywiązano jakimiś czerwonymi pasami. Kobieta, która nawet zdala robiła wrażenie odrażającej megery, mówiła coś do tego związanego człowieka, wygrażając mu pięścią. Niektóre z obelg, jakimi go obsypywała, dolatywały do uszu Liljany i jej towarzyszy.

— Złodzieju, łajdaku, łotrze, odmawiasz, no, poczekać!

Wydała jakiś rozkaz. Dwóch ludzi pochwyliło każdy za jeden koniec sznura, opasującego szyję więźnia. Podciągnięto go tak silnie ku górze, że zatrzepotał nogami w powietrzu, jak pajac.

— Erwing — wyszeptał jeden z towarzyszków Liljany, rozpoznając czapkę żołnierza rosyjskiego.

Ciałem Liljany wstrząsnął lodowaty dreszcz. Przypomniała sobie swoją przepowiednię w zamku Cornvey.

— Cicho! — wyrzekła.

— Tak, to Erwing.

— A czegoż oni od niego chcą?

— Chcą mu odebrać djamenty.

— Ależ on ich nie posiada.

— Oni o tem nie wiedzą. Przypuszczałam odrazu, że tak się stanie.

Erwinga opuszczono na ziemię, a kobieta zawyła znowu:

— Przemówisz ty raz? Gdzie ten skarb, któryś nam obiecał? Coś z nim zrobił?

Frank Norris zadrżał.

— Ależ to widok nie do wytrzymania. Nie możemy przecież pozwolić...

— Jakto — rzekła Liljana, wszakże chciał go pan zabić przed chwilą, a teraz chcesz go ocalić?

Norris i jego przyjaciele sami nie wiedzieli czego chcą. Czuli jednak, że nie mogą dłużej pozostawać biernymi świadkami tego widowiska. To też Norris zerwał się i podążył naprzód, a za nim w ślad Marchesini i Rimbaud.

Spóźnili się wszakże. Bandyci nie mieli zamiaru rozpoczynać walki. Stara megera puściła motor w ruch. Amerykanin wystrzelił swoje sześć kul rewolwerowych, ale nie trafił nikogo.

Pelen wściekłego gniewu, młody Yankes, rzekł do Liljany.

— Powinniśmy byli naczaj postąpić. Wypuściliśmy z rąk tę całą bandę łotrów.

— Cóż na to poradzić? — odparła Liljana. — Główny winowajca wszakże został ukarany.

— I to pani wystarcza?

— Tak.

— Nienawidzi pani Erwinga?

— Zamordował mego ojca.

Młodzi ludzie pochylili głowy. Potem Włoch zapytał:

— Więc cóż będzie z tamtymi?

— Niechże ich powieszą gdzieindziej. To nawet lepiej dla nas. POCO rozmazywać sprawę? POCO wywoływać skandal, sensację? Wszakże lord Rochevil polecił nam, abyśmy nasze sprawy załatwili między sobą.

Amerykanin westchnął.

Sprawa jest zatem załatwiona, ale djamenty niestety stracone.

Tego samego wieczora koło godziny 10 całe towarzystwo, powierzywszy poprzednio notariusza opiece oberżystki powróciło do wsi. Liljana i chłopcy zajęli swoje zwykłe locum we wozie, a trzech młodzi ludzie znaleźli nocleg u jednego z wieśniaków.

Następnego dnia Frank Noris wstał bardzo wczesnie, wsiadł na swój motocykl i odjechał. Powrócił dopiero koło południa, oświadczając, że dokonał transakcji handlowej, to znaczy nabył ruiny zamku.

— Wielki Bóże! — zawołała zdumiona Liljana. — Pan chciałby zamieszkać w tym zamku?

— Nie, ale razem z tymi dwoma chcemy swobodnie szukać dalej djamentów.

— Doprawdy dziwi mnie to trochę, że pan, panie Norris, który wydajesz się tak bogatym, porządasz tak namiętnie tych djamentów.

— Chodzi mi o to, aby spadek, który nasz przodek nam przeznaczył nie dostał się ślepym trafem w ręce pierwszego lepszego, któryby do tego skarbku żadnego nie miał prawa. Kuzynka nam pomoże, nieprawdaż?

— Nie.

- A dlaczegoż to?
— Bo dla mnie ta cała historia z chwilą ukarania głównego winowajcy jest zakończona. Młodzieńcy mieli rozczarowane miny.
— A jednak pani pozostaje.
— Zostaję, ponieważ ja i moi chłopcy potrzebujemy odpoczynku. Ale 24 lipca rankiem odjeżdżam.
— Zatem termin ostateczny?
— Tak jest.
— Czy nas także ten sam termin ma obowiązywać?
— A dokąd?
— Zamierzam was przedstawić innym spadkobiercom lorda, moim kuzynom Dobertym i Barn-tonom. A potem, jeżeli chcecie, możecie sobie tutaj powrócić i zakopać się razem z waszemi skar-bami Golkondy.
— I z tobą, kuzynko Liljano.
— Bezemnie, w każdym razie.
— Wobec tego — rzekł Norris — sprzedaję mo-je ruiny.

Te kilka dni, które spędzili razem były napraw-dę rozkosznymi wakacjami. Trzej młodzi cudzo-ziemcy, którzy od pierwszej chwili olśnieni byli urokiem swej pięknej kuzynki, obecnie wpadli bez ratunku w sieci jej czarów. Wydawała się im ona istotą najbardziej naturalną, a jednocześnie naj-bardziej tajemniczą na świecie. Podziwiali w niej wytworność córy arystokratycznego rodu i swobo-dę dziecięcia natury. Manjery wielkiej damy i ener-gje cyrkówki.

Po kilku dniach Giuseppe Marchesini, uzyskaw-szy chwilę rozmowy sam na sam, oświadczył jej swoją miłość i poprosił ją o rękę.

— Mam dwie przemiłe siostrzyczki, które ko-chałyby panią jak siostrę. Mieszkam w starym pa-łacu, w którego murach wyglądałaby pani jak księżniczka renesansowa.

Następnego dnia Norris z lekkim drżeniem w głosie zaczął jej mówić o swojej matce, „która czu-

laby się tak szczęśliwa, gdyby mogła mieć taką córkę“. Nazajutrz przyszła kolej na Francuza, a następnego dnia wszyscy trzej chcieli się bić pomiędzy sobą a wreszcie zwrócili się do Liljany prosząc, aby wybrała jednego z nich.

— Dlaczegoż miałabym wybrać właśnie jednego z was — zapytała młoda dziewczyna z uśmiechem — wszakże mam innych kuzynów, być może innych konkurentów?

— Więc niech pani wybiera.

Dziesiątego dnia wspólnego ich pobytu, Liljana pod wpływem natarczywych nalegań obiecała uczynić wybór.

— Żrobię to tak — oświadczyła — ustawię was wszystkich rzędem i ucałuję tego, który ma być moim mężem.

— A kiedy to będzie?

— W dniu 1 sierpnia.

— Niech pani przysięgnie.

— Przysięgam.

Miłość do Liljany tak silnie zaabsorbowała młodzieńców, że przestali myśleć o djamentach. Jedy-
nym skarbem, o którym marzyli, była Liljana.

24 lipca rankiem Liljana dała sygnał do odjazdu. Podróż ciągnęła się tydzień, aż wreszcie ostatniego lipca znaleźli się na fermie Dobertych. Liljana wóz zostawiła przed portalem dworu a sama w otoczeniu trzech młodych ludzi weszła na podwórze zupełnie pusty. Służba widocznie użytą została do robót w polu, ale przez otwarte okno dochodził odgłos jakiejś gwałtownej dyskusji.

Podeszli bliżej.

Męski głos, niski i ochryply mówił akompanjując sobie uderzeniami pięści w stół.

— Trzeba płacić panie Robercie, oto kontrakt sprzedaży, podpisany przez pańskiego dziadka. O godzinie piątej, 31 lipca 1925, 10 tysięcy funtów szterlingów, płatnych gotówką, inaczej ferma staje się moją własnością. Teraz jest czwarta, minut 45, zapytuję, czy pan ma pieniądze?

Liljana rozpoznała następnie głos Doberty, potem zaś głos hrabiego Henryka Barntona, który proponował ugodę.

— Żadnej ugody — ryknął lichwiarz — gotówkę na stół. Czwarta godzina, minut 48.

Frank Norris chwycił Liljanę za rękę i szepnął:

— Wszakże ten Robert, to jeden z naszych kuzynów.

— Tak jest.

— A tamten?

— To lichwiarz.

— Trzeba mu ofiarować czek.

— Nie zechce.

— Dlaczego?

— Bo chce dostać fermę.

— Nie możemy przecież dopuścić, aby się stała taka rzecz.

Na to rzekła Liljana:

— Kuzynku, jesteś dzielnym chłopcem i ja ci dziękuję. Sądzisz jednak, że to przypadek spowodził nas tutaj właśnie 31 lipca o godz. 4 min. 50?

Weszli do wnętrza domu. Dwa głośnie okrzyki były odpowiedzią na ich przybycie. Robert powstał bardzo błądy. Pani Barnton podbiegła ku Liljanie, która powstrzymała oboje ruchem ręki. Tymczasem przy stole lichwiarz, któremu towarzyszyło dwóch ludzi, mających spełnić funkcję świadków, wyjął zegarek z kieszeni.

— Piąta godzina — wyrzekł zwycięskim tonem.

Liljana poprawiła:

— Piąta godzina na pańskim zegarku, ale niech pan popatrzy na zegar na wieży, mamy jeszcze trzy minuty czasu.

— A więc cóż z tego?

— A więc trzy minuty to wystarczy do uregulowania tego małego rachunku i do wyrzucenia pana za drzwi.

Z staniczka wyjęła niespodzianie wielką, złotą kopertę, którą rozdarła. Z koperty wypadła wiązka banknotów.

— Proszę przeliczyć. Nie, tylko nie tutaj. To trwałoby za długo, a my chcemy pozostać sami, mamy dość pańskiego towarzystwa. Policzy pan tam za drzwiami. Aha, jeszcze jedno. Wręczy pan natychmiast kwit panu Doberty. Słyszysz pan? Piąta godzina bije na zegarze. Żegnamy, moje uszanowanie

Rozdział XVII.

„In robore Fortuna“.

Liljana zamknęła drzwi za lichwiarzem i jego towarzyszami, a gdy obróciła głowę ujrzała przed sobą Roberta, który z odcieniem widocznej irytacji w głosie rzekł:

— Ależ nie, nie, to poprostu niedopuszczalne. Pani mogła się mnie przecież przedtem zapytać...

— O co?

— No, odnośnie zapłaty tego długu.

— Niech się pan nie gniewa — rzekła ze słodyczą — chciałam pana przedewszystkiem uwolnić od tej pijawki. Zyskamy czas do namysłu.

— Nie mam zupełnie zamiaru namyślać się. Uważam to, co się stało, za niebyłe.

— Proszę pana, Robercie, o trochę cierpliwości, niech pan decyzję swoją odłoży do jutra. Może do jutra zdołam pana przekonać.

Liljana uściskała hrabinę, poczem przedstawiła jej trzech młodych cudzoziemców.

— Przyprowadziłam pani gości, hrabino. Oto nasz kuzyn Fred Norris z Chicago, oto nasz drugi kuzyn Giuseppe Marchesini z Florencji i trzeci kuzyn Rimbaud z Francji. Wiedziałam, że państwo tutaj będziecie, chodziło mi więc o to, aby rodzina była w komplecie.

Wymieniono silne uściski dłoni

— Doskonale — rzekła Liljana — jesteśmy teraz razem i mamy sobie tysiąc rzeczy do opowiedzenia. Robercie, widziałam Erwina, no i stało się tak, jak mu to przepowiedziałam, krótko mó-

więc — został powieszony. Spotkałam także pańskiego dziadka i jego starą przyjaciółkę, ale nie spieszymy się, wszystko pokolei. Może naprzód ugościmy naszych zagranicznych kuzynów, którym z pewnością po długiej drodze gardła wyschły.

Otworzyła kredens, znalazła tam butelkę wina, biszkopty, podała to i zaczęła opowiadać o wyprawie do ruin zamku Rocheville. Opowiadanie to było szybkie, niekompletne, niekiedy rozbieżne w szczegółach, ale pełne życia i werwy.

— A zatem — rzekła hrabina — djamenty są stracone.

— Co do tego — odparła Liljana — nie mogę dać stanowczej odpowiedzi, niech pani zapyta moich kuzynów.

Norris nie czekając na zapytanie hrabiny, pierwszy zabrał głos:

— Kuzynko Liljano, nie rozumiemy... proszę nie uważać tego za niedyskrecję, jeżeli będę mówił otwarcie.

— Proszę, słucham.

— A zatem te dziesięć tysięcy funtów szterlingów...

— Ah, kuzyn chciałby wiedzieć skąd się wzięły, nieprawdaż? — rzekła Liljana.

— W istocie.

Młoda dziewczyna nachyliła się do ucha Amerykanina i szepnęła:

— To wszystkie moje oszczędności, uciulane w pocie czoła.

— O!

— Nie wierzysz mi? A zatem będę szczerą.

I znowu szepnęła ciszej jeszcze:

— Ukradłam.

— Oh, kuzynko! Proszę zaprzestać takich żartów.

— Więc jakież jest pańskie przypuszczenie, Freddie Norris? Jeżeli tych pieniędzy nie zarobiłam, nie ukradłam, to skąd je wzięłam?

Fred rzekł:

— Mogłaś je znaleźć, kuzynko.

— Gdzie?

— W ruinach zamku.

Liljana wybuchnęła śmiechem:

— Jacy wy jesteście przenikliwi i domyślni, istotnie, te banknoty znalazłam pod drzewem, przykryte stosem opadłych liści, to tam, lord Recheville przed dwustu laty schował dziesięć tysięcy funtów szterlingów w banknotach.

Młody Włoch, który wydawał się najbardziej wzruszonym, rzekł poważnie:

— Kuzynko, zechciej być poważną i nie drwij z nas, odpowiedz, czy djamenty są stracone, czy też znalezione? Ja już rezygnowałem z tego skarbu, ale nagle zaczynam wierzyć w cud, czy się nie mylę?

— Skąd taka hipoteza?

— Przedewszystkiem te pieniądze, które mogą pochodzić ze sprzedaży jednego z djamentów, a przytem... przytem wydaje się nam to wprost nieprawdopodobne, aby kuzynka Liljana, osoba tak niezwykle energiczna i przenikliwa, zechciała naprawdę zrezygnować z poszukiwania skarbu. Po tylu miesiącach walki, po tylu wysiłkach — to nagle opuszczenie rąk... nie, nie, to nie jest naturalne.

Liljana przyglądała się im wszystkim pokolei z lekko drwiącym uśmieszkiem.

— A zatem moi drodzy kuzynkowie, sędzicie, że ja nie szukając skarbu znalazłam go?

— U ciebie możliwem jest wszystko, kuzynko — odparł Fred.

Hrabina podzielała opinię młodzieńca.

— Ze wszystkiego, co slysze, wnoszę, że Liljana istotnie udało się osiągnąć cel.

Liljana nie zaprzeczyła. Uśmiechała się łagodnie, wszyscy otoczyli ją kołem, patrząc jej w oczy z ciekawością i trwogą.

Hrabina powtórzyła raz jeszcze:

— Powiodło ci się, nieprawdaż?

— Tak jest, — odparła Liljana.

— Udało się jej, problem zdał się nierozwiązalny, został przez nią jednak rozwiązany.

— Ale kiedy to było? W jakim momencie — zawołał Fred Norris — wszakżeś nie opuszczała nas ani na chwilę.

— O, to się odnosi do wiele wcześniejszej jeszcze epoki. Jeszcze za czasów mego pobytu w zamku Cornvey.

— Jakto, co pani mówi? — wykrzyknął zdumiony hrabia Henryk.

— Od pierwszej chwili wiedziałam przynajmniej jakiego rodzaju jest ta kryjówka, w której znajduje się skarb.

— W jaki sposób pani doszła do tego?

— Ta dewiza mnie objaśniła.

— Dewiza?

— Ależ to zupełnie jasne, tak jasne, iż nie pojmuję zaślepienia tych, którzy dotychczas szukali skarbu, uważałam prosto za naiwnego tego pradziadka, który chcąc ukryć skarb dawał tak dokładną wskazówkę. On jednak miał rację, ten lord Rocheville, mógł śmiało wypisać wszędzie swoją dewizę, ponieważ jego potomkowie nie umieli jej odczytać.

— Jeżeli wiedziałas o tem, — zauważyła hrabina — dlaczego nie działałaś odrazu?

— Wiedziałam jakiego rodzaju jest to schowanko, ale nie wiedziałam, gdzie ono się znajduje. Dopiero złoty medal poinformował mnie. W trzy godziny po mojem przybyciu do ruin, wiedziałam czego się mam trzymać.

Giuseppe Marchesini powtórzył kilka razy:

— In robore fortuna... in robore fortuna...

I tamci również powtarzali te same wyrazy, ni by formułkę kabalistyczną, która ma zdziałać cud.

— Giuseppe — rzekła — czy pan umie po łacinie? A wy dwaj?

— Umiemy — odpowiedzieli.

— A zatem odpowiedzcie mi, co znaczy słowo „robore“, które stanowi ablativus, łacińskiego słowa „robur“.

— No, mój Boże, robur — odparli — to znaczy siła, energja...

Liljana wzruszyła ramionami.

— A teraz pan, francuski kuzynie, może mi powiesz, co oznacza starofrancuskie słowo „rouvre“?

— Znaczy to samo, co dąb, który inaczej nazywa się po francusku „chêne“.

— Otóż właśnie, słowo „rouvre“ jest pochodnem od słowa łacińskiego „robur“, co oznacza siłę a zarazem także nazwę dębu, lord Rocheville, żonaty był z Francuską i dobrze znał język francuski, wpadł widocznie na ten pomysł, aby słowem rozwiązującym zagadkę, był wyraz francuski. Wiedziałam tedy odrazu, że skarb znajduje się pod dębem, albo w dębie.

Liljana urwała. Wszyscy wpatrywali się w nią z nieopisanem zdumieniem.

— Ależ pani jesteś porostu genialną, genialną — szeptał Norris.

— Nie jestem wcale genialną, tylko umiem kombinować. *hm*

— Nie, to przechodzi zakres zwykłych kombinacji.

Liljana mówiła dalej:

— „In robore“, rozumiałam, że to znaczy w sercu dębu. Skoro się znalazłam w alei dębów, wiedziałam, gdzie szukać skarbu, no i znalazłam. Jeden po drugim wyciągnęłam zasnute pajęczyną cztery djamenty, wielkości orzecha. Oto są trzy djamenty, czwarty — zastawiony jest u notariusza Simmonsa, który zgodził się pożyczyć mi do jutra dziesięć tysięcy funtów szterlingów.

Liljana wręczyła swym trzem przyjaciołom, trzy różowe djamenty z Golkondy, wspaniałe kamienie niezwyklej wielkości i blasku.

— Zachowajcie je — rzekła — trzy rodziny, po-

chodzące z krwi lorda, przeniosły się do innych krajów, oto ich dziedzictwo. Angielscy spadkobiercy będą się musieli podzielić czwartym djamentem.

Hrabia Oktawjusz zrobił minę zdziwioną i zapytał:

— Co pani mówi?

— Mówię, że jest nas tutaj we Francji trzech spadkobierców, pan, Robert i ja. A ponieważ każdy djament wart jest kilkakroć, więc wszyscy mamy równe prawa.

— Ja nie mam żadnych praw, — oświadczył hrabia.

— Jakto, wszakże łączyła pana z moim ojcem i z ojcem Roberta ugoda w kwestji podziału?

— Układ ten nie ma żadnego znaczenia — wykrzyknął Robert — ja również niczego nie przyjmę. Testament jest zupełnie jasny. Cztery medale i cztery djamenty. Tylko ci trzej panowie i pani, Liljano, jesteście uprawnieni do dziedziczenia tych skarbów:

Liljana zaprotestowała żywo:

— Pan także, Robercie, pan także, walczyliśmy o to razem, pański dziadek jest potomkiem lorda, on posiadał medal.

— Ten medal nie miał najmniejszej wartości.

— Skądże pan o tem wiedzieć może? Nie miał pan przecież tego medalu nigdy w ręku.

— Owszem.

— To niemożliwe, przecież w krażku, który ja wydobylam z jeziora, nie nie było, to była tylko przynęta dla Erwinga, a zatem...

— Kiedy dziadek mój powrócił ze swej wyprawy do ruin zamku, spotkałem go pewnego dnia w sadzie, płaczącego gorzko. Oglądał złoty medal, który pozwolił mi wziąć do ręki, przyjrzałem się temu egzemplarzowi, medal wyglądał tak, jak go pani opisywała, ale miał na obu powierzchniach krzyż, który mu odbierał wszelką wartość.

Liljana wydawała się mocno zdziwiona.

— Ah, doprawdy, więc pan widział?

Podeszła do okna i o zimną szybę oparła swoje rozpalone czoło.

Mgła tajemniczości, otaczająca całą tę historję djamentów, rozwiewała się ostatecznie.

Rzeczywiście istniały dwa złote medale: jeden fałszywy, który był własnością ojca Liljany, został skradziony przez Erwinga, odebrany przez ojca Roberta i przesłany staremu baronowi, drugi medal, prawdziwy — należał do starego barona, który z ostrożności, czy też z chciwości, nigdy o tem nie mówił ani swojemu synowi, ani wnukowi. Obląkany starzec, skoro utracił talizman, uktryy w obroży psa — poszedł na zdobycie skarbu z tym drugim, fałszywym medalem, który powierzył Lavinji. W umyśle Liljany wypadki wiązały się w logiczny łańcuch. Biorąc medal z obroży psa, pozbawiała Roberta należnego mu dziedzictwa. Zdawało się jej, że ofiarowując 10 tysięcy funtów szterlingów, dokonuje aktu wspaniałomyślności i przebaczenia, podczas, gdy właściwie oddawała tylko drobną cząstkę tego, co-sobie przywłaszczyła.

Zapanowała nad sobą i nie zdradziła tajemnicy. Należało działać z całą ostrożnością, aby Robert nigdy się nie domyślił zbrodni, ciężącej na familji jego ojca. Kiedy Liljana odwróciła głowę od okna, oczy jej były wilgotne od łez, uśmiechała się jednak i przemówiła swobodnie:

— Odłóżmy do jutra te wszystkie poważne sprawy. Dzisiaj cieszymy się, że jesteśmy wszysey razem i urządzmy sobie małą zabawę. Robercie, wszakże pan nas zaprasza na obiad? I moich chłopców także.

Obiad był wesoły i obficie podlany doskonałym jabłecznikiem oraz szampanem. Przez cały wieczór Liljana była nadzwyczaj miła i czuła dla wszystkich.

Fred Norris przypomniał jej, że nazajutrz, w dniu 1 sierpnia, ma wybrać jednego z pośród kandydatów do swej ręki.

— Jutro zadecyduję — powtórzyła obietnicę młoda dziewczyna.

Udano się na spoczynek dopiero po północy. Następnego ranka hrabia Henryk i jego żona oraz trzech młodzi cudzoziemcy siedzieli przy pierwszym śniadaniu w sali jadalnej, kiedy służący przyniósł im list. Robert poznał pismo i szepnął żałośnie:

— Ah, to list od niej, odjechała!

Rozdarł kopertę i głośno czytał:

„Drogi mój przyjacielu!

„Proszę mi wierzyć, że o faktycznym stanie rzeczy dowiedziałam się dopiero wczoraj. Robercie, udając się na spotkanie w dniu 12 lipca, bezprawnie, nie wiedząc sama o tem, zajęłam pańskie miejsce. Medal, który uważałam za swoją własność, w rzeczywistości należał do pana. To, co piszę, nie oparte jest na przypuszczeniu, ale na absolutnie pewnych faktach. Norris, Marchesini, Rimbaud i ty, Robercie — jesteście prawdziwymi spadkobiercami lorda. Czwarty djament jest pański. Zechce pan tedy udać się do notariusza Simmons'a, do którego już napisałam odpowiedni list z instrukcjami.

— Wyznam panu, Robercie, że wczoraj, kiedy uświadomiłam sobie, jak wygląda cała prawda, było mi trochę smutno, uroniłam nawet parę głupich łez, ale dzisiaj czuję się zadowolona. Co mi po tym majątku, na którym ciążyło tyle krwi, tyle grozy, tyle zbrodni. A zresztą majątek, — to więzienie, a ja chcę żyć swobodna.

— Robercie, pan, oraz tamci trzej moi nowi przyjaciele, żądali ode mnie, abym sobie z pośród was wybrała narzeczonego. Wybór mój już dokonany: wybrałam moich czterech chłopców, bo cóżby zrobiły te moje biedne dzieciaki, gdybym je porzuciła? Jestem im potrzebna, tak jak mnie potrzebnem jest to swobodne, zdrowe życie włości. Mam cygańską krew w sobie. Niema pałacu, który zamieniłabym za mój wóz wędrowny. Bądźcie

zdrowi, moi przyjaciele. Przyjmijcie wyrazy mojej serdecznej życzliwości i kilka ostatnich łez. „In robore fortuna“, fortuna spoczywa w sile duszy.

Ściskam Was wszystkich serdecznie
Liljana“.

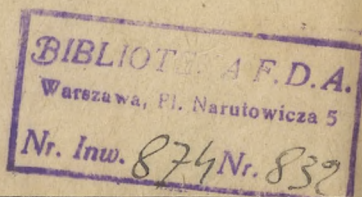
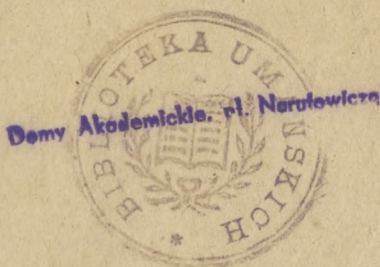
Chwila długiego milczenia zapanowała po odczytaniu tego listu, wkońcu hrabia rzekł:

— Dziwna istota, kiedy się pomyśli, że ona miała cztery djamenty w kieszeni i mogła je zachować, nie mówiąc nikomu ani słowa.

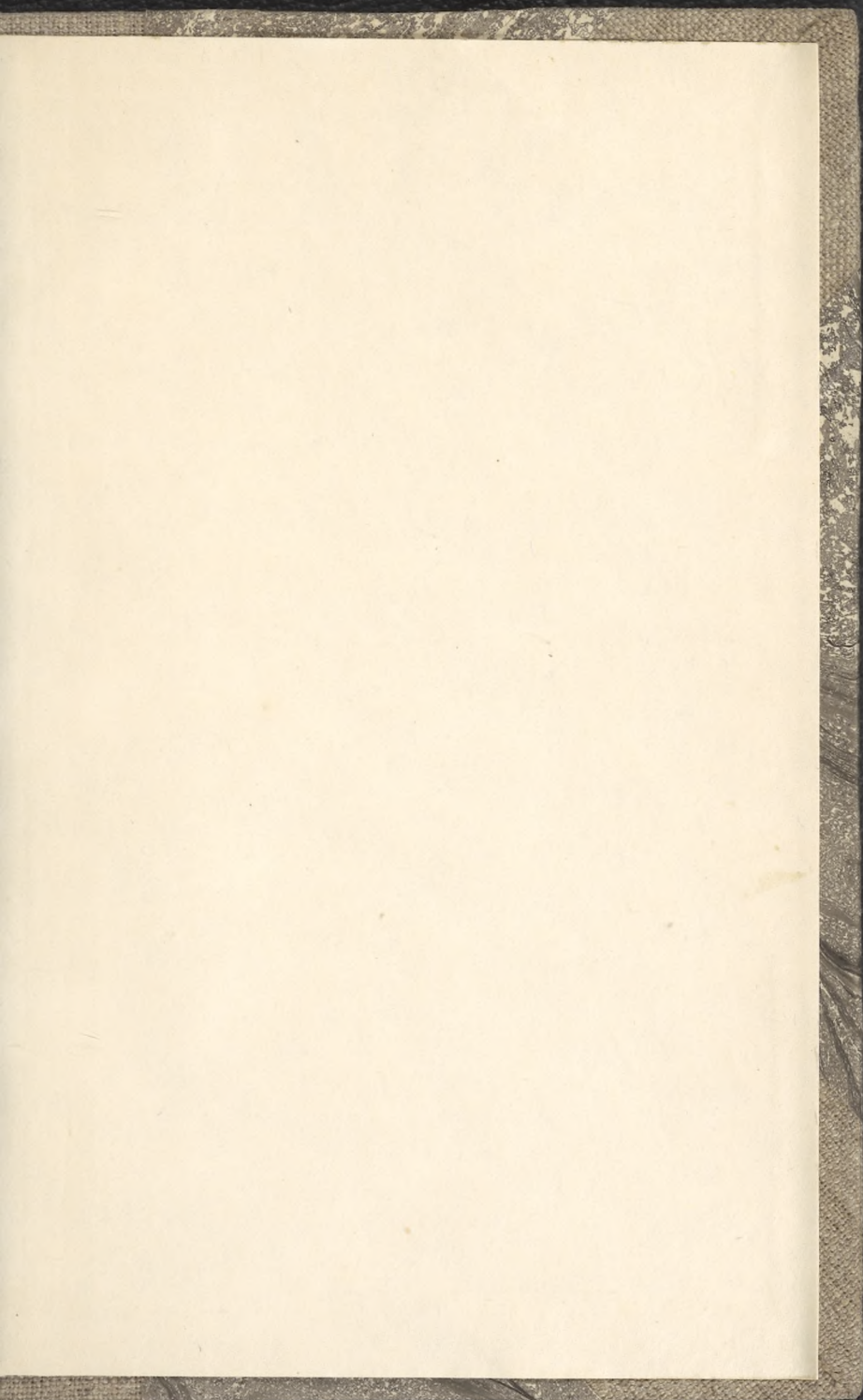
Młodzi ludzie opuścili smutnie głowy. Liljana, była szczęściem, a to szczęście — odeszło od nich. Robert skinął na swych młodych towarzyszy. Wstali i wszyscy udali się za nim na pagórek. Na horyzoncie, pośród zieleni łąk, widać było drobny jeszcze jak punkcik, wóz, zaprzężony w starą klacz. Na wozie tym jechała Liljana, hrabianka i tancerka na linie.

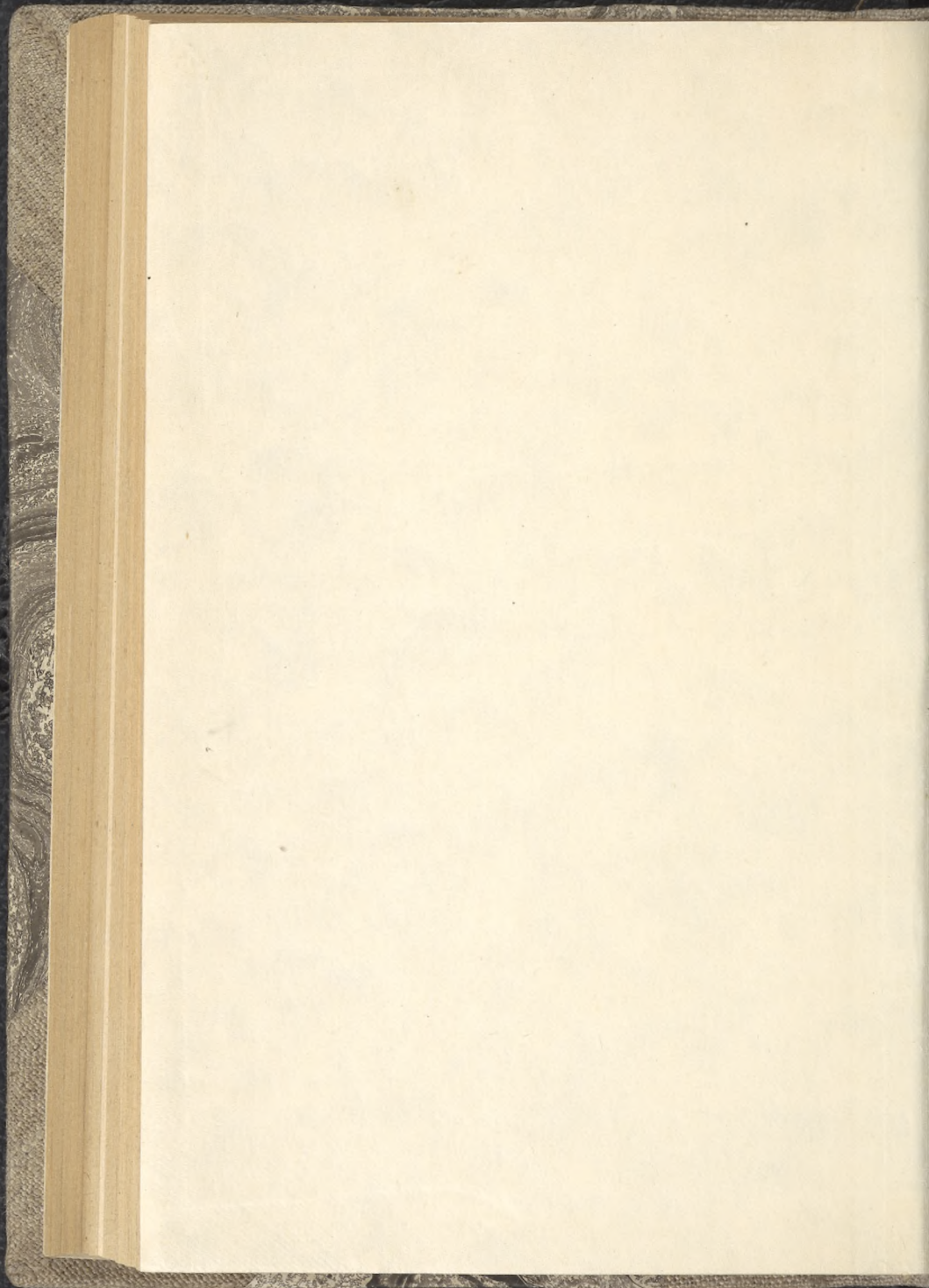
KONIEC.

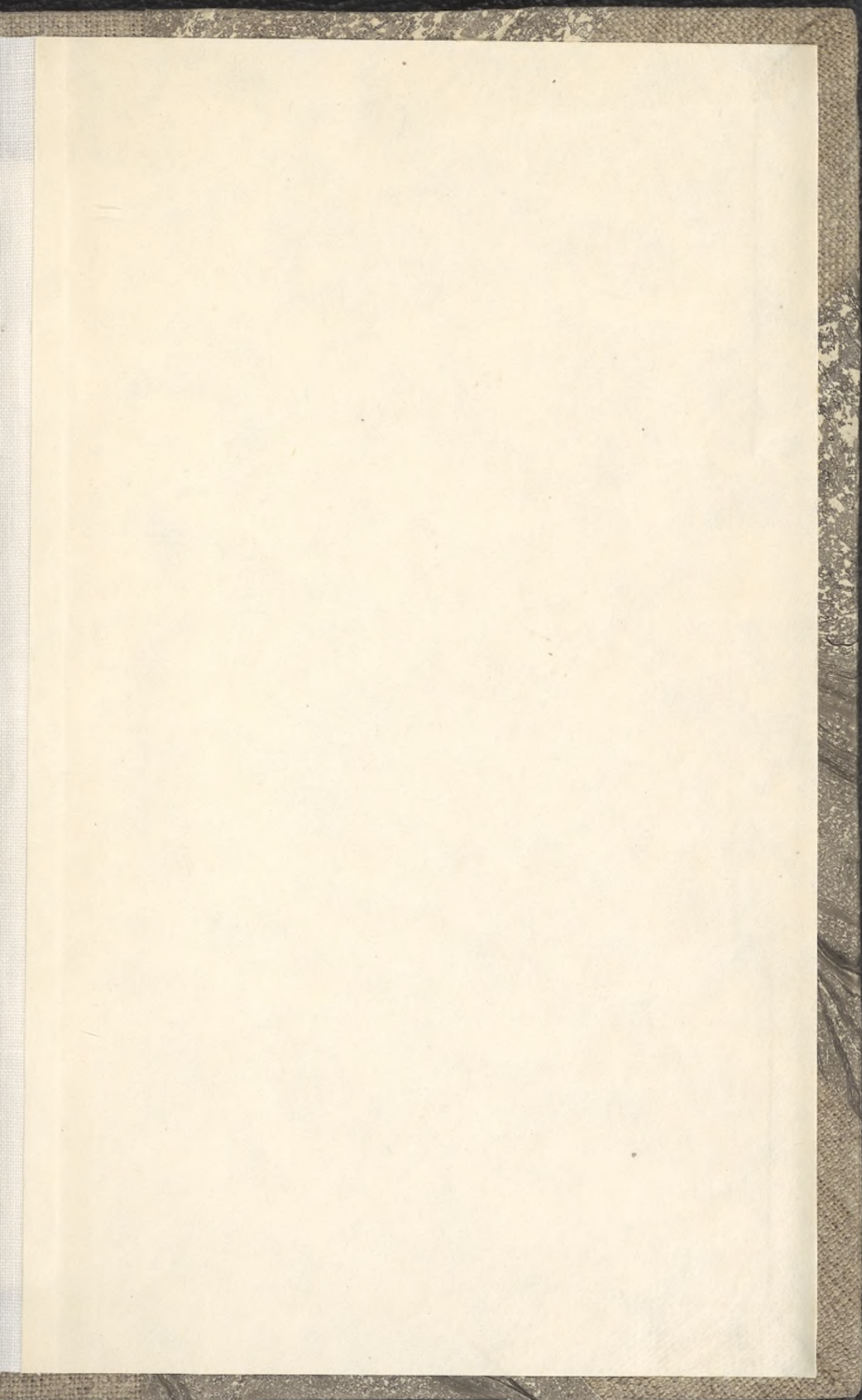
832



26. pa
2408.53









132765

